

P. 9786 Cht. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/42

1951



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Ł. MAŁECKI — Rzecz idzie o Europę * P. HOSTOWIEC —
Dzieci Warszawy w początkach XX-go stulecia * J. FERRATER
MORA — Filozofia, niepokój i odnowienie * T. SULIMIRSKI —
Z zagadnień etnicznych ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ *ARCHI-
WUM POLITYCZNE*: T. ROMER — Sen o wojnie i pokoju
♦ *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI*: St. STROŃSKI oraz
Wł. POBÓG-MALINOWSKI — O układzie polsko-rosyjskim z
30.VII.1941 ♦ *SPRAWY I TROSKI* ♦ *KSIĄŻKI* ♦ *LISTY
DO REDAKCJI.*

SPIS RZECZY

Ł. Małeckie:	<i>Rzecz idzie o Europę</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Dzieci Warszawy w początkach XX-go stulecia</i>	18
José Ferrater Mora:	<i>Filozofia, niepokój i odnowienie</i>	27
T. Sulimirski:	<i>Z dziedziny zagadnień etnicznych</i>	38
Janusz Jasińczyk:	<i>Głos pisarza</i>	48

ARKUSZE POETYCKIE

Marian Czuchnowski:	<i>Pola minowe</i>	54
Bolesław Kобрzyński:	<i>Tintern Abbey</i>	56
Henryk Mirzwiński:	<i>Muszla</i>	57
Z. Jarecki:	<i>Wieża z kości słoniowej</i>	57
Mieczysław Lurczyński:	<i>Ulica Piwna</i>	58



Wacław Solski:	<i>U murzyńskiego boga</i>	59
----------------	----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	65
J. M.:	<i>Deklaracja w Filadelfii</i>	71
Tadeusz Romer:	<i>Sen o wojnie i pokoju</i>	73

SPRAWY KRAJOWE

Maria Strzałkowska:	<i>Dalsze nocne rodaków rozmowy</i>	80
---------------------	---	----

SPRAWY I TROSKI

J. Karbowska:	<i>W Buenos Aires</i>	90
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	95
J. B.:	<i>Kronika niemiecka</i>	97

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Stanisław Stroński:	} <i>O układzie polsko-rosyjskim z 30. VII. 1941</i>	100
Wł. Pobóg-Malinowski:		
Wacław Stachiewicz:	<i>Niemcy o «L'offensive pour la Pologne»</i>	133

KSIAŻKI

Edouard Roditi:	<i>Amerykański poeta kontemplacyjny</i>	135
Józef Ursyn:	<i>Powojenna powieść niemiecka</i> ..	141
Jan Bielatowicz:	<i>To nieprawda, Grzesiu!</i>	145
KAJ:	<i>Torricola</i>	152
W. K.:	<i>Poezja polska w Chicago</i>	153
—	<i>Nadstane nowości</i>	155
Juliusz Mieroszewski:	<i>List do Redakcji</i>	156
Dr A. Gamm.:	<i>List do Redakcji</i>	157
—	<i>Résumé en langue française</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień — Avril 1951

Numer poświęcony

ponownie

Legionowi Młodych Polek

z Chicago, Ill., U.S.A.

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Tadeusz ROMER — dyplomata, b. ambasador Polski w Japonii, ostatni ambasador Polski w ZSSR (na przełomie 1942/3 r.), min. spraw zagranicznych w Rządzie Polskim w Londynie w r. 1944, obecnie wykłada literaturę francuską na Uniwersytecie Mc Gill w Montrealu (Kanada).

Władysław POBÓG-MALINOWSKI, naczelnik Wydziału Historyczno-Naukowego MSZ w latach 1931-1939, redaktor pierwszego wydania "Pism, Mów i Rozkazów" Józefa Piłsudskiego, autor szeregu prac historycznych jak: "Akcja bojowa pod Bezdanami, 1932, "Narodowa Demokracja", 1933, "W podziemiach konspiracji", T. I i II., 1934, 1935.

José FERRATER MORA—wybitny filozof hiszpański, ur. w Barcelonie w 1912 roku. Po wojnie domowej w Hiszpanii wyemigrował z kraju przebywając kolejno na Kubie, w Chile — gdzie był profesorem uniwersytetu. Obecnie wykłada filozofię w Bryn Mawr College (Pensylwania, USA).

Najważniejsze prace: *Unamuno: bosquejo de una filosofía*, *El sentido de la muerte*, *Variaciones sobre el espíritu*, *Cuestiones españolas* i *Dictionnaire de philosophie*.

Dr Tadeusz SULIMIRSKI, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kilkuletni Sekretarz Generalny Ministerstwa W. R. i O. P. w Londynie, późniejszy kierownik Działu Oświaty I. T. C. (Tymczasowego Komitetu Skarbowego dla Spraw Polskich w W. Brytanii). Wykładał w latach 47-49 socjologię na Polish University College. Ogłosił drukiem wiele prac naukowych i popularnych m. in. "Najstarsze dzieje narodu polskiego" i przekład książki Livingstone'a w sprawie oświaty dorosłych.

Janusz JASIENCZYK, powieściopisarz, ur. w Warszawie, w r. 1907. Ukończył studia filozoficzne i prawnicze w Warszawie i Krakowie. Pracował w Polsce jako adwokat i dziennikarz. Debiutował zbiorem opowiadań pt. *Po Narwiku był Tobruk...* (pierwsze wydanie w Jerozolimie, 1946, drugie — Warszawa, 1947, nakładem Trzaska, Ewert i Michalski). Napisał powieść *Słowo o bitwie*, drukowaną w różnych czasopiśmie emigracyjnych. Powieść *Walter 7,65*, ukazuje się obecnie w odcinku w tyg. "Orzeł Biały"; wydanie książkowe I tomu spodziewane jest latem br.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Rzecz idzie o Europę

W ubiegłym roku, w nrze 7/33-8/34 "Kultury" zamieściłem artykuł pod tytułem "Żelazna kurtyna i europejska równowaga gospodarcza", w którym starałem się wykazać bezsensowność podziału Europy na Łabie za pomocą dowolnie ustalonej linii demarkacyjnej, która z każdym dniem staje się silnie nieprzekraczalnym murem, dzielącym nie tylko dwie części Europy, ale dwa światy. Artykuł ten pisany był przed najazdem na Koreę i przed dziejowymi wypadkami, które najazd ten wywołał, — chciałoby się napisać — przed przebudzeniem się świata zachodniego. Przebudzenie to nastąpiło w ciągu drugiego półrocza zeszłego roku i zaznacza się na razie olbrzymimi zbrojeniami, które wpłynęły w sposób zasadniczy na międzynarodową koniunkturę gospodarczą, a w szczególności na sytuację krajów Europy zachodniej. Widmo bezrobocia, które rok temu groziło konkretnie Europie zachodniej, a zwłaszcza Republice Niemieckiej, na razie znikło, podczas gdy silna zwyżka cen licznych surowców złagodziła deficyt dewizowy krajów wywozających te surowce. Toteż wnioski nasze zawarte w tym artykule i zmierzające do odwodnienia, że Europa zachodnia, odcięta od Europy wschodniej, walczyć będzie stale z widmem bezrobocia i deficytem bilansu płatniczego stały się doraźnie nieaktualne. Gospodarka wojenna rządzi się zawsze swymi własnymi prawami, stwarza własne, niegospodarcze możliwości zatrudnienia i znajduje za pomocą specyficznych środków rozwiązanie dla zagadnień, które w normalnych czasach pozostalyby nierozwiązane. Ustawa o "Najmie i Dzierżawie", zastosowana w ciągu drugiej wojny światowej przez Stany Zjednoczone, umożliwiła np. wykorzystanie ich zasobów gospodarczych na rzecz antyhitlerowskiego bloku europejskiego, który bez tej ustawy nie byłby w stanie korzystać z gigantycznej pomocy amerykańskiej. Toteż liczyć się należy z tym, że doraźnie przebieg koniunktury europejskiej kształtować się będzie inaczej, niż przewidywaliśmy we wspomnianym artykule, ale niemniej zasadnicze zagadnienia tam poruszone, pozostają w całej rozciągłości nadal aktualne: Europa, aby żyć musi być na nowo scalona i żelazna kurtyna będzie musiała zniknąć, jako linia dzieląca dwie połowy jednego organizmu, który dowolnie dzielony być nie może.



P. 9486. Chr. Arch.

Coraz powszechniej rozumie się to, że bój idzie dzisiaj o Europę, która będzie albo w całości skomunizowana, albo w całości wolna. Coraz liczniejsze koła zaczynają sobie zdawać sprawę z nie-realności tego, co zostało zrobione w Jalcie i Poczdamie. Coraz powszechniejsze jest przekonanie, że broń, którą się dziś kuje w zachodnim świecie — służyć musi przede wszystkim do tego, ażeby pojęcie Europy znowu nabrało treści, i aby Europa jako całość mogła kontynuować byt zgodny z jej tradycjami, możliwościami i pragnieniami. Dlatego wydaje mi się, że w przeddzień nowej konferencji, mającej zająć się "niezależnymi" dotychczas sprawami europejskimi, należy powrócić do sprawy roli krajów Europy wschodniej w gospodarstwie europejskim.

I.

Aby należycie ocenić rolę państw położonych między Rzeszą Niemiecką a Z.S.S.R., dla gospodarstwa europejskiego, należy przede wszystkim dobrze zrozumieć, na czym polegały trudności ekonomiczne i finansowe, które ciążyły nad życiem gospodarczym państw europejskich w okresie dzielącym dwie wojny światowe.

Przewroty, które zaznaczyły się w Europie, począwszy od roku 1914, posiadały dwie przyczyny — formalnie różne, ale w rzeczywistości z sobą związane: imperializm niemiecki, który dwa razy z rzędu wywrócił istniejący w Europie stan prawny oraz rozdrobnienie Europy na stosunkowo małe jednostki polityczne, niezdolne do połączenia się i przeistoczenia w wielki rynek odbiorczy, odpowiadający potrzebom wciąż wzrastających możliwości produkcyjnych. Dynamizm niemieckiego przemysłu, który zaczął coraz bardziej narastać w końcu XIX wieku, stał się niewątpliwie podłożem imperializmu niemieckiego. W ciągu drugiej połowy tego wieku dynamizm ten mógł jeszcze znaleźć dostateczne możliwości zbytu w ramach nowoutworzonej Rzeszy, ale od początku XX wieku coraz to nowe postępy techniczne umożliwiły masową i seryjną produkcję przemysłową i wymagały coraz większych możliwości zbytu.

Przed pierwszą wojną światową znalazłoby się przypuszczalnie rozwiązanie dla trudności gospodarczo-społecznych, wynikających na tle powyższych zjawisk, a to dzięki liberalizmowi, który istniał powszechnie w zakresie obrotu kapitałowego, towarowego oraz w zakresie emigracji. Kraje europejskie znalazłyby zapewne w ramach światowej gospodarki liberalnej drogi wyjścia, gdyby w roku 1914 Rzesza Niemiecka nie podjęła próby wywrócenia siłą istniejącego stanu rzeczy.

W roku 1918 sytuacja pogorszyła się wybitnie, ponieważ zniknęły podstawy dla prowadzenia dalszej gospodarki liberalnej w Europie: brak towarów, który powszechnie zaznaczył się po wojnie, wywołał wszędzie politykę interwencyjną, która w rozdrobnionej politycznie Europie, była szczególnie trudna do stosowania. Ruch kapitałowy zanikłby przypuszczalnie w tej pos-

taci, w jakiej istniał od r. 1914, z powodu powszechnego braku zaufania, gdyby nie był automatycznie zamart, z powodu olbrzymiej pauperyzacji państw, które przed wojną posiadały największe nadwyżki kapitalizacyjne, tj. Francji, Anglii i Belgii.

Jeśli idzie wreszcie o swobodę ruchu emigracyjnego, to zanikł on z chwilą, gdy kraje zamorskie ze Stanami Zjednoczonymi na czele, zamknęły swe granice dla imigracji europejskiej, a szczególnie dla imigrantów pozbawionych środków finansowych, ponieważ postępy techniczne lat wojennych umożliwiły im dowolne powiększanie produkcji bez powiększania ilości rąk roboczych, a to w drodze dawania do rąk robotników coraz doskonalszych maszyn. Fakt ten usunął jeden z głównych wentyli bezpieczeństwa, niezbędnych dla równowagi społecznej niektórych przeludnionych państw europejskich, a równocześnie pozbawił Europę ogromnych pozycji czynnych w jej bilansie płatniczym wobec Ameryki, tj. pozbawił ją przesyłek, regularnie dokonywanych dawniej przez coraz to nowych imigrantów na rzecz krajów macierzystych.

Fakty powyższe wskazują na główne przyczyny braku równowagi, które poczęły działać od roku 1918 w życiu gospodarczym Europy, ale do przyczyn tych doszła całkowita zmiana roli Stanów Zjednoczonych, jako partnera gospodarczego Europy. Do roku 1914 Stany Zjednoczone były dłużnikiem Europy. Ich stan przemysłowy wymagał przywozu licznych przemysłowych artykułów europejskich, europejskie ręce robocze i europejskie kapitały stanowiły niezbędny warunek rozwoju amerykańskiego. Wszystko to znikło w roku 1918. Pierwsza wojna światowa zamieniła Stany Zjednoczone w potęgę gospodarczą i wielkiego eksportera produktów przemysłowych, dawniej przywożonych z Europy. Dawni dłużnicy zamienili się w wierzycieli Europy. Nietknięta amerykańska marynarka zastąpiła w szerokim zakresie zatopioną marynarkę europejską w handlu międzynarodowym. Stany Zjednoczone mogły nadal obywać się bez usług europejskich. Wszystko to zwichnęło podstawy równowagi europejsko-amerykańskiego bilansu płatniczego. Zjawiska te znane są powszechnie dzięki studium podjętym w ostatnich latach zwłaszcza w ramach organizacji marshallowskiej, ale błędna jest rozpowszechniona szeroko na zachodzie opinia, że zjawiska te zaznaczyły się dopiero po drugiej wojnie światowej; faktycznie istniały one już w roku 1918 w całej rozciągłości, a jeżeli ich następstwa nie zaznaczyły się natychmiast w pierwszym 10-cioleciu powojennym, tj. do roku 1929, to tłumaczy się to jedynie tym, że w stosunkach amerykańsko-europejskich wystąpiło przejściowo nowe zjawisko w postaci krótkoterminowych kredytów, udzielanych przez Stany Zjednoczone zbiedzonym państwom Europy. Kredyty te wytworzyły przejściowo znaczną pozycję czynną w europejskim bilansie płatniczym, ale wystarczyło kilka miesięcy kryzysu amerykańskiego w r. 1929, aby Ameryka kredyty te gwałtownie zaczęła wycofywać, czyniąc z bieżącego obrotu kapitałowego dodatkową pozycję bier-

ną europejskiego bilansu płatniczego. W tym momencie stanęły niemal wszystkie państwa europejskie wobec groźby bankructwa.

Dodać trzeba, że gospodarka europejska ucierpiała również skutkiem zmian, które zaszły po pierwszej wojnie światowej w stosunkach między nią, a Rosją. Rosja przestała być po roku 1918 zarówno ważnym dostawcą surowców, jak i odbiorcą europejskich artykułów przemysłowych, gdyż przemiany dokonane od roku 1918 w gospodarstwie rosyjskim uczyniły z Rosji organizm niemal autarkiczny.

Powyższe przyczyny zewnętrzne wpłynęły po pierwszej wojnie światowej w sposób zasadniczy na położenie gospodarki europejskiej, choć dotychczas zwraca się na nie stosunkowo niewielką uwagę. Analizując przyczyny niedomagań europejskiego gospodarstwa podczas okresu, dzielącego dwie wojny światowe, z całą pewnością stwierdzić można, że te przyczyny zewnętrzne odegrały znacznie większą rolę, niż wewnętrzne przesunięcia granic, o których stale się pisze, a zwłaszcza niż rozparcelowanie Monarchii Austro-Węgierskiej, które rzekomo miało być główną przyczyną europejskich zaburzeń społeczno-gospodarczych.

Wielu trudności uniknięto by, gdyby Europa (mówimy o krajach położonych między Atlantykiem a Rosją Sowiecką) już w roku 1919, a choćby 1929, poważnie przystąpiła do scalenia swego obszaru gospodarczego. Niestety, umysły nie były wówczas zdolne do podjęcia twórczych decyzji, idących w tym kierunku. Sugestie czynione w tym duchu były niesmiałe, odcinkowe i mało konkretne. Gorzej było, że Stany Zjednoczone początkowo zupełnie nie rozumiały zmienionej roli, która im przypadła w udziale w ramach gospodarstwa światowego. Świadczą o tym wszystkie pociągnięcia ekonomiczne, przedsięwzięte wówczas przez Stany Zjednoczone: zamknięcie swego obszaru dla dopływu imigrantów europejskich, ustalenie prohibicyjnych ceł dla towarów europejskich i domaganie się szybkiego zwrotu krótkoterminowych kredytów, które przejściowo były podstawą wywozu amerykańskiego. W latach 1919-1939 wszystko to wystarczyło by, aby przesilenie europejskie coraz bardziej pogłębić, nawet gdyby kraje europejskie wcześniej zrozumiały konieczność bliższej współpracy w celu wytworzenia zwartego gospodarstwa europejskiego.

II.

Jeżeli klimat psychologiczny nie sprzyjał po pierwszej wojnie światowej ustanowieniu zjednoczonego gospodarstwa europejskiego, to klimat 1945 roku był całkowicie różny. Zmieniło się przede wszystkim podejście Stanów Zjednoczonych do zagadnień europejskich. Ogromne dzieło dokonane pod znakiem UNRR'y, a zwłaszcza plan marshallowski wskazują na to, że Stany Zjednoczone rozumiały wreszcie swój własny ciężar ga-

tunkowy w gospodarstwie światowym i stopień zubożenia Europy. Z drugiej strony zaznacza się wśród państw europejskich znacznie dalej idąca gotowość do ścisłej i organicznej współpracy gospodarczej i finansowej, jak o tym świadczą układy zawarte w 1945 r. w Bretton-Woods i liczne porozumienia zawarte w ramach organizacji marshallowskiej. Przypuszczać należy, że nawet naród niemiecki, którego umysłowość najtrudniej pojmowała ideę współpracy na równej stopie między narodami europejskimi, i który dwa razy w ciągu 25 lat wywrócił istniejący w Europie stan prawny, aby ideę współpracy zastąpić ideą dominacji, że nawet ten naród wobec ruiny swych snów i swego kraju zrozumiał, że uczciwa współpraca stanowi najlepsze rozwiązanie.

W tym stanie rzeczy mogło się wydawać w roku 1945, że po drugiej wojnie światowej powstanie lepsza i szczęśliwsza Europa, a tymczasem stoimy wobec faktu, że zaledwie w 6 lat po wojnie sytuacja jest bardziej beznadziejna, niż kiedykolwiek, że mówi się tylko o zbrojeniach i nowej wojnie i że Europa, podzielona na dwie części w Jałcie i Poczdamie, w ogóle przestała istnieć, jako pojęcie polityczne lub gospodarcze. Czym się tłumaczy to bankructwo światowej dyplomacji? Czy istotnie państwa zachodnie dążyły w roku 1945 do takiego stanu rzeczy, w którym Europa dzisiaj się znajduje?

Mam wrażenie że z punktu widzenia psychologicznego paradoks wygranej wojny i przegranego pokoju da się łatwo wytłumaczyć. System hitlerowski wytworzył na całym świecie taki ogrom nienawiści do narodu niemieckiego, że w czasie trwania wojny cel bezpośredni, tj. zwycięstwo, zepchnął na dalszy plan sprawy związane z przygotowaniem pokoju. Troška o unieszkodliwienie Niemiec w przyszłości zajęła pierwsze miejsce w polityce państw zablokowanych przeciwko Hitlerowi, a rola Rosji w walce przeciw Hitlerowi była tak wielka, że powszechnie niemal uznano za dogmat, że nie będzie można stworzyć nowego stanu prawnego w Europie inaczej, jak w ścisłym porozumieniu z Rosją i przy całkowitym wykorzystaniu jej potęgi wojskowej dla zagwarantowania nowego porządku. Wszyscy uważali, że dzieło dokonane w Wersalu, tj. pokój zawarty przeciw Niemcom, a bez współudziału rosyjskiego, właśnie dlatego się zawaliło, że Rosja nie była skłonna do jego obrony. Chcąc raz na zawsze uwolnić Europę od imperializmu niemieckiego, a zwłaszcza od groźby nowego porozumienia rosyjsko-niemieckiego — przedstawiciele mocarstw zachodnich, zebrani w Jałcie i Poczdamie, przyjęli wszystkie żądania rosyjskie w przekonaniu, że stwarzają w ten sposób silny system polityczny, w ramach którego wolne kraje europejskie będą mogły w oparciu o gwarancję mocarstw zachodnich i Rosji — kształtować swą przyszłość i rozwijać się; nie zdawali sobie oczywiście sprawy z tego, że w rezultacie podzielili Europę na dwie części, stwarzając dwa szczątkowe organizmy, niezdolne do życia i skazane na stopniową

pauperyzację, która miała być punktem wyjścia dla powszechnej sowietyzacji.

Tragedią obecnych lat przełomowych jest to, że Europa przestała istnieć właśnie w chwili, gdy umysły w Europie dojrzały do tego, aby w drodze współpracy krajów europejskich szukać rozwiązań dla zagadnień, które w ramach poszczególnych państw europejskich rozwiązywane być nie mogą.

Lata 1945 i następne stanowią okres przejściowy, okres złudzeń, niepokoju, a wreszcie narastającej pewności, że walka idzie dzisiaj o Europę. W roku 1950 świat zachodni zrozumiał wreszcie ogrom stawki, a zrozumiał przede wszystkim, że nie może istnieć jako partner bez posiadania należytej siły, czyli bez posiadania jedynie zrozumiałych argumentów. Ważne jest, aby po zdobyciu ich — tym razem wykorzystał je tak, aby Europa mogła znowu istnieć i żyć. Nie jest oczywiście naszym zadaniem bawić się w przepowiednie, jak się rozwinie ostatnia faza walki o Europę, ale jesteśmy przekonani, że opracowanie programów winno wyprzedzać ich realizację, i dlatego wydaje nam się, że właśnie teraz należy mówić o tym, jak wyglądać winna przyszła Europa, by mogła stanowić podstawę dla zrównoważonej gospodarki i dla faktycznego rozwoju krajów i narodów europejskich. Wydaje się nam, że ujmując sprawę z punktu widzenia gospodarczego najkrócej, można by zaryzykować twierdzenie, że przyszła Europa musi mieć w normalny sposób zrównoważony bilans płatniczy i że musi móc prowadzić politykę pełnego zatrudnienia, aby nie stać nadal, jak to miało miejsce w okresie dzielącym dwie wojny światowe, pod stałą groźbą zaburzeń walutowych i bezrobocia.

III.

Pełne zatrudnienie ludności i równowaga bilansu płatniczego — oto dwa cele, które muszą być rozwiązane w ramach każdego organizmu gospodarczego, który chce się rozwijać. Nie zmienia to faktu, że cele te są często przeciwstawne, jak sami wiemy z doświadczeń polskich okresu 1919-1939. Pełne zatrudnienie prowadzi zawsze do wzrostu dochodu społecznego, a wzrost dochodu społecznego wymaga zawsze większego dowozu żywności, surowców i dóbr inwestycyjnych. Wszystko to są czynniki zagrażające równowadze bilansu handlowego, a wtórnie płatniczego, jeżeli wzmógł się wywóz nie znajduje pokrycia we wzroście czynnych pozycji bilansu płatniczego. W obecnej sytuacji Europa Zachodnia, kończąca się na Łabie, nie może w normalnych warunkach znaleźć podwójnej równowagi, o której tu mówimy, gdyż posiada za mało żywności, za mało surowców i zbyt rozwinięty przemysł inwestycyjny. Jeżeli ta część Europy nie będzie stale zasilana subwencjami, wypłacanymi w ramach coraz to nowych planów Marshall'a, — nie może ona uniknąć deficytu bilansu płatniczego, z całym katastrofalnym wtórnym łańcuchem następstw, aż nadto znanych z okresu dzie-

lącego dwie wojny światowe; tak pojęta Europa zachodnia nie jest w stanie wyrównać swego bilansu płatniczego ze Stanami Zjednoczonymi po prostu dlatego, że nie może tam zbywać swych dóbr inwestycyjnych, których produkcja zajmuje w jej gospodarstwie zasadniczą rolę, lecz która niemniej jest, generalnie biorąc, droższa, niż produkcja Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli zatem niemożliwe jest zapewnienie równowagi finansowej i społecznej w Europie kończącej się na Łabie, a choćby na Odrze, to wydaje nam się, że w ramach Europy połączonej istnieją wszelkie dane na to, aby uzyskać tę podwójną równowagę równie dobrze, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, lub w ramach Rosji Sowieckiej, pod warunkiem jednakże, że Europa ta obejmować będzie wszystkie narody chcące do niej należeć, mające analogiczną ewolucję historyczną za sobą i przynależne do niej z racji swego położenia geograficznego. Granice Europy nie mogą być przypadkowe, lecz muszą stanowić funkcje potrzeb gospodarczych i społecznych Europy jako takiej. Wydaje się logiczne, że nie można włączać do gospodarstwa europejskiego terenów istotnie rosyjskich, które bez względu na system polityczny istniejący w Rosji, ciążą w sposób naturalny do gospodarki ogólnorosyjskiej. Rosja stanowi nie kraj, lecz zamkniętą w sobie część świata. Przygniatająca większość artykułów rosyjskich nie wychodzi poza jej granice, obrót zagraniczny nie przekracza 3 % produkcji i konsumpcji wewnętrznej. Autarkiczny charakter gospodarstwa rosyjskiego nie jest wynikiem gospodarki planowej, która by w założeniu swym tępiła wywóz i przywóz, lecz jest wynikiem ogromu tego kraju, jego bogactw naturalnych i wszechstronnego rozwoju produkcji.

Anglia znajduje się w odmiennym położeniu. Rozwinięty jej handel z Imperium Brytyjskim nie przeszkadza jej w utrzymaniu bardzo żywego handlu z europejskimi krajami kontynentalnymi, który sprawia, że udział jej zajmuje dominujące miejsce w obrotach zewnętrznych niektórych krajów europejskich. Pełne sfuzjonowanie gospodarki angielskiej z gospodarką kontynentalną natrafiało by jednakże na poważne trudności i przypuszczać należy, że stosunki między Anglią, a Europą kontynentalną wymagać będą w przyszłości specyficznego unormowania. Wydaje się jednak, że im stosunki te będą bliższe, tym będzie lepiej dla Europy kontynentalnej.

Naturalne granice przyszłej gospodarki europejskiej rysują się zatem wyraźnie. muszą one objąć z jednej strony wszystkie europejskie kraje, tzw. marshallowskie, a z drugiej strony te kraje, położone między Rosją, a Rzeszą Niemiecką, które znajdują się dzisiaj za "żelazną kurtyną", obejmują ok. 100 milionów ludności i które nie mogą być od reszty Europy odcięte i wtłoczone do systemu rosyjskiego bez podważenia równowagi gospodarczej Europy zachodniej, a równocześnie bez zwinięcia możliwości rozwojowych narodów arbitralnie od Europy oderwanych.

Doświadczenia ostatnich 5 lat wskazują wyraźnie na to, jak trudno jest, choćby doraźnie, "uzdrowić" gospodarstwo Europy zachodniej przy istnieniu "żelaznej kurtyny", a stwierdziliśmy już, że trudności byłyby dziś o wiele większe, gdyby nie specyficzna wojenna koniunktura ostatnich miesięcy. Rok temu w Niemczech było już 2 miliony bezrobotnych, nie wliczając w to uchodźców ze wschodniej strefy Niemiec, co najmniej połowa wiojskiego przemysłu inwestycyjnego nie pracowała, a w Belgii oraz kilku innych krajach zachodnich koniunktura zaczęła się gwałtownie psuć. Gdyby nie istniały zasiłki marshallowskie, — Europa zachodnia nie byłaby w stanie przywozić z krajów zamorskich artykułów niezbędnych, które musiała płacić w wolnej dewizie, a które mogłaby nabywać w Europie wschodniej wzamian za niezbędne tam artykuły inwestycyjne.

Tu dochodzimy do najważniejszego zagadnienia, które w sposób decydujący sprawia, że dwie części Europy muszą być połączone. Wbrew częstym twierdzeniom Europa wschodnia nie stanowi obszaru rzadko zaludnionego, a przeciwnie najważniejsze kraje wschodniej Europy, jak Polska, Czechosłowacja, czy Węgry, posiadają ludność bardziej gęstą, niż np. Francja. Poza czeską częścią Czechosłowacji kraje wschodnio-europejskie są natomiast zacofane gospodarczo, to znaczy niedoinwestowane. Rozwiązanie wschodnio-europejskich problemów społeczno-gospodarczych wymaga zatem masowego przywozu dóbr inwestycyjnych, produkowanych w krajach zachodnio-europejskich. Europa wschodnia może za ten przywóz płacić wywozem licznych artykułów surowcowych i żywnościowych, które Europa zachodnia dziś sprowadza z krajów zamorskich.

Obrót między krajami zachodniej i wschodniej Europy nie był nigdy normalny, a w latach 1929-1939 był sztucznie ograniczony przez zabójczą politykę reglamentacyjną państw zachodniej Europy, które prowadziły reglamentację przywozu bez żadnej myśli europejskiej. Polityka ta skurczyła wywóz wschodniej Europy do cyfr niewspółmiernie niskich, a równocześnie skurczyła w tym samym stopniu zakupy dokonywane przez wschodnią Europę w Europie zachodniej. Gdyby nie było tych sztucznych trudności wywóz wschodniej Europy byłby co najmniej 2 lub 3 razy większy, niż był istotnie, a gdyby poważnie prowadzono politykę europejską pod znakiem przystosowania wschodnio-europejskiego dynamizmu wywozowego do potrzeb zachodniej Europy i na odwrót, to bez przesady stwierdzić można, że problem europejskiego deficytu dolarowego przestałby istnieć. W ramach zrównoważonego europejskiego bilansu płatniczego powstałaby wtórna możliwość prowadzenia europejskiej polityki pełnego zatrudnienia.

Stwierdzenie powyższych faktów nie zawiera żadnej groźby dla interesów krajów zamorskich, które przed wojną wypychały towary wschodnio-europejskie z rynków zachodniej Europy. Krajom zamorskim nie może zależeć na wywozie bezpłatnym, gdyż nawet Stany Zjednoczone nie mogą na dłuższą metę fi-

nansować swego wywozu za pomocą zasiłków, które wypłacają swym odbiorcom europejskim; toteż sanacja rynku europejskiego musi być punktem wyjścia sanacji gospodarstwa ogólnoswiatowego.

Nasuwa się wreszcie pytanie, czy osiągnięcie celów powyższych jest niemożliwe przy utrzymaniu "żelaznej kurtyny". Pytanie to mogło być postawione w roku 1945, gdy zdawało się, że linia demarkacyjna, dzieląca "strefy wpływów" w Europie będzie praktycznie niewidzialna. Doświadczenia ostatnich 5 lat wskazują jednak na to, jak bardzo ówczesne nadzieje były złudne. Linia demarkacyjna zamieniła się w mur, który hamuje wszelki normalny obrót ludzi, kapitałów, towarów, a nawet myśli. W Europie wschodniej przeprowadza się za pomocą olbrzymich środków plany gospodarcze, zmierzające do wcielenia tej części Europy do imperium sowieckiego, choć to obniża katastrofalnie poziom życia we wschodniej Europie i równocześnie podważa byt kadłubowej Europy zachodniej.

Dalsze łudzenie się, że bez zniesienia "żelaznej kurtyny" uda się wytworzyć w Europie sytuację znośną — byłoby zatem szaleństwem. Opinię tę wyrażają w sposób mniej lub więcej jaskrawo wszystkie dokumenty, ogłoszone przez czynniki międzynarodowe, które powołane zostały do badania po wojnie gospodarczych stosunków europejskich.

Dyskutując w krajach zachodnich na tematy tu poruszone spotkać się można często z tezą, że pod względem gospodarczym unifikacja zachodniej i wschodniej Europy byłaby oczywiście wskazana, ale że sprawa jest bezprzedmiotowa, gdyż decydują względy polityczne, które zawsze mają prym, podczas gdy w drodze "dostosowania" zagadnienia gospodarczo-społeczne zawsze znajdują jakieś rozwiązanie. Toteż w opinii różnych mędrców zachodnich należy żałować, że Europa jest podzielona, ale przede wszystkim należy szukać rozwiązań dla krajów zachodnich, — pozostawiając wschodnie ich losowi.

Ci, co zajmują takie stanowisko, przechodzą oczywiście do porządku dziennego nad moralną stroną zagadnienia, — nad prawem samostanowienia narodów i wierzą tylko w czynnik "polityczny", inaczej mówiąc w elementy siły. Nie trafiają im do przekonania aż nadto bogate doświadczenia Europy ostatnich trzydziestu kilku lat, w których przeżyliśmy już wielokrotnie polityczne stany rzeczy ogłaszane niemniej głośno, jak dzisiaj, za ostateczne, ale które załamywały się z niezmierną szybkością, gdy zmieniał się stosunek sił. Toteż wydaje nam się nie od rzeczy zastanowić się nad tym, kiedy można istotnie uważać polityczny stan rzeczy za ostateczny, a kiedy na pewno znać go należy za przejściowy. Rozmowianie to przydać się może również niektórym naszym zawodowym pesymistom.

Oczywiście, iż względy tzw. moralne nie odgrywają roli decydującej. — Podział Polski dokonany na Kongresie Wiedeńskim był na pewno niemoralny, lecz przetrwał 100 lat, bo stan rzeczy wytworzony w Europie w roku 1815 odpowiadał niewąt-

pliwie olbrzymiej większości Europejczyków, którzy w każdej chwili mogli zmontować odpowiednie siły, aby go utrzymać w mocy. Stan prawny wówczas wytworzony utrzymał się tak długo, aż jeden z wielkich narodów europejskich nie rozpoczął wojny, aby go zasadniczo siłą zmienić. Stan powersalski utrzymał się do chwili, gdy Hitler, wykorzystując słabość demokracji zachodnich, zmontował należyte siły, aby go zlikwidować. Jego "tysiącletni porządek europejski", który z kolei nie odpowiadał większości Europejczyków, zawałił się w kilka lat, gdy zdołano zmobilizować dostateczne siły, by go obalić. Wynika z tego, że punkt widzenia polityczny winien doprowadzić do prostego wniosku, iż obecny stan rzeczy w Europie trwać może tak długo, aż ci, którzy go wytworzyli i narzucają, posiadają większe siły od obozu przeciwnego. Nasuwa się więc przede wszystkim pytanie, komu dzisiejszy stan rzeczy, wyrażający się w podziale Europy na dwie części, odpowiada? Na pewno nie 100 milionom Europejczyków, którzy pozostali po drugiej stronie barykady i wtłoczeni są siłą w system polityczny, gospodarczy i społeczny, z którym nie mają nic wspólnego, i który obniża katastrofalnie ich poziom życia, zarówno w sensie moralnym i psychicznym, jak materialnym. Na pewno nie Niemcom, którzy znajdują się w położeniu Francji po ustanowieniu w 1940 linii demarkacyjnej, dzielącej zonę okupowaną od zony tzw. "wolnej". Ale na pewno również nie mieszkańcom europejskich krajów zachodnich, którzy od 5 lat jedynie przy pomocy amerykańskiej walczą o prawo zachowania znośnego poziomu życia w anormalnej i wypaczonej dzisiejszej sytuacji Europy. Stan ten nie odpowiada również Stanom Zjednoczonym, które od lat wydawać muszą miliardy dolarów na to, aby Europa zachodnia mogła zachować wolność. Najdziwniejsze jest jednak, że stan ten nie odpowiada również Rosji Sowieckiej, dla której okupacja krajów wschodnio-europejskich miała być tylko punktem wyjścia dla stworzenia wygodnej odskoczni dla skomunizowania całej Europy, co również stanowiłoby jej sui generis unifikację.

W tym stanie rzeczy staje się jasne, że w utrzymaniu żelaznej kurtyny nie jest zainteresowany nikt, — istnieje ona na razie pod groźbą dywizji wschodnich — przemóżnych, póki zachód nie jest dobrojony. Z chwilą gdy zachód przebudził się i dozbraja, likwidacja żelaznej kurtyny może być już tylko kwestią czasu, — czasu potrzebnego na pełne dozbrojenie zachodu. Faktu tego nie zmieniłaby nawet przewencyjna okupacja Europy Zachodniej przez dyktaturę komunistyczną, która à la longue konkurencji ze światem anglosaskim w wojnie mechanicznej, — w wojnie potencjałów przemysłowych, wytrzymać nie może.

Mówienie w tym stanie rzeczy o konieczności "dostosowania się" Europy do stanu rzeczy, wynikającego z istnienia żelaznej kurtyny, tj. o konieczności takiego obniżenia poziomu życia w całej Europie, aby mimo nonsensu gospodarczego, wynikającego z jej podziału, dzisiejszy stan rzeczy mógł być utrzymany,

wydaje mi się argumentem nie tyle politycznym, ile niezwykle krótkowzrocznym.

Z chwilą, gdy świat zachodni przebudził się, Europa nie stanowi jedynie dwóch dowolnie rozerwanych części jednego organizmu, ale stanowi dwa przyczółki mostowe, spotykające się na Łabie. W bolesnej historii tworzenia się zjednoczonej Europy — okres obecny stanowić będzie epizod wyjątkowo ponury i tragiczny, ale trwać nie może. Im wcześniej dojrzeją na zachodzie ostateczne programy europejskie, tym bardziej okres ten się skróci, gdyż opowiedzą się za tymi programami olbrzymie masy, które cierpią i czekają.

V.

Wydaje mi się, iż obecny rozwój sprawy europejskiej ma podstawowe znaczenie dla dalszych poczynąń polityki polskiej w ogóle, a polityki emigracyjnej w szczególności. Staraliśmy się wykazać powyżej, że istota obecnego konfliktu międzynarodowego nie dotyczy specjalnie żadnego narodu europejskiego, lecz ma charakter par excellence ogólnie-europejski i rzecz idzie o to, czy Europa będzie w całości przybudówką bloku sowieckiego, czy też stanowić będzie obok Rosji, Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego równorzędną, politycznie i gospodarczo niezależną potęgę. Jesteśmy przekonani, iż centralnym zadaniem polityki międzynarodowej musi być w okresie najbliższych lat wytworzenie takiego stanu w Europie, który odpowiadałby potrzebom i dążeniom narodów europejskich, który by nie zagrażał nikomu, ale równocześnie zagwarantował obronność Europy i który tym samym mógłby trwać.

W roku 1919 stworzono bez udziału Rosji system polityczny w Europie w założeniu zwrócony przeciwko Rzeszy Niemieckiej. System ten zawałił się w kilka tygodni, gdy Niemcy i Rosja podały sobie w sierpniu 1939 r. rękę, aby go zlikwidować. Następnie Hitler próbował narzucić Europie "nowy porządek", który obalony został przy niezwykle aktywnej pomocy Rosji. Mocarstwa zachodnie wyciągnęły stąd wniosek, że przede wszystkim należy w przyszłości wytworzyć system europejski, skierowany przeciwko Rzeszy, ale zagwarantowany siłami tak mocarstw zachodnich, jak Rosji Sowieckiej. Okupacja Niemiec, wytworzenie z terenu położonego na wschód od Łaby zony sowieckiej i zaliczenie krajów Europy Wschodniej do rosyjskiej "strefy wpływów" było następstwem tego wniosku. Rosja dążyła jednakże, wbrew założeniom zachodnich sygnatariuszy układów jałtańskich i poczdamskich, nie do zagwarantowania ustalonego w ten sposób stanu rzeczy w Europie, lecz do podbicia całej Europy. Rezultaty zjazdów lat 1944 i 1945 wystąpiły obecnie z całą jaskrawością na jaw, a zbrojenia zachodnie świadczą o tym, iż mocarstwa anglosaskie zrozumiały wreszcie o co rzecz idzie. Toteż obecnie zaczął się okres nowy, okres walki o Europę, o prawo samostanowienia narodów europej-



skich, o wytworzenie stanu prawnego, mogącego istotnie trwać. Europa sfederalizowana, wielonarodowa i gospodarczo zrównoważona nie będzie stanowić groźby dla nikogo, a zwłaszcza dla Rosji, jakkolwiek będzie jej ustrój. Najbliższe czasy wykażą, czy powstanie takiej Europy możliwe jest tylko w drodze III wojny światowej, czy też istnieją inne możliwości jej realizacji. Nie próbując oczywiście szukać odpowiedzi na to ostatnie pytanie, poświęćmy pragniemy na zakończenie kilka uwag zadaniom polityki polskiej w chwili obecnej.

Do roku 1939 zagraniczna polityka polska oparta była z niewielkimi odchyleniami na następujących założeniach: uważaliśmy, że stan wytworzony w wyniku pierwszej wojny światowej był dobry i że stwarzał należyte możliwości rozwojowe dla Narodu Polskiego. Należało zatem dążyć do jego utrzymania, a w każdym razie nie należało nigdy współdziałać z Niemcami lub Rosją w kierunku jego obalenia. Uważaliśmy więc, że stosunki z tymi dwoma państwami winny być poprawne, lecz że przede wszystkim należy utrzymywać stałe możliwie silną własną armię, aby móc bronić istniejącego stanu prawnego w Europie wspólnie z demokracjami zachodnimi. Te podstawowe założenia polskiej polityki zagranicznej wypaczone były w pewnych momentach, jak np. w roku 1938 podczas wydarzeń monachijskich, ale generalnie mówiąc obowiązywały one podczas całego okresu 1919/1939. Dopiero w roku 1939 okazało się, jak bardzo te założenia były kruche: przeceniały one własne siły obronne, niewspółmiernie małe wobec niemieckich w nowocześniejszej, zmechanizowanej wojnie, — nie liczyły się z możliwością całkowitego rozbrojenia demokracji zachodnich w okresie, gdy nasi przemożni totalitarni sąsiedzi dokonywali olbrzymiego wysiłku zbrojeniowego, a wreszcie nie doceniały groźby choćby krótkotrwałego niemiecko-rosyjskiego porozumienia. Wyniki błędnych założeń okazały się w całej rozciągłości we wrześniu 1939 r., kiedy to w ciągu kilku tygodni, cały powersalski system europejski, a równocześnie cały system polskiej polityki zagranicznej runął, jak dom z kart.

Stwierdziliśmy wyżej, że w roku 1944 świat zachodni uznał, że nie można ponownie w wyniku drugiej wojny stwarzać stanu rzeczy w Europie zwróconego przeciw Niemcom, o ile w całej rozciągłości nie będzie on gwarantowany przez Rosję i wyciągnął stąd wniosek, że Rosję trzeba całkowicie zadowolić, aby uniknąć raz na zawsze niebezpieczeństwa nowej agresji niemieckiej. Patrząc z perspektywy doświadczeń ostatnich lat, oficjalni ówczesni przedstawiciele polscy mieli niewątpliwie wówczas rację twierdząc, że Rosji zadowolić nie można, ale wysuwali kontrpropozycje, mające rzekomo gwarantować nowy system europejski, na które zachodnie mocarstwa nie godziły się, uważając, że w razie ich przyjęcia, ponownie powstanie w Europie system zwrócony przeciw Niemcom, lecz niegwarantowany przez Rosję, tj. stan rzeczy, który się zawiązał w roku 1939. W tym momencie nastąpić musiał rozłam między

dążeniami mocarstw zachodnich, a polityką ówczesnego Rządu Polskiego, rozłam, którego wyrazem stała się Jalta. Ale rozłam nastąpił równocześnie między znaczną częścią opinii polskiej, a tą częścią rządu londyńskiego, która po wyjściu Mikołajczyka pozostała w Londynie. Jeżeli całe społeczeństwo polskie rozumiało motywy skrzydła "niezłomnego", — to jednakże bynajmniej nie dążyło w swej większości do powrotu do stanu przedwojennego, w którym Polska była stale potencjalnie zagrożona od wschodu i zachodu, żyjąc między przysłowiowym młotem i kowadłem. Polityka czechosłowacka, kierowana wówczas przez Benesza i mająca za punkt wyjścia silne związanie się z Rosją Sowiecką, uważana była wówczas przez bardzo liczne koła w kraju za jedynie możliwą, choć za "małum necessarium". Beznadziejna depresja, która zaznacza się obecnie w kraju po doświadczeniach ostatnich lat, tj. po przekonaniu się, że normalne współżycie z Rosją jest niemożliwe, skoro nawet rusofilska Czechosłowacja znalazła się pod zwykłą okupacją sowiecką, — depresja, która panuje zresztą również w licznych kołach emigracyjnych, tłumaczy się tym, że powrót do przedwojennego stanu rzeczy nie może stanowić rozwiązania, a w możliwość spokojnego współżycia z Rosją nie wierzy już nikt, poza nieliczną grupą fanatycznych komunistów.

Dlatego wydaje mi się, że nie jest dziś ważne pytanie, kto miał rację w roku 1945, tj. ci, którzy uważali, że trzeba szukać w ramach wówczas Polsce narzuconych podstaw bytu dla Narodu Polskiego, czy też ci, którzy uznali, że ważniejszy jest zbiorowy bezkompromisowy protest emigracyjny, polegający na ignorowaniu wszystkiego, co się w kraju dokonuje.

Osobliście myślę, że obiektywna ocena zarówno przedwojennych poczynań polskich, jak i wypadków lat 1944 i 1945 doprowadza do wniosku, że taka lub inna polityka polska nie miała istotnego wpływu na bieg wypadków. Polska dzieli tu los innych państw położonych między Rosją, a Niemcami, z których żadne nie uniknęło ani okupacji hitlerowskiej, ani sowieckiej bez względu na kierunek polityki, stosowany przez nie przed wojną, lub podczas drugiej wojny światowej. Z chwilą, gdy mocarstwa zachodnie kapitulują przed siłami Rosji lub Niemiec, lub fałszywie oceniają ich zamiary, narody wschodnioeuropejskie dotychczas zawsze płaciły rachunek nie tyle własnych, ile cudzych błędów. Wniosek ten jest przykry dla naszego samopoczucia "mocarstwowego", ale powinien ułatwić zgodne działanie ofiarom tych błędów, skoro nie ma powodu do wzajemnego obarczania siebie winami, których źródła leżą poza polskimi wpływami i przekraczają zakres i możliwości działania jakichkolwiek wschodnioeuropejskich polityków.

W tym stanie rzeczy punktem wyjścia polityki polskiej i wschodnioeuropejskiej winna być ocena przyszłości, a przede wszystkim winno być zrozumienie, że zbliża się chwila, w której znika tragiczna alternatywa: życia między młotem i kowadłem, w potencjalnym konflikcie zarówno z Rosją, jak z Rzeszą,

albo bierne poddanie się Rzeszy lub Rosji, a powstaje konkretnie możliwość prowadzenia narodowego bytu w ramach sfederalizowanej Europy, w której nie będzie miejsca dla hegemonii niemieckiej, ale w której i naród niemiecki będzie mógł narówni z innymi narodami europejskimi znaleźć należyte możliwości bytu i rozwoju. Staraliśmy się wykazać wyżej, że Europa taka nie może się kończyć ani na Łabie ani na Odrze, ale objąć musi kraje położone między Rzeszą Niemiecką a Rosją Sowiecką, aby stanowić mogła istotnie żywotną jednostkę gospodarczą i organizm politycznie niezależny, choć przez swą wielonarodowość niezdolny do posiadania własnego dynamizmu. Obecnie mocarstwa zachodnie zrozumiały ogrom pomyłki lat 1944/45, gdy mimowoli otworzyły Rosji wrota do Europy i gigantyczny plan ich zbrojeń świadczy o tym, że okres dyktand sowieckich się skończył. Dziś rozpoczął się okres walki o zapewnienie nowego trwałego porządku w Europie, porządku równie dalekiego od przedwojennego, jak od tego, który obecnie w Europie panuje.

Program tej nowej, lepszej Europy obecnie dojrzewa i równocześnie kończy się beznadziejny okres, w którym nie było miejsca dla twórczej polityki polskiej i wschodnioeuropejskiej, — dziś zaczyna się okres, w którym na kołach emigracyjnych spoczywa podstawowy obowiązek wywalczenia dla narodów dziś podbitych i głosu pozbawionych, należytego miejsca w przyszłym zwolna się krystalizującym systemie europejskim.

W tym zwrotnym momencie historii Europy ważne jest przede wszystkim to, aby głos przedstawicieli narodów wschodnioeuropejskich nie tylko zabrzmiał, ale przyjęty został przez opinię świata, jako głos istotnie miarodajny, tj. reprezentujący dążenia narodów, które skutkiem wypadków lat 1944 i 1945 pozbawione zostały właściwej reprezentacji. Ważne jest, aby wnioski wschodnioeuropejskie były przemyślane i zgodne z dążeniami świata, który wreszcie zaczyna dojrzewać do szukania programów twórczych; ważne jest, aby postulaty te zrozumiały były dla tych, którzy siły swe stawiać muszą do dyspozycji dla ich realizacji.

Patrząc na sprawę pod tym kątem widzenia przekonamy się, że cały problemat polski przedstawiać się będzie w nowym całym świetle. W zjednoczonej Europie nie będzie miejsca ani dla całkowicie samodzielnej polskiej polityki zagranicznej, ani dla specyficznie polskiej polityki obronnej, ani też nie będzie mowy o zrównoważonym polskim bilansie płatniczym. W ramach sfederalizowanej Europy zagadnienia najtrudniejsze, te pod których ciężarem ugięło się państwo i społeczeństwo polskie w okresie dzielącym dwie wojny, znajdują rozwiązanie europejskie, inne tracą na ostrości, jeszcze inne nabiorą zupełnie innego znaczenia. Na Kongresie Wiedeńskim sprawą, która wywołała najwięcej sporów, było ustalenie granicy między Królestwem Pruskim i Królestwem Saskim, czyli sprawa, która wkrótce potem w ogóle przestała istnieć. Dziś nie wiemy nawet,

co w nowym układzie europejskim będzie zagadnieniem istotnym, a co całkiem nieważnym, a federacja europejska stworzy i dla narodu niemieckiego korzyści, ważniejsze od sporów granicznych.

Wiemy natomiast jedno, że w ramach sfederalizowanej Europy Naród Polski zająć musi należne mu miejsce, aby wreszcie i dla niego zaistniały w warunkach spokoju i równowagi możliwości rozwojowe, których nie posiada od roku 1918, których nie mógł sobie zapewnić w okresie międzywojennego chaosu europejskiego, a które są systematycznie niszczone od roku 1939.

Obrona tak rozumianych interesów Narodu Polskiego stanowić musi główne zadanie emigracji polskiej, która korzysta ze swobody ruchów i myśli, — wszystko inne wydaje się nieważne, wszystko inne winno być funkcją zadania głównego.

Ł. MAŁECKI

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości", "Zycia".

Dzieci Warszawy w początkach XX-go stulecia

1.

W pierwszych latach obecnego stulecia Warszawa była miastem dumnym zapewne i nieposiudnym, ale podbitym i opanowanym przez wroga. Jej stare pałace pokryto grubą warstwą czekoladowej farby o odcieniu "Bismarck malade" i zmieniono na urzędy i koszary. Na niektórych postawiono złote banie cerkiewne. Nowe dzielnice budowano już na modłę rosyjską. Niezwykła szerokość ich ulic miała ułatwiać manewry policji i przeszkadzać wznoszeniu barykad.

Ulice roiły się od mundurów. Urzędnicy cywilni nosili mundury o barwach swych resortów. Wielu nosiło jeszcze "wicmundiry", rodzaj fraków z ciemnego sukna o metalowych guzikach i kolorowych wypustkach. Widok ich przypominał petersburskie opowiadania Gogola. Zajęcie i rangę urzędników można było poznać po barwie i dystynkcjach munduru. Studenci nosili także mundury i czapki typu wojskowego z błękitnym otokiem. Uczniowie średnich zakładów naukowych mieli mundury z ciemnego sukna o barwach swej szkoły.

Po ulicach krążyła nieustannie policja: stójkowi z numerowanymi blachami na piersi, szpicle w cywilnych ubraniach, żandarmi o fioletowych naszywkach. W razie zamieszek na ulicach ukazywali się konno kozacy w czarnych bekieszach i rozpędzali tłum nahajkami.

Przed Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie jechały szybkie dwukonne dorożki wiozące oficerów w srebrzystych szynelach w towarzystwie tzw. lafirynd. Te ostatnie nosiły staniki o bardzo wciętej talii i szerokie do kostek spódnice, pod którymi kilka warst halek wydawało szelest zwany frou-frou. Ludność cywilna używała wolniej jadących "dorózek" — jak wymawiano ten wyraz w Warszawie — których woźnicy nosili granatowe płaszcze z srebrnymi guzikami.

Językiem oficjalnym Warszawy był rosyjski. Sądy, urzędy i szkoły nie znały innego języka. Nawet poza szkołą uczniom nie wolno było mówić po polsku. Ukazujący się niespodzianie inspek-

tor wołał: "wy opiat' żargonitje po polski" i zapisywał nazwiska. Sztydy sklepów były dwujęzyczne.

Ucisk zdawał się tym cięższy, że potęga zwycięzców nie znała granic. Rosja posiadała największą armię stałą i najrzęczniejszą dyplomację w Europie. Nie obawiała się żadnego okrażenia, przeciwnie była sama rozstrzygającym członem wszystkich możliwych koalicji, i mocarstwa zabiegały o jej względy, licytując się w usługach. Rosja zdawała się posiadać sekret władzy skoncentrowanej i najlepsze recepty na podbijanie i wchłanianie krajów ościennych. Lud jej, uzdolniony i wszystkiego ciekawy, zaczął być świadomy swej siły, i nic nie wskazywało, aby jego zwycięski od dwóch wieków pochod miał się zatrzymać na jakiegokolwiek granicy.

Stawianie oporu takiej potęgę wymagało przede wszystkim wysiłku niezależnej myśli krytycznej: oszacowania na nowo sił wroga i wyzwolenia się z uroku jego przewagi. "Weź trzecinę i zmierz nią świątynię i tych, którzy się w niej znajdują", jak mówi anioł Apokalipsy. Bez nowego rozpoznania opór — jako beznadziejny — wygasłby sam.

Dla tej przyczyny ośrodek oporu przeniósł się był w tych latach do inteligencji warszawskiej. Na niej też skupiła się uwaga i nacisk władz okupacyjnych. Za ciemno ubranymi panami w pince-nez snuli się szpicle, nocami odwiedzali ich żandarmi. Na nadzór i ucisk inteligencja odpowiedziała bezwzględny ekskluzywizm, odsunięciem się od oportunistów. Ten typ inteligencji znikł w okresie niepodległości, nie pozostawiając spadkobierców ani nawet uporządkowanej przez historyka tradycji.

Kształcenie dzieci stawało inteligencji wiele zawiłych zagadnień. Przedstawiciele wolnych zawodów nie mogli deklasować swych synów pozbawiając ich dyplomów szkolnych. Z drugiej strony, oddając ich do szkół, posyłałi swe młode i wrażliwe latorośle w paszczę krokodyla, a w każdym razie w miejsce, gdzie ucisk był najbardziej brutalny. Wychowana sama w podobnych okolicznościach, inteligencja warszawska posiadała jednak w tych sprawach znaczne doświadczenie.

2.

W ósmym roku życia byłem chłopcem nerwowym i krnąbrnym. Wychowany częściowo na wsi, byłem jednak fizycznie dobrze rozwinięty, i ojciec mój uznał mnie za dorosłego do trudów szkolnych. Naukę miałem zacząć w klasie wstępnej szkoły Zgromadzenia kupców na Walicowie.

Rok szkolny zaczynał się w początku września, który tego roku był chłodny i dżdżysty. Jak wszyscy chłopcy owego czasu, zostałem ubrany w mundur: długie, czarne spodnie z zieloną wypustką, czarną sukienką kurtkę i także szynel z zielonymi naszywkami mojej szkoły. Na głowie miałem czarną czapkę z skórzany daszkiem i zielonym otokiem, na plecach skórzany tornister.

W tym stroju, o pół do dziewiątej wyszedłem z ojcem z naszego mieszkania na Powiśle, kierując się w stronę Nowego Świata. Drogę tę miałem potem odbywać codziennie sam.

Z ulicy Browarnej, której ubogie i ludne domki przypominały bardziej małe miasteczko powiatowe niż Warszawę, skręciliśmy w Oboźną, wznoszącą się sromo na skarpę. Chodnik oddalał się w tym miejscu od pochyłej jezdni i prowadził, wzdłuż kilku drewnianych domów, do fontanny bijącej pod samą skarpe. Naprzeciw fontanny stał żółty, niski budynek z jasną suteryną, gdzie mieściła się pracownia znanego wówczas grafika, Feliksa Jabłczyńskiego. W początku dwudziestych lat Jabłczyński, zaliczony do oryginałów warszawskich, ukazywał się czasami w Małej Ziemiańskiej.

Od fontanny drewniane schody wznosiły się na skarpe. Chodnik łączył się tam znów z jezdnią i prowadził do wąskiej uliczki, biegnącej między dwoma rzędami wysokich domów bez drzwi wejściowych. Tym wąskim przesmykiem Oboźna wychodziła na Nowy Świat naprzeciw pałacu Staszica, który w tych czasach miał pseudo-bizantyjską, czekoladową fasadę z złotą banią na wierzchu.

Gdy miałem więcej czasu, szedłem inną drogą, przez Sewerynowów, gdzie dwa razy na tydzień odbywał się targ. Cliche zazwyczaj ulice pokrywały się w te dni szeregami straganów, wśród których panował małomiasteczkowy, jarmarczny ruch. W jednym miejscu, na drągach opartych na kozłach, wisiały rzędy gotowych ubrań. Kupujący rozbierali się na ulicy, składali swe łachmany na bruku i przymierzali nowe ubrania. Pewnego razu zobaczyłem tam Feliksa Brodowskiego, zapomnianego dziś pisarza, którego widywałem u mego ojca. Z blond brodą i bardzo poważną miną Brodowski w białej koszuli i takichże długich kalesonach przymierzał garnitur koloru gniadego.

Na Nowym Świecie siadałem do konnego, miniaturowego tramwaju Nr 6, jadącego na plac Grzybowski. Kurs ten kosztował trzy kopiejki, przedstawiające się jako miedziana, pokryta zielonkawą patyną moneta niepraktykowanej obecnie wielkości.

Plac Grzybowski był jednym z głównych ośrodków dzielnicy handlowej. Bruk w niej zdawał się być zawsze mokry, pokryty czarnym, lepkiem, nieustannie deptanym błotem. W domach otaczających plac mieściło się kilkadziesiąt małych sklepików handlujących towarami łokciowymi, bławatnymi, obuwiem, owocami, narzędziami dla rzemieślników itd. Na placu i otaczających ulicach panował nieustanny ruch. Środkiem jezdni pokrytej granitową kostką jechały ciężkie wozy z węglem i towarami, chodnikiem płynęła cała rzeka śpieszących się ludzi.

Z placu Grzybowskiego parę minut tylko dzieliło mnie od szkoły, mieszczącej się w obszernym i jasnym a jednak nieco ponurym budynku z ciemnego kamienia.

3.

Pierwszy raz odbyłem tę drogę z ojcem, który przyglądał mi się przez chwilę i przemówił mniej więcej w te słowa:

“Prowadząc cię do szkoły, chciałem ci powiedzieć czego masz się tam trzymać. Przede wszystkim nie zapominaj nigdy, że szkoła jest narzędziem twego wroga, który chce cię zemleć na miarkie wapno i przerobić na coś innego niż to czym jesteś. Od dziś będziesz mu opierał się sam, nie bardzo mogą cię liczyć na kogokolwiek. Nie daj się ani przestraszyć groźbami, ani zwieść pochwałami i wyróżnieniami. Bądź uważny i przytomny. Twoim zadaniem jest nie dać się schwycić.

“Twoi koledzy są w takim samym położeniu. Ile są wari i jak zachowują się pod przymusem, o tym dowiesz się później, kiedy ich poznasz bliżej. Na razie pamiętaj, że jesteś za nich współodpowiedzialny. Nie uchylaj się od tej odpowiedzialności, jakkolwiek nie wiesz w jakim stopniu możesz liczyć u nich na podobną postawę. W ten sposób poznasz ich najlepiej”.

Śluchałem uważnie, od czasu do czasu podnosząc wzrok na ojca, który ciągnął dalej:

“Łaciny i greki nauczysz się później. Tymczasem nie chciałbym, abyś trafił od razu tam, gdzie przymus i ucisk są najsilniejsze. Przez pierwsze lata będziesz więc chodził do szkoły bardziej ludzkiej”.

Tu ojciec opowiedział mi w głównych zarysach historię szkoły Zgromadzenia kupców.

Szkoły średnie w Królestwie Kongresowym były rosyjskie, i cały ich personel nauczycielski sprowadzany był z Rosji. Mimo specjalnego dodatku do uposażeń za służbę w Polsce, szanujący się nauczyciele nie podejmowali się zadań rusyfikatorskich. Przyjeżdżał więc z Rosji rodzaj pośredni między nauczycielem i chuliganem, ludzie wydaleny z innych szkół za pijaństwo i brak kwalifikacji, którzy w Polsce stawali się posłusznym narzędziem polityki rusyfikatorskiej kuratora okręgu warszawskiego.

Zgromadzenie kupców pragnęło mieć szkołę nieco lepszą od gimnazjów rządowych. W tym celu, po przełamaniu wielu oporów i rozdaniu bogatych łapówek w Petersburgu, kupcy pozyskali na stanowisko dyrektora szkoły niemłodego już pedagoga rosyjskiego nazwiskiem Cwietkowskij, który przez długie lata był rektorem Korpusu paziów, rodzaju liceum dworskiego, gdzie kształcono wielkich książąt i przyszłych dygnitarzy imperium. Rozporządzając z tego tytułu najwyższymi protekcjami, Cwietkowskij mógł nie liczyć się zbytnio z kuratorem okręgu warszawskiego i skompletować personel nauczycielski według swego uznania. Dopóki Cwietkowskij żył, szkoła korzystała z pewnej niezależności i miała tryb nauczania nieco odmienny od gimnazjów rządowych.

Dyrektora szkoły zobaczyłem w kilka dni później na korytarzu, strofującego uczniów — rzecz wówczas niezwykła — po polsku. Był to człowiek już bardzo stary, z białą brodą. Młodość

jego upłynęła zapewne w czasach Mikołaja I-go. Z jego ust płynęła dziwna mieszanina słów rosyjskich i polskich, wymawianych jak gdyby z wileńska.

W żelaznej maszynie ucisku były zatem szczeliny. Dziś zapytałbym, jak dalece szczeliny te powstawały z współistnienia gospodarki kapitalistycznej i władzy opartej na czystej przemocy. System socjalizmu państwowego pozwala dziś na ucisk polityczny nierównie dokładniejszy, bez luk i przeoczeń. Wówczas nikt sobie z tego nie zdawał sprawy.

Moje pierwsze wtajemniczenie siedmioletniego chłopca dało mi poznać zarazem potęgę i słabe miejsca przeciwnika. W stojącym przede mną murze były rysy i szczeliny. Ile ich było i jak głębokie?

Pytanie to przyszło mi na myśl podczas pierwszej lekcji gimnastyki. Do klasy naszej wszedł wysokiego wzrostu oficer w mundurze kapitana i kazał nam iść na podwórze. Tam zaczął musztrować nas jak w koszarach, tworzyć szeregi, łamać je i tworzyć na nowo, dwójkami i czwórkami. Głos jego był dźwięczny, z twarzy zaś nie schodził uśmiech, jak gdyby bawił się sam widokiem swych miniaturowych żołnierzy. Jego ciemne oczy patrzyły jednak na nas ze skupioną uwagą. Był to jedyny oficer zatrudniony w Warszawie jako nauczyciel. Dlaczego Cwietkowskiej powołał go na to stanowisko? Czyżby i on należał do jakiegoś porozumienia? Pytanie to nie opuszczało mnie podczas całej lekcji, ponieważ już przedtem słyszałem o dekabrystach i o Towarzystwie południowym w Tulczynie. Naszego nauczyciela gimnastyki widzieliśmy tylko kilka razy, bo zimną lekcje gimnastyki zastąpiły — w braku odpowiedniej sali — roboty ręczne.

4.

Ojciec wszedł ze mną do kancelarii szkoły i tam dowiedział się, że wpisany zostałem do klasy wstępnej B, mieszczącej się na parterze. Z kancelarii wyszliśmy znów na ulicę i ojciec pożegnał mnie przed drzwiami szkoły. Na korytarzu było już pełno chłopców ubranych tak samo jak ja i szukających swych klas.

Drzwi z napisem "prigotowitielnyj klas B" znajdowały się w końcu korytarza. W ciągu kilku minut chłopcy wypełnili salę. Miejsca wybraliśmy sami, wiedzeni jakimś niejasnym instynktem. W wyborze tym ujawniły się między nami od razu różnice, z których dopiero potem zdaliśmy sobie sprawę. Chłopiec, który miał być primusem klasy, usiadł w pierwszej ławce, naprzeciw katedry. W ostatnich ławkach siedli od razu ci, którzy w ciągu roku mieli mieć największą ilość stopni niedostatecznych. Ja usiadłem w przedostatnich ławkach, blisko od drzwi.

Spóźnieni zajęli miejsca, jakie pozostały jeszcze wolne. Obok mnie usiadł chłopiec nazwiskiem Adolf Gelbhaar, niezły uczeń, wesoły i koleżeński. W wieku dorosłym spotkałem go tylko raz jeden jako Wacława Dębowskiego, kupca drzewnego w Gdańsku.

Spośród innych kolegów, których spotykałem w latach późniejszych, nikt nie wybrał zawodu kupieckiego, do którego przygotowywały wyższe klasy naszej szkoły.

Za nami siedział późniejszy sławny aktor i reżyser Aleksander Węgierko. Był wówczas jasnym blondynem z białymi rzęsami. Na lekcjach systematycznie i dyskretnie spał, z głową opartą na rękę. Nasz "klasnyj nastawnik" i nauczyciel rosyjskiego, Bałmaszow, rumiany i pogodny w swym zielonym "wicmundirze", wrywał go z drzemki wołając: "Wiengierko, wy niewniematielny!"

W jednej z pierwszych ławek, tuż za primusem, siedział drobny chłopiec o ciemnych, bujnych włosach, pracowity i poważny nad wiek. Bałmaszow nazywał go "Blit". Był to późniejszy pisarz katolicki, zamordowany przez Niemców w listopadzie 1939, Marceł Rafał Blüth.

Pierwszy rok upłynął nam na oswajaniu się z długimi spodniami, z atramentem, rondówkami, kajetami, piórnikiem, tornistrem i dyscypliną szkolną. Ale już w roku następnym, w klasie 1-ej, zaczęły przenikać do nas prądy zrodzone z toczącej się właśnie wojny rosyjsko-japońskiej.

Był to czas ulotek i druków nielegalnych. Jeden z naszych kolegów przyniósł do klasy hektograf, na którym postanowiliśmy powielić własne pismo. W kilka minut zawiązał się tymczasowy komitet redakcyjny, który w kilka dni później rozpoczął podczas pauzy wspólną lekturę składanych na jego ręce rękopisów.

Nie przypominam sobie dziś treści tych rękopisów. Pamiętam jedynie, że w znacznej części były wesołe, żartobliwe. Jeden z felletonów podpisany był pseudonimem "Hosenknopf". Kiedyśmy doszli do tego podpisu, Gelbhaar, którego wciągnąłem do komitetu, odezwał się: "Hosenknopf" to nie jest żaden pseudonim. To jest mój wujek". Wskutek tej uwagi zmieniliśmy podpis na "Unterhosenknopf".

5.

W szkole Zgromadzenia kupców Żydzi stanowili równo połowę moich kolegów. Wielu z nich mówiło zrazu źle po polsku. Większość Żydów warszawskich mówiła w domu yidish, Litwacy zaś mówili często po rosyjsku. W ciągu dwóch i pół lat, jakie spędziłem w szkole kupców, wszyscy ci chłopcy nauczyli się — w szkole rosyjskiej — mówić poprawnie po polsku. Łączyło nas z nimi wspólne położenie, ucisk ciężący po równu na obu częściach ludności i wynikające stąd wspólne zadania. Pierwsze różnice powstały dopiero podczas strajku szkolnego, w którym część uczniów Żydów nie brała udziału. Różnice te nie dały powodu do żadnych dyskusji lub incydentów, ponieważ — nie chodząc do szkoły — nie spotykałem więcej łamistrajków.

Moim kolegom Żydom z wstępnej i pierwszej klasy zawdzięczałem znajomość spraw, których niezrozumienie zaciążyło później na całym następnym pokoleniu młodzieży.

Antysemityzm szkolny, który w Polsce niepodległej miał przybrać tak chorobliwe i barbarzyńskie formy, opierał się na paru całkowicie błędnych mniemaniach, których w ogniu walki nikt nie potrafił sprostować.

Nasi młodzi antysemitom wyrosli w przekonaniu, że Żydzi są od nich zdolnijsi, pracowitsi, przeznaczeni niejako do zajmowania w wolnej konkurencji pierwszych miejsc. Cały ten kompleks niższości właściwy antysemitom nie posiada żadnej podstawy. W szkole Zgromadzenia Kupców ja i moi rówieśnicy nie mieliśmy nigdy wrażenia, że nasi koledzy Żydzi umieją więcej od nas i mogą sprostać zadaniom dla nas niedostępnym. Jeżeli zostawialiśmy im bez zazdrości miejsca primusów, było to raczej skutkiem braku zapału do rywalizacji w szkole, którą pogardzaliśmy.

Antysemityzm szkolny powstał w chwili, kiedy zakłady naukowe wypełniła młodzież polska szukająca w nich przygotowania do tzw. zawodów praktycznych i lekceważąca wiedzę bezinteresowną. W zawodach tych Żydzi posiadali więcej doświadczenia, lecz przygotowali się do nich w sposób całkowicie odmienny.

Większość młodzieży żydowskiej wychodziła przed pięćdziesięciu laty z chederów, gdzie czytała najdokładniej, ucząc się na pamięć całych rozdziałów, Stary Testament i część Talmudu. Było to wykształcenie humanistyczne, odpowiadające z gruba znajomości Homera i Platona, jakie wynosiła młodzież z gimnazjów klasycznych. Posiadłszy te całkowicie niepraktyczne wiadomości — przepisy Mojżesza i anegdoty z życia Abrahama i Sary — młodzi izraelici brali się do handlu i zaćmiwali na tym polu konkurentów dyplomowanych przez szkoły i akademie handlowe.

Jaki był sekret ich uzdolnień i powodzenia? Żydzi posiadali po prostu przewagę, jaką młodzież o wykształceniu humanistycznym za wszystkich czasów posiadała nad niewykształconymi nosicielami tytułów i dyplomów.

Od pewnego przemysłowca słyszałem przypisywane Citroënowi zdanie, że najlepsze kwalifikacje na kierowników wielkich przedsiębiorstw posiadają osoby umiejące także w wieku dorosłym czytać autorów łacińskich. Nowożytnie przedsiębiorstwa przemysłowe są tak złożone, że kto wchodzi w ich szczegóły, traci z oczu całość. Kierownik może nie znać szczegółów, ale musi umieć odpowiedzieć na pytanie po co dane przedsiębiorstwo w ogóle istnieje i jakim celem ma odpowiadać. Musi więc posiadać doń stosowny dystans, spojrzenie humanistyczne, jakie daje znajomość autorów klasycznych.

Mało kto zastanawiał się nad prawdziwym paradoksem epistemologicznym, jaki ukrywa się na dnie programów szkół specjalnych i zawodowych. Gdybyśmy znali dokładnie przyszłość, moglibyśmy równie dokładnie przewidzieć, jakie wiadomości będą nam potrzebne. Nie znając przyszłości, nie możemy o tym nic pewnego powiedzieć. Ilu uczniów szkoły, mającej nas wy-

kształcić na kupców, wybrało później ten zawód? Z moich kolegów znam tylko jednego, który poszedł tą drogą.

Z chederu i z domu większość moich kolegów Żydów wyniosła szacunek dla wiedzy bezinteresownej, wsparty autorytetem religii i tradycji. Taka ocena wiedzy jest podstawą wszelkiego wykształcenia. Wykształcony zdobywa szybko potrzebne mu wiadomości praktyczne, na które niewykształconemu całego życia za mało.

W miarę swej specjalizacji, szkoły — tak w Polsce jak gdzie indziej — ofiarowywały coraz więcej rzekomych wiadomości praktycznych, wydawały zaś coraz mniej młodzieży wykształconej i zrezygnowały wreszcie z takich ambicji. Z murów szkolnych wyszły pokolenia zawiedzione, świadome straconego bezpowrotnie czasu, trawione kompleksem niższości i skłonne do szukania kompensaty w arogancji i barbarzyństwie.

6.

Już po kilku dniach stało się wiadome, że primus naszej klasy nazywa się Reiss. Był to ten sam chłopiec, który pierwszego dnia usiadł od razu na miejscu dla primusów przeznaczonym. Imienia jego nie pamiętam, bo w szkołach i koszarach nikomu nie mówią po imieniu, Reiss zaś najmniej się do tego nadawał. Wydawał mi się o rok lub dwa starszy ode mnie.

Był to szczupły, wysoki chłopiec o ciemnej czuprynie, milczący i nieruchomy. Nawet podczas pauz rzadko wstawał ze swego miejsca. Siedział przeważnie w swej ławce z na pół przymkniętymi oczami. Jego książki wyglądały tak, jak gdyby ich nigdy nie otwierał. Był koleżeński i odpowiadał swym najbliższym sąsiadom, ale nie brał udziału w zabawach i rozmowach kolegów, ani w wydawaniu naszego pisma. Na nasze pytania odpowiadał z pobłażliwym i odległym uśmiechem kogoś, kto posiada jakąś absorbującą go tajemnicę.

Taką samą rezerwą zachowywał w stosunku do nauczycieli. Nie wrywał się naprzód i nie wyprzedzał innych w odpowiedzi. Pytany odpowiadał bez pośpiechu, krótko, mówiąc dokładnie to czego odeń oczekiwano. Jego wypracowania były też krótkie, wynosiły zazwyczaj półtora strony. Pisane były bez poprawek, drobnym, czytelnym pismem i odpowiadały najdokładniej temu, czego nauczyciel od primusa oczekiwał. Nawet krótkość jego wypracowań nosiła znamiona kokieterii i oszczędności w obchodzeniu się z czasem nauczyciela. Przez cały czas mego pobytu w szkole Reiss nie otrzymał żadnego innego stopnia jak celujący.

Opuszczając szkołę po strajku, straciłem go z oczu. O losach jego dowiedziałem się w wiele lat później, spotykając dawnych kolegów. Nikt z nich nie umiał mi powiedzieć czy Reiss brał udział w strajku szkolnym. Brak tej wiadomości odpowiadał zresztą dyskrecji cechującej naszego primusa. Od dawnych kolegów dowiedziałem się, że Reiss pozostał do końca w szkole

Zgromadzenia kupców, nie otrzymawszy przez cały czas innego stopnia jak celujący. W kilka miesięcy po otrzymaniu dyplomu odebrał sobie życie.

Kiedy myślę o tym dziś, wydaje mi się, że taki koniec Reissa był nieunikniony, i już w klasie wstępnej mogliśmy się tego domyśleć.

Niedawno mój młody przyjaciel, były uczeń Szkoły Morskiej w Gdyni, opowiedział mi historię rzucającą pewne światło na Reissa i na innych chłopców przybierających pod naciskiem formy swej szkoły.

Na kilkadziesiąt miejsc, jakimi rozporządzała Szkoła Morska, zgłaszało się corocznie po kilkuset kandydatów, których musiało dwukrotnie przesiewać. Naprzód więc oglądano ich matury i większość zgłoszeń odrzucano a limine. Pozostałych wzywano do Gdyni i poddawano wstępnemu egzaminowi. Mój młody przyjaciel miał w swej maturze celujące stopnie tylko ze sprawowania i gimnastyki, wszystkie pozostałe stopnie były dostateczne. Nikt też nie spodziewał się, że zostanie dopuszczony do egzaminu. Wbrew tym przewidywaniom został wezwany do Gdyni, gdzie złożył pomyślnie egzamin.

W pewien czas później, rozmawiając o tym z dyrektorem szkoły, starym marynarzem, posłyszał odeń następujące objaśnienie: "Doświadczenie wykazało, że primusi z celującymi stopniami na maturach nie są nic warci na morzu. Dlatego pańska matura mnie zainteresowała. Tego chłopca, pomyślałem sobie, chciałbym zobaczyć. Być może uda się zrobić z niego marynarza".

Paweł HOSTOWIEC.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Filozofia, niepokój i odnowienie

Głównym tematem tych rozważań¹⁾, tematem niekiedy trudno uchwytnym i nieco zakamuflowanym, będzie kwestia następująca: — Jak reaguje jednostka, a raczej, mówiąc dokładnie, jednostki, specjalnie wrażliwe na przemiany historyczne, w chwili, gdy na widnokręgu ukazuje się przerażające zjawisko — bardziej geologiczne niż dziejowe, — któremu na imię: Państwo Powszechne?

Istnieje wiele sposobów udzielenia odpowiedzi na to pytanie i prawdopodobnie one wszystkie są w równym stopniu usprawiedliwione. Chcemy przez to powiedzieć, że sposób, w jaki spróbujemy nie tyle na nie odpowiedzieć, co je oświetlić, nie jest jedynym, ani nawet najbardziej zasługującym na przyjęcie. Jednakże i niezależnie od różnorodności możliwych odpowiedzi, sama forma, w jakiej zostało postawione pytanie, wyklucza pewne rodzaje rozważań, takich na przykład, które zdradzają tendencje konkretnego w y t ł u m a c z e n i a, to znaczy, poszukują określonej przyczyny, lub całego ich zespołu w celu scharakteryzowania zjawiska. Niezależnie już od tego, że wytłumaczenie, oparte wyłącznie na przyczynowości, nie zawsze jest w historii usprawiedliwione, ani płodne w następstwa, uważamy, iż nasza znajomość człowieka i dziejów nie jest dotąd wystarczająca, aby wyłożyć w dostatecznym stopniu przyczyny, nawet jeśli istnieją one same przez się. Z tego też względu, zamiast usiłować ten proces wytłumaczyć, zamierzamy go po prostu opisać.

NOTA TŁUMACZA: Miałem kłopot z przełożeniem hiszpańskiego słowa *angustia*, co oznacza jednocześnie niepokój, trwogę, rozterkę, smutek, przygnębienie, ale z żadnym z tych pojęć nie pokrywa się stuprocentowo. W pracy Ferratera *angustia* występuje w sensie bardziej jeszcze obszernym, mianowicie, jako niepokój jednostek i zbiorowości, wywołany przełomowym charakterem epoki. "Niepokój naszego czasu" — ten tytuł świetnej książki Artura Górskiego, najbardziej może odpowiada intencji Ferratera. Dla uproszczenia używam słowa niepokój, zdając sobie sprawę, że jest to przekład niedokładny, a co najmniej niepełny.

J. Ł.

1) Tych kilka stron stanowi rodzaj wstępu do książki, nad którą autor obecnie pracuje. Dopiero gdy praca dobiegnie końca, lektura całości umożliwi właściwe zrozumienie tych wstępnych rozważań.

Ale nawet po ograniczeniu się do opisu, będziemy zmuszeni bardzo znacznie zredukować teren pojęciowy, na którego tle zarówno pytanie jak odpowiedź mają nabrać właściwego sensu. Nie chodzi o opisywanie skomplikowanych zjawisk społecznych w pewnej epoce, ani nawet o wskazywanie wydarzeń, którym moglibyśmy przypisać wyjątkowość. Nasz zamiar jest skromniejszy, aczkolwiek — jeśli się nań spojrzy pod specjalnym kątem widzenia — kto wie, czy nie jest on właśnie ambitniejszy. Zamierzamy mianowicie dostrzec kształt, w jakim chwilę wyjątkowo napiętego kryzysu ludzkości i dziejów odbijają się w duchowości jednostek dostatecznie dojrzałych, aby w nich samych odbiła się sytuacja zbiorowości. Sposób sformułowania pytania determinuje zatem — jak to często się zdarza — samą formę odpowiedzi. Raz jeszcze: chodzi o opis pewnych postaw czynnych, które z uwagi na ich pogłębienie i zdecydowanie możemy traktować jako typowe. Jako ludzi, którzy poszukują w przeszłości pewnych procesów, zewnętrznie podobnych do procesów rozgrywających się w naszej epoce, obchodzą nas nie same wydarzenia, lecz ich istotna treść.

I oto teraz, gdyśmy już narzucili sobie wspomniane ograniczenia, gdy wydawało się, że pozostaje nam jeden jedyny sposób ujęcia kwestii, okazuje się, iż jest ich co najmniej dwa. Po pierwsze — i przyjąwszy, że pytanie dotyczy sytuacji, w jakiej zgodnie z naszą wolą, lub wbrew niej znajdujemy się wszyscy — możemy spróbować zdać sobie sprawę, co właściwie dzieje się z nami samymi. Po drugie: możemy badać to, co dzieje się z innymi ludźmi, którzy znaleźli się w identycznej sytuacji. Zapewne, każdy z tych sposobów posiada swoje przewagi i swoje nieuniknione, a powodujące sprzeczność niedogodności. Żeby ograniczyć się do przewag najbardziej widocznych, odpowiedź pierwszego typu daje ten zysk, że opisuje proces nam najbliższy, a zatem — zważywszy, iż najbliższe jest najłatwiej poznawalne — pozwala nam osiągnąć najpełniejsze, a nawet najbardziej pogłębione poznanie tegoż procesu. Natomiast drugi typ odpowiedzi daje nam zysk, polegający na widzeniu całości i — zważywszy, że zaczynamy widzieć każdą rzecz dopiero z chwilą, gdy widzimy całość — pozwalający ogarnąć wzrokiem ów proces z dystansu, a nie, jak to się zdarza zbyt często, na pierwszym, rozbijającym całość planie. Niedogodność każdego z tych sposobów badawczych jest również dwójaka. Patrzenie z bliska często niepokoi i, niepokojąc, zaciemnia wzrok. Być może, uda się nam uzyskać spojrzenie w głąb, ale niełatwo przyjdzie uzyskanie tego, co jest w równym stopniu konieczne jak penetracja wnętrza: perspektywy. Natomiast oglądanie rzeczy oddalonych wzrusza nas z trudem, a ta niezdolność wzruszenia się może narzucić widzenie przez szkielek, najmniej nadające się do obserwacji spraw ludzkich, szkielek, któremu na imię: obojętność.

Jedno tylko widzę wyjście z tych trudności, zarazem równoległych i przeciwstawnych. Jak każde rozstrzygnięcie, które da-

żyć do kompromisowej skrajności, musi ono odbyć się kosztem samej ich istoty. Byłby jednak w błędzie, kto by sądził, że każda akcja pośrednicząca prowadzi do eklektyzmu. Rzecz zrodziła, nie mogą na tym miejscu rozwozić się nad sposobami osiągnięcia takiej kondensacji pośredniczącej, a jednak nie wpadającej w eklektyzm, powiem tylko, że jej definitywny kształt należało by wypracować poprzez pogłębienie filozoficzne, redukujące do minimum nieuniknione straty. Będzie to ujęcie bardzo luźne i naturalnie niewystarczające, jeśli oświadczyć, że chodzi tu o rodzaj ciągłego lawirowania między dwoma biegunami; funkcja każdego z nich jest graniczna w stosunku do drugiego. Tak więc, obserwując i oceniając, uważamy za konieczne nie tylko nie porzucać — jak sugeruje Ortega y Gasset — określonego punktu widzenia, ale nawet zdobyć się na patrzenie z dwóch punktów widzenia jednocześnie. W wypadku, który nas zajmuje, chodzi o obserwację terażniejszości ze stanowisk przeszłości, zaś przeszłości ze stanowisk współczesnych. W ten sposób ani pogłębienie, ani widzenie całości nie poniesie zbyt wielkiej szkody. Innymi słowy: będziemy starali się patrzeć na sprawy minione w ich niepodzielnej całości tak, jak gdyby działały się dotychczas, czy też — mówiąc dokładniej — mogły się w jakiś sposób powtórzyć. Z drugiej strony, to co się dzisiaj p o w t a r z a, pozwoli nam uchwycić niektóre cechy najbardziej wyraziste zjawisk niepowtarzalnych. Teraźniejszość zatem będzie naszym punktem widzenia historii, ta zaś da nam odpowiedni kąt patrzenia na terażniejszość. Raz zaakceptowawszy próbę takiej akrobacji umysłowej, będziemy zmuszeni zająć określone stanowisko wyjściowe, zawsze gdy przyjmiemy, że stanowisko to, nawet gdyby się go nie określiło wyraźnie, wskazuje nam stanowisko docelowe. Gdy tak kwestię postawimy, będziemy w stanie — już bez obawy niebezpiecznych niespodzianek — zacząć od tego, od czego zwykle zaczynamy, kiedy w grę wchodzi istota, a nie powierzchnia spraw ludzkich: od historii.

A więc znowu zwracamy się ku historii. Ale powtórzmy: będzie to historia, widziana zawsze niejako zezem, konfrontowana nieustannie z naszą sytuacją obecną i naszą nieodwracalną egzystencją. I skoro już mamy, aczkolwiek w tak niewygodny sposób, poddawać historię rewizji, uczynimy to przede wszystkim w stosunku do tych jej odcinków, które mają dla nas największe znaczenie. Wobec tego konieczny jest pewien wybór. Zjawiska historyczne, których poszukamy, muszą być bliskie nam samym, a to nie w sensie ich dokładnej znajomości, lecz w takim sensie, że — znane dobrze, czy źle — powinny być przez nas na nowo przeżyte. Otrząskanie się z historią będzie oznaczało nie tyle znajomość jej treści, co percepcję tej niewątpliwej prawdy, że to, co zdarzyło się w przeszłości, równie dobrze może się zdarzyć i dzisiaj.

Uważam, że żadna chwila historyczna — przynajmniej, jeśli chodzi o Zachód — nie jest w podanym powyżej sensie równie

nam dostępna, co okres, w którym znikł, czy też powoli zniknął świat hellenistyczny, podczas, gdy rodził się nowy świat, zachodniochrześcijański. Tę przejściową chwilę²⁾ cechują liczne i wielce skomplikowane cechy, a niemal wszystkie one podane zostały dokładnym studiom historycznym. My zajmujemy się tylko jedną z tych cech charakterystycznych, tą właśnie, nad którą historycy nie zatrzymują się; być może, dlatego, że sama przez się *s e n s u s t r i c t o* nie włącza się do nauki o dziejach. Taki charakter rozważań, zawartych w tej książce, został uwydatniony już w samym tytule, który tym samym stał się czymś więcej niż zestawieniem mniej lub bardziej sugestywnych określeń. W owym momencie skrzyżowania się myśli racjonalistycznej z tajemnicą, weszbranego witalizmu z ascezą, władzy z anarchią, powstała sytuacja zasadnicza, która — z największą jasnością, do jakiej zdolny jest człowiek w sprawach dotyczących jego ludzkiej kondycji — wyzwala niepokój, usprawiedliwia pełnię witalną, kierując ją ku filozofii, i wreszcie z mniejszymi, lub większymi oporami prowadzi ku odnowieniu. W ciągu wielu lat, a nawet stuleci człowiek jest narażony na samotność, pozbawiony wszelkiego oparcia, musi się potykać ze zjawiskiem, którym — zdawałoby się — nikt nie kieruje, które należy do wszystkich i do nikogo, które dotyczy wszystkich, ale nikogo nie obejmuje, wielkim zjawiskiem, które nazwaliśmy geologicznym, wydarzeniem raczej naturalnym, niż historycznym: niezmiernym, anonimowym Państwem Po-wszechnym.

Nie łatwo ustalić, kiedy zaczyna się ten proces, być może dlatego, że w przeciwieństwie do zjawisk ściśle naturalnych, zjawiska dotyczące ludzi nie mają właściwie swego początku. Człowiek bowiem charakteryzuje się tym, że wszystko, co zachodzi w jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, jest ze sobą połączane i niejasne. Słowo *p o c z ą t e k* nie oznacza zatem, że w pewnej, ściśle określonej chwili dziejowej wynurzyło się coś całkowicie i absolutnie nowego. W każdym razie to coś nowego to nie tyle wydarzenia, co nowy sens, którego wydarzenia nabierają właśnie w chwili, gdy już przeminęły. Mówimy to wszystko, aby uniknąć zarzutu, że opis nasz jest zbyt rozszerzony w czasie, lub też za ubogi w wydarzenia. A jednak i pomimo wymienionych trudności ustalenia początku procesu, zawsze istnieje moment, o którym można powiedzieć, że coś zaczyna się w nim zaczynać, lub też, że coś będzie się stawało już po rozpoczęciu procesu. Proces, który próbujemy opisać, zaczął się tak, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach; zaczął się w chwili, gdy — przynajmniej symbolicznie — pewne jednostki poczuły się

2) Nigdy nie dość podkreślać, że dla *homo viator* każda chwila jego życia jest przelotna. Ale człowiek jest w stanie przyzwyczaić się do ciągłej podróży i zorganizować swój dom nawet na marginesie czasu. Mówiąc o tej nietrwałości, mamy na myśli doprowadzenie do ostatecznych granic stanu przejściowego, który jest codzienną, stałą cechą ludzkiego życia.

banitami we własnym społeczeństwie i udają się na poszukiwanie czegośkolwiek, co byłoby w stanie wypełnić pustkę, powstałą w ich duszach. Wielokrotnie już powiedziano, że zdarzyło się to filozofom greckim, i to w takim stopniu, iż filozofia grecka, stanowiąca badanie rzeczywistości i w tym sensie prekursorkę naszej własnej filozofii, sprowadza się, po prostu rzecz biorąc, do formy bytowania określonego przez samotność, a zatem wyłączenie do myślenia, zjawisko najzupełniej obce ludziom, którzy takiej samotności jeszcze nie zaznali. Dzisiaj zjawisko to wydaje się niemal normalne, ponieważ, sami będąc spadkobiercami Grecji, uważamy myślenie — chciałem powiedzieć myślenie "racjonalne", podporządkowane pewnym zasadom — za nieodłączną część "ludzkiej natury"³⁾. Ale w tamtych czasach myślenie racjonalne stanowiło *c z y n n o ś ć* całkowicie inną. Heraklit powiada w jednym z swych fragmentów zupełnie wyraźnie: "zapytywałem o samego siebie". Przyjmowano przed Heraklitem i przyjmuje się po nim, w ten czy inny sposób, że natura ukrywa się, zaś zadaniem człowieka jest jej odkrycie. Ta niewidoczna natura jest prawdziwą ojczyzną człowieka. Poszukiwanie własnej ojczyzny, lub też, jak powie Parmenides, podróż do królestwa prawdy jest więc zbawieniem człowieka; lepiej: zbawieniem tych ludzi. Od razu muszę się zastrzec, że nie leży w moich zamiarach relatywizacja myśli, ani wysuwanie tezy, że sama czynność myślenia pozbawiona jest wszelkiego sensu poza swoją genezą historyczną. Myślenie posiada co najmniej dwa oblicza: to, czym jest, i to, co oznacza. I aczkolwiek w ostatecznej konsekwencji jest rzeczą raczej niemożliwą omawianie znaczenia jakiejś myśli w oderwaniu od samego podmiotu, dzieje się to tak tylko o tyle, o ile wolno nam mówić o znaczeniu czegoś, gdy to coś istnieje. Ale gdy już istnieje, myśl odrywa się — przynajmniej w niektórych swoich aspektach — od okoliczności uwarunkowanych genetycznie i zaczyna oznaczać coś, co wprawdzie nie istniałoby bez nich, jednak wyłącznie poprzez nie wy tłumaczone być nie może. Raz zająwszy taki punkt widzenia, posuniemy się dalej i oświadczymy, że znaczenie myśli jest *p o z a c z a s o w e*, czyli — ściśle mówiąc — *o b i e k t y w n e*⁴⁾. Przyjęcie tego twierdzenia nie oznacza jednak, że myśl sama, jako funkcja związana z ludzką egzystencją, może być od niej oderwana,

3) Nie dyskutuje tego, czy zasady te mają charakter przyrodzony, czy konwencyonalny. Taka dyskusja zmusiłaby nas do odbycia całej wyprawy filozoficznej. Powiemy tylko, że już w granicach filozofii greckiej, zwłaszcza od czasów sofistów, problem ten dyskutowano z wigorem, a nawet gwałtownością. Nie przez przypadek sofisci reprezentują pierwszy kryzys filozofii, choć nie dotknął on jeszcze całości życia ludzkiego.

4) Wiem dobrze, że dotykam tu — podobnie jak na wielu innych miejscach tej książki — delikatnych problemów socjologii poznania, które jednocześnie mają zasadnicze związki z filozofią poznania, a nawet filozofią ogólną. (Patrz w tej sprawie książkę Jacques J. Maquet, *Sociologie de la connaissance*, Lowanium, 1949. Zwłaszcza rozdział XIV). Powtarzam, że moja praca nie może i nie powinna wy-czerpać tematu.

choćby traktować ją wyłącznie jako pewien zespół znaczeniowy.

W greckim sposobie myślenia interesuje nas bardziej o treści znaczeniowej i stosunku do określonego obiektu, funkcja, jaką wykonywa, a którą powinno się — być może — identyfikować z samym obiektem. Można to ująć w następującą formułkę: myśl, jako "myślenie racjonalne" i jako wiara w pewne niewzruszone zasady — lub też, co zresztą w naszym wypadku niczego nie zmienia, w zasady, które konwencjonalnie uważa się za niewzruszone — zaczyna funkcjonować w określonym momencie historycznym. Jest to chwila, w której jednostka po raz pierwszy czuje się samotna, odcięta od otaczającej ją społeczności, nie dzieląca z nią tej jednej jedynej rzeczy, jaką dzieliła między sobą prawdziwi ludzie, choćby poza tym byli śmiertelnymi wrogami: wspólnych wierzeń.

Wiele razy zadawałem sobie pytanie, jak na przykład, zachowałby się Sokrates wśród okropności obozu koncentracyjnego. Jeśli, jak należy oczekiwać, pozostałby wierny sobie, na pewno coś by uczynił. Nie ma żadnego znaczenia to, że, być może, jego czyn powstałby w aspekcie negatywnym. Zakładamy, że Sokrates nie wybrałby buntu. Bunt jest reakcją właściwą tym, którzy zachowali jeszcze ufność w skuteczność organizacji społecznej. Ale również możemy być pewni, że Sokrates nie wzywałby niczyjej pomocy. Natomiast wybrałby powolne i pewne zagłębianie się w samym sobie, szukając na drodze rozumowej sił dostatecznych, by znieść otaczające go okropności. W ten sposób podkreśliłby jeszcze bardziej swe odosobnienie od świata; jego postawa nabrałaby pewnej tragicznej wielkości. Otóż to samo, albo coś bardzo zbliżonego dzieje się, gdy na arenie historycznej zjawia się typ ludzi, wprawdzie różnie reagujących i o różnych cechach charakterystycznych, ale jednakowych w swym odczuwaniu świata. Taki właśnie typ ludzki, znany był w Grecji pod nazwą *sophos*, — słowo, którego tłumaczenie musi być z konieczności nieprecyzyjne, zdradzając nie tylko rzeczowość, ale również i znaczenie myślowe; "mędrzec" — to przykład stosunkowo najbliższy. Sokrates nie inauguruje tego typu ludzkiego, ale wyraża go po raz pierwszy z niezrównaną dojrzałością. W takim ujęciu pojęcie "mędrca" traci wyrażnym paradoksem. Zgodnie z nim mędrzec nie dlatego jest mędrce, że tyle rzeczy wie, ale odwrotnie: ten, który tyle wie, wie właśnie dlatego, że jest mędrce. Mówiąc inaczej, być mędrce oznacza zajmować taką postawę, która daje dostęp do wiedzy nie dlatego, że człowiek wykazuje w tym kierunku ciekawość, ani tym mniej dlatego, że chce ją zużyć dla celów utilitarnych, ale dlatego, że uprzednio stworzył w kręgu swego istnienia klimat przychylny wszelkiemu poznaniu. W ten sposób doszliśmy do pełnej afirmacji tego, cośmy przedtem zaledwie dali do zrozumienia: myśl filozoficzna, niezmienna sama w sobie, nie jest w stanie przeniknąć do egzystencji ludzkiej dopóty, dopóki nie powstanie typ człowieka-mędrca. To, co mędrzec odkrywa, zapewne istniało wśród nas już uprzednio.

Ale obecność tego czegoś nie wystarcza, zanim nie stanie się obecne w nas samych, w duszach ludzkich. Albowiem — i tu nie unikniemy powtórzenia oklepanej prawdy — w ostatecznej konsekwencji człowiek jest początkiem wszystkiego co ludzkie.

Po tym wszystkim mamy prawo oświadczyć, że jeśli mędrzec grecki wykrywa pewne prawdy, oraz zasady, jakie prawda mu objawia⁵⁾, zawdzięcza swe osiągnięcia wcześniejszemu dojściu do przekonania, iż może żyć tą prawdą i jej zasadami. A stało się to możliwe dzięki temu, że przedtem przeszedł on najwidoczniej przez doświadczenie wiary przeciwnej, a raczej — żeby być bardziej ścisłym — nie-wiary. Nie będziemy zagłębiać się w rozważania, czy prawdą jest — niektórzy tak sądzą — jakoby filozofia powstała jako próba podtrzymania świata wierzeń, które się przeżyły. Sądzymy, że jest to błąd historyczny, a co najmniej teza niemożliwa do sprawdzenia. Tak czy owak, niepodobna zaprzeczyć, że tego rodzaju "wierzenia" powstają, gdy człowiek czuje się osamotniony w swoim istnieniu. To dlatego i tylko dlatego jesteśmy w stanie zbliżyć niepokój do filozofii, nie budując jednocześnie lirycznej metafizyki. Nie nazywam tu niepokojem — pragnę to podkreślić energicznie — patetycznego i nieokreślonego światopoczucia, w którego klimacie, jakże niewyraźnym, znajdzie się miejsce właściwe dla wszystkiego. Nazywam niepokojem zjawisko bardzo konkretne, poddając się, jakby powiedział Russell, określone mu opisowi; zjawisko, polegające na tym, że w pewnych momentach człowiek czuje się poza nawiasem społeczeństwa, niezdolny włączyć się do niego, jeszcze nie w stanie wywyższyć się nad nie przykładem własnego istnienia, lub też już wyzwolony z poczucia niższości, z degradacji do poziomu pasywnego, zrezygnowanego elementu przyrody.

To, co nazywamy filozofią, można pojmować na różne sposoby, a ilość ich jest prawdopodobnie nieskończona. Być może, cechą nieodłączną filozofii jest jej proteizm. Ale wśród tej nieskończonej ilości sposobów, dwa wybijają się na pierwszy plan. Jednym z nich jest sposób, do jakiego przywykli filozofowie "zawodowi", — zakładając więc, że ja sam do nich się zaliczam, również do jakiego przywykłem: na przykład, jako zespół założeń, których znaczenie na skutek ścisłego powiązania z określonymi obiektami, nie może być podporządkowane założeniom innego typu, albo też jako pewna czynność refleksyjna, skierowana ku wyjaśnieniu znaczenia — lub też braku znaczenia — założeń wszelkiego rodzaju. Z takiego punktu widzenia — zachowującego swą jedność, mimo, że zawiera w sobie dwie koncepcje pozornie wrogie — filozofia jest pewną czynnością refleksyjną, która w zasadzie może być wykonywana przez każde indywi-

5) Rozumiemy to "odkrycie" (z tym, że nie jesteśmy w stanie dłużej rozwodzić się nad tą sprawą), jako coś większego od zwykłego odczucia rzeczowości, ale coś mniejszego od "objawienia", konkretnie, od owej Offenbarung, którą Heidegger przypisuje pierwszemu wizjom filozofów (*Platons Lehre von der Wahrheit*, Bern, 1947).

duum, obdarzone odpowiednimi zdolnościami. W jej wyniku otrzymalibyśmy pewną wiedzę, zaś w miarę coraz głębszego przenikania "techniki" — zarówno materialnej, jak umysłowej — w życie człowieka, pewną logikę wiedzy, a nawet ogólną aksjomatykę wszelkiego rodzaju założeń. Istnieje jednak inny punkt widzenia, z którego widzimy filozofię w kształcie zupełnie odmiennym. Jest to możliwe, jeśli traktujemy ją w ścisłym związku z gruntem, z którego wyrasta, to znaczy, nie jako zespół założeń, albo czynność zupełnie refleksyjną, ale jako pewną postawę życiową. Wówczas staniemy nie wobec filozofii *stricto sensu*, lecz wobec życia filozoficznego. Ponieważ zaś życie filozoficzne związane jest z człowiekiem, filozofia zjawia się wówczas, jako określona forma ludzkiej egzystencji. By dowiedzieć się tego, co filozofia mówi, musimy w głównej mierze przyjąć pierwszy punkt widzenia; by dowiedzieć się skąd filozofia wychodzi⁶⁾ — Landsberg nazwał to kiedyś "pozycją wyjściową" filozofii — pozostaje nam jedynie ta druga postawa. Jednakże problem, który postawiliśmy, jest tego typu, że niezależnie od naszych upodobań osobistych musi się nam narzucić to drugie widzenie filozofii: jako życia filozoficznego. Wówczas to, co nazywamy filozofią, już bez trudności wejdzie w związek z pojęciami, które jej towarzyszą w tytule tej pracy: jako coś, co się mieści między niepokojem i odnowieniem. Bowiem filozofia, pojęta jako życie filozoficzne, zjawia się w połowie drogi między chwilą, w której człowiek czuje się jeszcze samotnym, a chwilą, w której już się odnowił, to znaczy — przemienił.

Ale nie zawsze tak się zdarza. Jak zawsze w życiu ludzkim, indywidualnym czy zbiorowym, potrzebna jest koniunktura. W zacytowanym przez nas wypadku obecność takiej koniunktury jest jak najbardziej oczywista; chodzi o dłuższe trwanie okresu, w którym — że użyję terminologii Toynbee'go — schizma w organizmie społecznym powoduje opisywany przez nas proces: powstawanie schizmy w ludzkiej duszy. Od IV-go wieku przed Chrystusem aż po rok 529 po Chrystusie — data skazania na banicję przez Justyniana "ostatniego filozofa" — ten proces historyczny rozwija się *in crescendo*, a tak harmonijnie, że wydaje się nie tylko, jak to już wielokrotnie powiedziano, prawdziwą symfonią, ale ponadto "symfonią klasyczną". Nie ulega zresztą wątpliwości, że bardziej uważne spojrzenie wykryje w tej pozornie harmonijnej symfonii szereg dźwięków kłócących się ze sobą, ale, jak to się dzieje prawie zawsze, dysonans rozszerza jeszcze bardziej zakres dźwiękowy. W naszym wypadku istnieją co najmniej dwa elementy, w pewnym stopniu nie nadające się do kompromisu. Z jednej strony, kres pewnego świata — starożytnego świata greckiego — z którym to kresem łączy się, aczkolwiek w odmiennym rytmie chronologicznym⁷⁾,

6) Ausgangssituation. Patrz Scheler und Nietzsche w *Recherches Philosophiques*, Paryż.

7) Patrz Bogumił Jasinowski, *Historia de la Cultura*, Santiago de Chile, 1948, str. 4-7.

kres pre-imperialnego świata rzymskiego. Z drugiej strony kres imperialnego świata rzymskiego, będący jednocześnie początkiem. Tak więc, obserwując te sprawy z większą uwagą, łatwo dochodzimy do wniosku, że owe *crescendo* jest — jeśli wolno nam użyć terminologii muzycznej — czymś w rodzaju kontrapunktu. Lecz mimo wszystko i zawsze z punktu widzenia, jakimi sobie wyznaczyli, proces ten jest jednolity w tym sensie, że w miarę jego rozwoju zarysowuje się z coraz większą jasnością zjawisko, ciemne i niewyraźne w pierwszej epoce, gdy granice współżycia ludzkiego wyznaczało miastopanstwo, zjawisko, zmuszające do utożsamienia pod względem sematycznym i historycznym słowo "mędrzec" (w znaczeniu użytym poprzednio) ze słowem "człowiek". Jak wszystkie procesy historyczne, tak i ten proces zależny jest od pojęcia ilości. Właśnie ilość jednostek, biorących udział w owej symfonii, determinuje jej harmonię, wzbogaconą przez dysonanse. Podobnie, jak w epoce nowoczesnej, tak i wtedy każdy nowy etap był wyznaczany i określany przez interwencję nowych elementów. Chcemy przez to powiedzieć, że niepokój, który obejmował pewne mniejszości w okresach, gdy każda rzecz posiadała swe właściwe miejsce we wszechświecie, a każdy człowiek swoje stanowisko i rolę w społeczeństwie, zaczął się rozpowszechniać, nie zatrzymując się ani na chwilę, na coraz liczniejsze masy ludzkie. To, co początkowo wydawało się wynikiem arystokratycznej postawy intelektualistów, z biegiem czasu nabrało znaczenia genialnej apercepcji przyszłości. Powiedzieliśmy, że słowo "mędrzec" dąży do semantycznego utożsamienia się ze słowem "człowiek", ale to nie znaczy, aby masy miały ambicję osiągnięcia tytułu "mędrców". Stało się tak raczej w wyniku rozpowszechnionego mniemania, według którego osiągnięcie stopnia "mądrości" znaczyło zdobycie się na zdeterminowaną postawę "ludzką". Tak więc błędna byłaby opinia, według której historia ludzkości miałaby utożsamiać się z historią filozofii. Raczej odważę się podtrzymać twierdzenie wręcz odwrotne, a mianowicie, czy chcemy, czy nie chcemy, historia filozofii utożsamia się z historią ludzkości. Symfonia historyczna nie jest zatem konsekwencją melodii, narzuconej przez "mędrców" i modulowanej przez resztę ludzi; jest ona raczej wynikiem przeplatania się różnych melodii, dobiegających z różnych poziomów, a jednak koincydujących ze sobą. To, że się zwraca większą uwagą na którąś z nich, nie znaczy, aby się pomijało inne; po prostu dlatego, że jest bardziej "wyrazista", słuch potrafi najłatwiej ją wyróżnić. Stąd wypływa racja, dla której użyliśmy tyle uwagi "filozofom", zawsze przecież traktując ich jako ludzi, podtrzymujących pewne, mniej lub więcej paradoksalne "opinie". Właśnie w nich zmanifestowała się z większą jasnością, niż w jakiegokolwiek innej grupie ludzkiej owej epoki, skylina wielkiego miasta i niepokojąca linia jego widnokręgu. Nawet wyłączony ze swej społeczności, filozof pozostawał wiernym jej zwierciadłem. Filozof — czy też

ten, kto w owej epoce spełniał jego rolę — dojrzał, zobaczył tę sytuację i, wierny swej misji, dał wyraz jej odbiciu. Marx powiedział kiedyś, że filozofowie ograniczyli się do opisywania świata; świat natomiast należy zmienić. Najwidoczniej zapomniał, że filozof nie jest w stanie tego uczynić, zanim nie nastąpi utożsamienie się człowieka z filozofem. Ale takie utożsamienie musi być poprzedzone wyraźnym zademonstrowaniem istniejących różnic. Zanim się rzeczywistość przekształci, na pewno rzeczą konieczną jest jej kontemplacja. Stosunek kontemplacji i akcji, myśli i czynu stanowi jeden z wiecznych problemów człowieka, stanowi problem sytuujący się na terenie filozofii, co więcej — właśnie jako problem —, nie do pomyślenia poza nią.

Nie jest więc sprawą przypadku, że pewni ludzie — u filozofów wystąpiło to w jaskrawszym nasileniu — raz postawiwszy owo "równanie z jedną niewiadomą", które inni pragnęli rozwiązać, nie będą w stanie uciec od własnych sformułowań, choćby ta niemożliwość najbardziej im ciążyła. Przez dłuższy czas w identycznej sytuacji znajdowali się i "filozofowie" i ci "inni", o których jeszcze w sposób ogólny wspomniemy. Pierwsza reakcja czynna wobec pewnych sytuacji wydaje się niekiedy rodzajem paraliżu. W każdym razie przez długie lata większość znajdowała się właśnie w tym położeniu. Jak to jeszcze zobaczymy, drogi, wybierane przez nich, były bardzo różne. Ale pierwotny cel ten sam: w ten czy inny sposób należało przetrwać. Człowiek znalazł się w strasnym świecie, na który — i to jest dla nas najważniejsze — nie był w stanie wywrzeć żadnego wpływu o widocznej skuteczności. Aż wreszcie starożytność poznała taką chwilę, w której człowiek stanął przed niemożliwością nawet zwrócenia się do augurów o odkrycie mu jego Losu. Ciągłe jeszcze badano ów los, ale odpowiedziom dawano wiarę wyłącznie dlatego, że były zawsze jednakowe. "Wszystkie znaki w ciągu tych czterdziestu dni były złowróżebne, a to świadczy najszuszniej, że należało dawać im wiarę"⁸⁾. Stąd paradoksalnie wynika konieczność wiary w los wówczas, gdy jest on już z góry wyznaczony. Albowiem losy ludzkie nie znalazły się już w rękach samych ludzi, ani w rękach bogów, lecz w rękach potęgi nienazwanej, anonimowej i nieokreślonej. Na arenie historii zjawilo się Państwo Powszechne, ale — powtórzmy to raz jeszcze — jako zjawisko narzucające się siłą fenomenu przyrodniczego. Ostatecznie, nie było nawet konieczne, aby zjawisko to przyjęło kształt "Państwa", i — być może — określenie "społeczność" byłoby najwłaściwsze, z tym zastrzeżeniem, że chodzi o społeczność w takim stadium rozwoju, gdy oblicze jej jest jeszcze trudno poznawalne. Ta społeczność zaczęła teraz wywierać na człowieka władzę anonimową i niedocleczoną, jaką przedtem wywierała przyroda. Powiedzmy to jeszcze raz, gdyż na tym polega jedna z naszych idei podstawowych: w pewnych mo-

mentach wielkie zjawiska historyczne są, jak potężne kataklizmy geologiczne; nikt i nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Wówczas człowiek czuje, że jest zgubiony: jego byt w ogóle nie wchodzi w rachubę wobec elementarnych impulsów Historii-Przyrody. Nawet ludzie, którzy pozornie potrafili narzucić się wydarzeniom i kierować nimi, ludzie typu "Cezarów", w istocie nie są niczym innym, jak szczytem olbrzymiej fali. Człowiek czuje się zatem uciemiony, przybity, ponieważ dawną wolność utracił, a nie zdobył żadnej nowej wolności. To, co teraz nazywa wolnością, zredukowało się do minimalnej ekspresji, do niemal niezauważalnych i nieuchwytnych fenomenów duchowych. We właściwym znaczeniu wolność nie istnieje, a jej tzw. rzeczywistość to — że przypomnimy określenie z "Fausta" — tyle, co nieco hałasu i dymu, zasnuwających mgiełką stropy firmamentu.

Cóż można przedsięwziąć w podobnym położeniu? Powiedzianno wiele razy, że człowiek myśli i działa w wielkiej skali tylko wtedy, gdy znajdzie się między ścianą i mieczem. Prawdopodobnie nie jest to zupełnie słuszne, zważywszy, że zbyt często w takich sytuacjach człowiek ginie od miecza. Traktując przeciwieństwo zagadnienie, jak i wszystkie sprawy ludzkie, cum grano salis, możemy zgodzić się, że w podobnych sytuacjach manifestuje się silniej niż kiedykolwiek nieźrównana pomysłowość człowieka. I właśnie te okresy, w których wydaje się, że już nie pozostało nic poza rozpaczą, stwarzają warunki najprzychylniejsze do wkopywania w ziemię sadzonek nowej nadziei. W każdym bądź razie człowiek może uczynić wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy: nie robienia niczego, poddania się obywatelnemu paraliżowi. A więc nawet w tak trudnych sytuacjach człowiek jest w stanie czynić wiele rzeczy i czyni je istotnie; właśnie jego działanie w przełomowych okresach postaramy się opisać w tej pracy. W dalszym ciągu będziemy mówili o ludziach, którzy — że wrócę do poprzedniego porównania — usiłują ulokować się na szczycie dziejowej fali: to będą jednostki władcze, naśladowcy Cezara. Inni wysiłą się na zniszczenie społeczności nie mając wizji żadnego nowego ładu społecznego: tych nazwiemy "barbarzyńcami". Jeszcze inne spróbują przetrwać historię, chroniąc się w pogardzie, obojętności, porzuceniu walki i ucieczce: tych nazwalismy "filozofami". Będą wreszcie i tacy, co poprzedzeni przez wizję przyszłości, dojrzą nowe królestwo, które, choć nieznanne u początków świata starożytnego, przekształci go całkowicie u jego zmierzchu: tak oto wymieniliśmy chrześcijan. Te cztery główne głosy, pozornie skłócone, w istocie rzeczy dobrze uzupełniające się i zgrane, złożą się w owej chwili na przewodnią melodię historii powszechnej.

José FERRATER MORA

(Przełożył z hiszpańskiego Józef ŁOBODOWSKI)

8) Ibsen: Cezar i Galileusz, II, akt 5.

Z dziedziny zagadnień etnicznych

W okresie w którym żyjemy zaszło wiele niezwykle ciekawych procesów odzicia, zdawało by się zupełnie już nie istniejących, odrębności narodowych. Zjawisko to obserwować można tak w Europie wschodniej, jak i zachodniej. Na wschodzie wyodrębniły się np. narody ukraiński i białoruski o których, szczególnie na Zachodzie, niemal nic nie wiadano przed 1917 r. W tym samym czasie na Zachodzie naród irlandzki wywalczył ostatecznie swą niezawisłość, a ciągle dające o sobie znać ruchy walijski i szkocki świadczą o tym, że procesy te nie są jeszcze zupełnie zakończone. Obudzeniu się takich, nieraz dawno uśpionych odrębności narodowych i powstaniu nowych narodów w wielu wypadkach nie przeszkodziły ani pokrewieństwo, a nawet tożsamość języka, ani wspólnota religii, ani nacisk polityczny. Dlatego procesy te wydawać się mogą poniekąd nieoczekiwane i zagadkowe.

Z procesami tymi ściśle powiązane są dalsze zagadnienia. Wyodrębnienie się nowej narodowości jest równoznaczne ze skurczeniem się granic etnicznych tego narodu, w którego skład dana narodowość dotychczas wchodziła. Proces ten łączy się zatem z zagadnieniem asymilacji mas etnicznych jednego narodu na rzecz drugiego, oraz z zagadnieniem przesuwania się granic etnicznych poszczególnych narodów.

Zjawiska wspomniane powyżej bywają różnie wyjaśniane. Jednak przy bliższej analizie żadna z dotychczasowych interpretacji nie daje zadowalającej odpowiedzi na szereg narzucających się pytań. Wynika z tego, że przy dotychczasowych rozważaniach i próbach rozwiązania tych problemów nie były brane pod uwagę te wszystkie czynniki, jakie mogą tu wchodzić w grę. W niniejszym artykule pragnę zwrócić uwagę na jeden z takich zapoznanych czynników w nadziei, że przyczyni się to do lepszego zrozumienia interesujących nas problemów.

Śledząc przesunięcia granic polskiego terytorium etycznego w historycznym okresie naszych dziejów spotykamy kilka uderzających zjawisk. Stwierdzamy, że naród nasz w tym okresie stracił znaczne tereny na zachodzie na rzecz narodu niemieckiego. Ostatni etap tego procesu rozegrał się w ciągu XIX w., gdy definitywnemu zniemczeniu uległa wiejska ludność Dolnego i Środkowego Śląska; odzyskanie niepodległości przy-

czyniło się do zahamowania tego procesu na Górnym Śląsku. Równocześnie na ziemiach północno-wschodnich odbywał się odwrotny proces, proces asymilacji na rzecz narodu polskiego elementu etycznego bałtyjskiego, głównie Jadźwingów, a po części również elementu białoruskiego.

Jest rzeczą oczywistą, że na oba te procesy, tj. asymilacji niemieckiej (germanizacji) na zachodzie i asymilacji polskiej (polonizacji) na północnym-wschodzie, w dużej mierze wywarły wpływ warunki polityczne. Asymilacja w obu wypadkach odbywała się na rzecz tego narodu, który na tym terenie miał przewagę polityczną. Z drugiej jednak strony widzimy, że analogiczne warunki polityczne, korzystne dla polonizacji, zawiadły na naszym południowym-wschodzie. Na tym terenie polonizacja elementu ukraińskiego nie postępowała. Pomimo, iż górne warstwy społeczne ruskie (ukraińskie) uległy polonizacji jeszcze w czasach przedrozbiorowych, to jednak etniczne granica polsko-ukraińska (ruska) od zarania naszych dziejów historycznych tylko nieznacznie przesunęła się na wschód.

Ta stosunkowo duża odporność na polonizację elementu etycznego ukraińskiego jest o tyle zastanawiająca, że równocześnie ci sami Ukraińcy wykazali stosunkowo słabą odporność na rumanizację tak w Besarabii jak i na Bukowinie w okresie, gdy oba te kraje należały do Rumunii. Jak można sądzić po różnych objawach i na podstawie dostępnych danych, odwrotny proces, tj. proces ukrajinizacji elementu etycznego rumuńskiego równie dość szybko postępował w okresie, gdy przewaga polityczna była po stronie ukraińskiej, tj. w okresie gdy Besarabia wchodziła w skład carskiej Rosji.

Wydawało by się, że tę wzajemną łatwość asymilacyjną ukraińsko-rumuńską można tłumaczyć po prostu słabym obojętnym uświadomieniem narodowym połączonym ze wspólnotą religijną. Jednakże przy bliższym rozpatrzeniu takie tłumaczenie nie wytrzymuje krytyki. Najlepiej wykazuje to obserwacja innego zjawiska, a mianowicie faktu niezwyklej odporności elementu ukraińskiego na rusyfikację. Ukraina, cała lub częściowo, znajdowała się przez 300 lat pod panowaniem rosyjskim (moskiewskim). Pokrewieństwo języka ukraińskiego i rosyjskiego, które wielu uczonych uważa nawet za dialekt tej samej mowy, ta sama religia, a poza tym ogromny nacisk polityczny i bezwzględnie prowadzona rusyfikacja, są czynnikami, które winne były nie tylko ułatwić, ale wprost doprowadzić do zupełnego zlania się obu tych elementów etnicznych. Tymczasem, pomimo zupełnej rusyfikacji górnych warstw społecznych i inteligencji ukraińskiej ("małoruskiej"), wśród ludu, tak ukraińskiego, jak też i rosyjskiego, istniała zawsze głęboka świadomość wzajemnej odrębności. W braku innych zewnętrznych objawów, starannie zacieranych przez Rosjan, wyrażało się to we wzajemnych, sobie niechętnych i pogardliwych przezwiskach "Chachoł" w stosunku do Ukraińców (Małorosjan) i "Kacap" w stosunku do Moskali (Wielkorosjan). Wystarczyło kil-

ka lat względnej wolności, by masa etniczna ukraińska nabrała pełnej świadomości narodowej.

Fakt, że mając tak sprzyjające warunki i tak ogromną przewagę Rosjanie nie potrafili zasymilować Ukraińców (jak zresztą i Białorusinów), jest niezwykle zastanawiający. Nabiera on szczególnego znaczenia, gdy się weźmie pod uwagę, że ci sami Rosjanie wykazali ogromne zdolności asymilacyjne wchłonawszy bez reszty liczne plemiona pochodzenia fińskiego, które zamieszkiwały ogromne przestrzenie Rosji na północ od rzek Wołgi i Kamy. Aby sobie uświadomić, jak znaczne przestrzenie zostały objęte rusyfikacją, wystarczy rzucić okiem na jakąkolwiek mapę zasięgu Słowian w X w. i porównać ówczesny wschodni zasięg słowiański z zasięgiem dzisiejszym języka rosyjskiego, który obejmuje nie tylko całą wschodnią Europę, ale sięga poza Ural w głąb Syberii. Nie należy zapominać, że sama Moskwa leży na terenie, który jeszcze w początkach X w. był zamieszkiwany przez fińskie plemię Mordwinów.

Zastanawiając się nad tymi zjawiskami zwróciłem uwagę na spostrzeżenie, które mi się nasunęło podczas mych badań nad prehistorią różnych krajów europejskich. Stwierdziłem mianowicie, że granice zasięgów różnych "kultur" przedhistorycznych są niejednokrotnie czymś niezwykle trwałym i utrzymują się przez bardzo długi czas, występując na tym samym terenie przez szereg kolejno po sobie następujących okresów. Co ciekawsze, niektóre z tych długotrwałych granic przedhistorycznych dają się z łatwością wyróżnić do dziś, występują bowiem bądź to pod formą granic etnicznych, bądź też pod formą zasięgów różnych zjawisk z dziedziny kultury materialnej lub duchowej w obrębie jednolitego terytorium narodowego. Doskonałym przykładem tego są znane linie graniczne różnych zjawisk etnograficznych zestawione przez Prof. J. Czekanowskiego, przechodzące ukosem przez Polskę mniej więcej od Gdańska w kierunku południowo-wschodnim między Bugiem a Wisłą, i gdzieś w okolicach na północ od Lwowa skracające na wschód.¹⁾ Wydaje się, że bliższe zajęcie się tymi właśnie przedhistorycznymi liniami granicznymi może znacznie przyczynić się do wyjaśnienia zagadnień asymilacyjnych.

Prehistoria jest nauką stosunkowo jeszcze młodą i dla ogółu społeczeństwa zagadnienia prehistoryczne są mało znane. Winę tego w dużej mierze ponosi brak prac popularyzacyjnych, które dopiero od niedawna zaczęły się pojawiać. W dodatku wiele z tych prac kładzie zbyt wielki nacisk na opisy materiałów archeologicznych, co jest mało interesującą ogół literaturą. Jednak nawet najlepiej pisane prace popularyzacyjne nie są dziś w stanie dać należytego obrazu dziejów przedhistorycznych Europy, nie mówiąc już o innych częściach świata, gdzie

1) Mapa prof. Czekanowskiego była kilkakrotnie reprodukowana, ostatnio, po wojnie, w moich "Najstarszych Dziejach Narodu Polskiego" w wydaniach II-IV (Londyn 1945-1947), ryc. 8.

sytuacja jest znacznie gorsza. Pomimo upływu dziesiątków lat, podczas których prowadzone były liczne intensywne badania archeologiczne, niektóre kraje europejskie są jeszcze ciągle terenami niemal zupełnie niezbadanymi.

Dotychczasowe prace syntetyczne, tak w języku polskim jak też w innych językach, ograniczają się głównie do opisu dziejów przedhistorycznych własnego kraju. Nieliczne prace, obejmujące całość Europy, zajmują się tylko częścią dziejów przedhistorycznych i niemal nigdy nie wykraczają w czasy bliższe nam aniżeli 500 przed Chr. Mimo jednak trudności, wynikających z tego stanu rzeczy, wydaje się, że w pracach dotychczas publikowanych znajduje się dostateczna ilość materiałów by móc zająć się obchodzącym nas tu zagadnieniem.

Studium map przedhistorycznych Europy środkowej i wschodniej, publikowanych w pracach różnych autorów wykazuje, że na tych terenach występuje kilka wyraźnych linii granicznych, pojawiających się stale w kolejno po sobie następujących okresach. Chcąc jednak poznać genezę tych linii i zrozumieć ich znaczenie trzeba się cofnąć daleko wstecz w przedhistoryczną przeszłość, do początków kolonizacji Europy przez osiadłe ludy rolnicze.

Do Europy południowo-wschodniej najstarsze ludy rolnicze przybyły prawdopodobnie w 4-tym tysiącleciu przed Chr., a w każdym razie nie później niż w ciągu 3-go tysiąclecia. Osiedliły się one przede wszystkim na urodzajnych ziemiach krajów naddunajskich, sudeckich i na lessach Polski południowej; zajęły one równocześnie także czarnoziemny rumuński i ukraiński po Dniepr.

Najstarsza ludność rolnicza Europy nie była jednolita ani pod względem kulturalnym ani rasowym, a tym samym prawdopodobnie i etnicznym. Archeologia wyróżnia pośród niej kilka jasno odcinających się kompleksów kulturalnych, które doskonale widać na mapce fig. 1, przedstawiającej stosunki, jakie panowały w Europie mniej więcej w połowie 3-go tysiąclecia przed Chr. Zaznaczyć należy, że białe plamy na mapce bynajmniej nie oznaczają terenów wówczas niezamieszkałych. Są to po prostu kraje, których stan badań archeologicznych nie pozwala na należyte odtworzenie ówczesnych stosunków.

Przyglądając się bliżej tej mapce, wziętej z pracy Prof. V. G. Childe'a z Uniwersytetu Londyńskiego²⁾, jak i innym mapkom z tejże samej pracy, które dla braku miejsca trudno byłoby reprodukować, będziemy mogli wyróżnić w Europie środkowej i wschodniej kilka odcinających się grup. Na Bałkanach wyraźny jest podział pomiędzy ich wschodnią i zachodnią częścią. Wschodnie grupy na mapie (grupy IX i X) obejmują część dzisiejszej Bułgarii, Rumunię i Ukrainę po Dniepr. Na zachodzie grupy VI, VII i VIII obejmują Jugosławię i Niż węgierski, a wraz z grupą VIIIa również Czechy, południowe

2) V. G. Childe: *The Dawn of European Civilisation*. 5th edition, London 1949.

Niemcy i południową Polskę po Bug. Północno-wschodnia, leśnista część Europy objęta jest odrębnym kompleksem kulturowym (XX), który wkracza głęboko w tereny polskie.



Fig. 1. Europa w połowie trzeciego tysiąclecia przed Chr. (wedle V. G. Childe'a).

Na powyższej mapie zarysowały się zatem wyraźne trzy linie graniczne, jakie utrzymywać się będą nadal na mapach przedstawiających stosunki okresów późniejszych. Jedną z tych linii dzieli Bałkany na część wschodnią, dziś bułgarsko-rumuńską, i zachodnią, dziś jugosłowiańską, serbską. Dalej na północy, na Niżu węgierskim, linia ta dochodzi do łuku karpacciego, jednak na tym odcinku ulegała ona przesunięciom w późniejszych okresach, biegnąc to bliżej Siedmiogrodu, to bliżej Dunaju. Druga linia, równie wyraźnie się zarysowująca, biegnie ukosem przez Polskę od Gdańska po Lwów, pokrywając się mniej więcej z liniami granicznymi współczesnych zjawisk etnograficznych, o których była mowa powyżej. Trzecia, to linia dzieląca stepy i czarnoziemy czarnomorskie od lasów północno-wschodniej Europy, tj. rozdzielająca dzisiejsze terytoria ukraińskie od rosyjskich.

Dla poznania stosunków na tych samych terytoriach w późniejszych okresach doskonale może służyć "Atlas do prehistorii Słowian", opracowany przez Prof. K. Jażdżewskiego z Uniwersytetu w Łodzi³⁾. W atlasie tym, na 20 mapach przedsta-

3) K. Jażdżewski: Atlas do pradziejów Słowian. Łódź 1948.

wione są kolejne zmiany zasięgu Słowian w okresie od około 1300 przed Chr. do 1000 po Chr. Oczywiście, nie będziemy zajmować się tu pytaniem, czy autor ma rację, uważając poszczególne kultury przedhistoryczne za spuściznę archeologiczną plemion słowiańskich, celtyckich, germańskich, trackich, czy jakich innych. To bowiem nie ma wpływu na interesujące nas zagadnienie. Dla nas istotne jest to, że atlas podaje starannie i sumiennie opracowane na podstawie dziś dostępnych materiałów zasięgi kultur przedhistorycznych na całym obchodzącym nas obszarze. Pomimo licznych wad, wynikających z niedostatecznego stanu badań archeologicznych tych krajów, atlas ten doskonale ilustruje trwałość tych linii granicznych, które wyróżniliśmy na mapce fig. 1. Aby tu uanościć reprodukcję tu dwie mapki z tego atlasu, przedstawiające stosunki, jakie panowały na tych terenach w okresach oddzielonych od siebie znacznym odstępem czasu. Mapka fig. 2 przedstawia stosunki z początków pierwszego tysiąclecia przed Chr., a więc po upływie około 1500 lat od okresu którego stosunki przedstawione zostały na mapce fig. 1. Mapka fig. 3 podaje obraz stosunków na tych samych terenach po upływie następnych 1500 lat, tj. z czasów około połowy pierwszego tysiąclecia po Chr.

Pomimo, że poszczególne mapki dzieli ogromny odstęp 1500 lat, widzimy, że główne linie graniczne o które nam tu chodzi są na nich utrzymywane. Stwierdzamy na nich podział pomiędzy wschodnią i zachodnią częścią Bałkanów; jedność kulturalna terenów rumuńskich i ukraińskich po Dniepr zaczyna się urywać dopiero pod koniec czasów przedhistorycznych. "Granica Czekanowskiego" wyraźnie występuje na mapce fig. 2, natomiast na mapce fig. 3 staje się ona mniej widoczna głównie z tego powodu, że autor pokrywa jednolitym kolorem te wszystkie tereny, które uważa za słowiańskie, nie wyróżniając już wewnętrznego podziału Słowian. Najostrzej jednak występuje nadal granica pomiędzy terenami ukraińskimi a rosyjskimi, biegnąca mniej więcej po granicy stepu i lasu, zaznaczonej na tych mapach grubą linią, zaczynającą się na Dniestrze i biegnącą poprzez Kijów na północny-wschód.

Aby sobie lepiej uzmysłowić znaczenie tych linii granicznych należy je porównać z jakąkolwiek mapą podającą dzisiejsze stosunki etniczne na tych samych terytoriach. Będziemy mogli stwierdzić, że dwie z tych linii stanowią dziś granice etniczne, odgraniczając Serbów od Bułgarów, oraz Ukraińców od Rosjan. Natomiast trzecia granica zatarła się na znacznym odcinku. Na północy występuje ona już tylko jako granica zasięgów zjawisk etnograficznych ("linie Czekanowskiego") w obrębie jednolitego polskiego terytorium etnicznego. Polski element etniczny znacznie ją przekroczył na północy, wkraczając na dawne tereny ludów bałtyjskich, które znajdowały się stale w obrębie oddziaływań zachodnich.

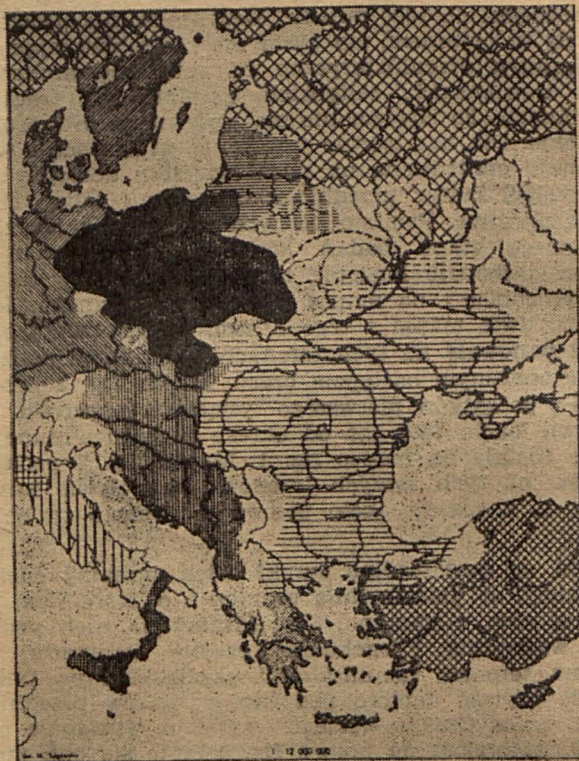


Fig. 2. Europa środkowa i wschodnia w czasach około 1000 przed Chr. (wedle K. Jażdżewskiego).

Studium przedhistorycznych linii granicznych nasuwa szereg ważnych spostrzeżeń. Wynika z niego, że przy kształtowaniu się granic etnicznych dzisiejszych narodów stare podłoże przedhistoryczne odegrało znaczną rolę. Najazdy, inwazje, obce podboje, mogły zniszczyć strukturę polityczną i gospodarczą oraz znieść górne warstwy społeczne podbitej ludności. Nie były one jednak nigdy w stanie wytepić mas ludności, która nadal tworzyła zwartą społeczność, przekazującą z pokolenia na pokolenie swe odrębności, stare tradycje społeczne i kulturalne. Pod obcym wpływem społeczność ta mogła przyjąć szereg nowych elementów kulturalnych łącznie z językiem. Jednak pomimo działania niwelacyjnego świadomość pierwotnej odrębności trwa nadal i dopiero długie wieki wspól-

noty kulturalnej z innymi, ongiś obcymi, grupami może spowodować wytworzenie się nowych całości etnicznych, w obrębie których różnice pomiędzy jej członkami składowymi, pierwotnie od siebie niezależnymi, zacierają się zupełnie, a przynajmniej stają się już małoznaczne.

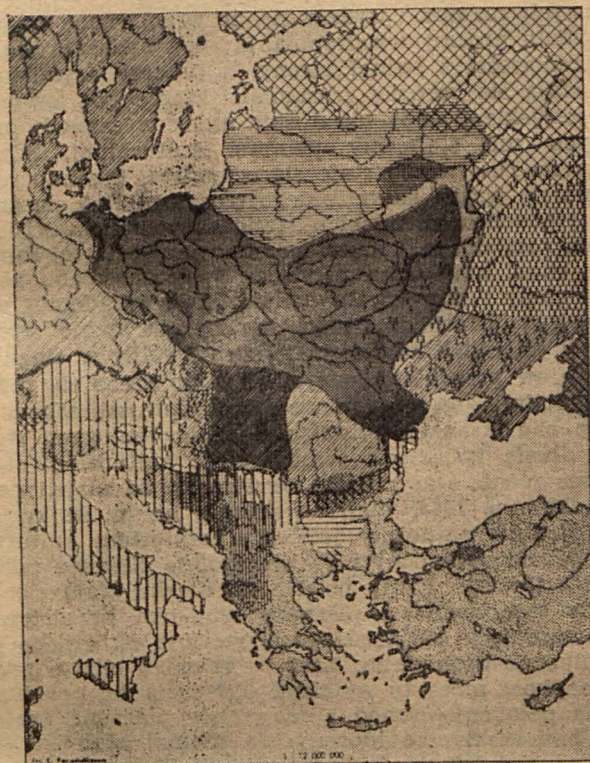


Fig. 3. Europa środkowa i wschodnia w czasach około 400 po Chr. (wedle K. Jażdżewskiego).

W świetle tego staje się zrozumiałe, dlaczego na niektórych terenach przesunięcia granic etnicznych są stosunkowo łatwe, na innych zaś są bardzo utrudnione. Społeczności, które stanowiły pierwotnie jedną całość kulturalną, rozdzieloną później przez podboje czy w inny sposób, nadal kultywują swe stare tradycje społeczne i kulturalne, pomimo, że działają na nie prądy niwelacyjne w obrębie nowych zespołów w skład których weszły. Z chwilą, gdy rozdzielone części dawnej wspólnoty znów znajdują się w obrębie jednego organizmu, wyrównanie zmian powstałych w okresie rozłąki i asymilacja są nie-

zwykle ułatwione, ilość bowiem elementów wspólnych ma znaczną przewagę nad różnicami wytworzonymi w międzyczasiu. Oczywiście, zlanie się i asymilacja będą znacznie utrudnione tam, gdzie połączenie nastąpiło zbyt późno, gdy nowe nawastrzenia kulturalne zbyt różnicowały i od siebie oddaliły części ongiś jednolitej grupy.

Na tle tych rozważań wydaje się, że wspomniane na wstępie tego artykułu procesy wyodrębniania się i budzenia się uśpionych narodowości z jednej strony, a procesy asymilacyjne z drugiej, stają się bardziej zrozumiałe. Biorąc pod uwagę fakt, że lasy rosyjskie i stepy ukraińskie nigdy w czasach przedhistorycznych nie stanowiły jedności kulturalnej, odporność ukraińska na rusyfikację staje się oczywista. Pomimo rozprzerzenia się języka słowiańskiego (ruskiego) tak na stepach, jak i na terenach ongiś fińskich, stanowiących trzon dzisiejszego terytorium rosyjskiego, i nawet pomimo przyjęcia tej samej religii, odrębność kulturalna pomiędzy społecznościami zamieszkującymi stepy i lasy trwała nadal. Okres świadomej polityki rusyfikacyjnej ostatnich stuleci nie był w stanie wyrównać istotnych i głębokich różnic, jakie się utrwały w ciągu tysięcy lat dziejów przedhistorycznych. Inaczej rzecz się przedstawia na południu, na pograniczu rumuńsko-ukraińskim. Tutaj tereny po obu stronach dzisiejszej granicy etnicznej stanowiły przez długie tysiąclecia jedną całość kulturalną, stąd też wyrównanie różnic i asymilacja obustronna są ułatwione.

Reprodukowane tutaj mapki wskazują na to, że kraje polskie wielokrotnie stanowiły jednolite terytorium kulturalne z krajami Niemiec północnych, a szczególnie Niemiec południowych. Na tym tle straty polskie na Śląsku stają się zrozumiałe. Nie tak jasno na pierwszy rzut oka przedstawia się sprawa przesunięcia się polskiego terytorium etnicznego w kierunku północno-wschodnim. Lecz tu również bliższe przyjrzenie się mapkom może to wyjaśnić. Terytoria te, podobnie jak i dalej na północno-wschód i na wschód położone kraje bałtyckie i białoruskie, znajdowały się niemal stale w obrębie wpływów zachodnich, idących głównie od Pomorza i od strony krajów zachodnio-skandynawskich. Zamieszkiwane one były co najmniej od początku pierwszego tysiąclecia przed Chr. przez ludy należące do grupy narodów, obejmowanych nazwą Bałtów, do których prócz dzisiejszych Łotyszów i Litwinów, należeli ongiś, wymarli już Jadzwingowie i Prusowie. Granica, do której stale docierały wpływy zachodnie pokrywa się ze wschodnią granicą dawnego zasięgu ludów bałtyjskich. Południowa i wschodnia część terytorium bałtyjskiego ulega wprawdzie z czasem sławizacji, stając się białoruską, lecz mimo to dawna wschodnia granica bałtyjska nadal się utrzymywała, stając się dziś granicą etniczną rosyjsko-białoruską. Czynnikiem, który ułatwił polonizację zachodniej części terytorium bałtyjskiego były prawdopodobnie wpływy północno-zachodnie, tj. pomorskie i zachodnio-skandynawskie, które również od-

działały na centralne ziemie polskie i silnie przyczyniły się do unifikacji ziem polskich.

Przesadą byłoby chcieć wszystkie zjawiska budzenia się odrębności narodowych oraz wszystkie procesy asymilacyjne i przesuwania się granic etnicznych tłumaczyć wyłącznie oddziaływaniem starych, przedhistorycznych stosunków kulturalnych. Niewątpliwie jest jednak, że te stosunki odegrały tu wybitną rolę, zupełnie dotychczas nie braną pod uwagę w rozważaniach na te tematy. Wydaje się, że jest to dziedzina, która zasługuje na to, aby poświęcić jej specjalne studia.

T. SULIMIRSKI

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BA^Ttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,
32 Blenheim Gardens — London N.W.2

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A:

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV^e,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: J. Roskiewicz, 44, rue Vinçotte — Bruxelles,
nr konta pocztowego 3172.28.
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,

Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Głos pisarza

Powiedziano mi: "wieczór zbiorowy — pisarz, krytyk, czytelnik i wydawca; masz mówić jako pisarz". Zgodziłem się niechętnie: zaszczyt to niewątpliwy, lecz zadanie nad wyraz trudne, niewdzięczne, być może ponad me siły. Bo zważcie, drodzy państwo: nie mogę przemawiać w imieniu wszystkich, a choćby tylko niektórych pisarzy — nikt mnie o to nie prosił, nikt mnie nie upoważniał. Mogę mówić tylko o sobie, z siebie, ze swych własnych doświadczeń i ubogich przemyśleń. Więc chodzi o zwierzenia, o sprawy najbardziej skryte. O pierwszy dreszcz tajemny budzącego się słowa, o krótkie iskry natchnień, o miesiące rozpacz, lęku lub niepokoju; o noce nad rękopisem: kreślonym, wyrwanym z niebytu — przeklętym i upragnionym; o trud codzienny: jawny, nędzny trud bytu i ten podskórny, powolnego rozwoju — wśród ludzi i w samotniach, na ulicach, w pustyni, w życiu i pośród książek; o te wszystkie chwile-ziarnka, o których wie się od razu, że zakiełkują kiedyś, zmieniają się w kwiat, w roślinę, może w ogromne drzewo. Chodzi także o myśli, o świat uczuć, nastrojów; o momenty — coraz radsze i krótsze — rozkosznego zmęczenia, gdy słowo stało się ciałem, wizją, rytmem, kolorem.

Chcecie, bym mówił o tym, a raczej spopod tego, z samotności ogromnej, pogłębiającej się z każdym rokiem pisarskiego rzemiosła. Przystałem, mówię. Lecz nie żądajcie zbyt wiele, skoro nikt mnie nie zwolnił z codziennych obowiązków, nie dodał mi godziny na trud nieprzewidywany. Przyjmijcie, co dać mogę: garść myśli pozbieranych po drodze, rzuconych między karty powieści leżącej na warsztacie, pomiędzy sieczką dziennikarskich zamówień.

A więc pisarz, wydawca, krytyk, potem bibliotekarz, czytelnik — zwykła kolej rodzącej się, drukowanej, sądzonej, wreszcie czytanej książki.

Mówiąc o pisarzu, muszę się zastrzec, że nie podzielam hojności, ba — rozrzutności, z jaką emigracja obdarza siebie tytułami pisarzy. Szanuję profesorów-polityków; muszę się liczyć z nimi, skoro są zarazem szafarzami pisarskich nagród.

Przemówienie wygłoszone na wieczorze zbiorowym "Związku Pisarzy" w Ognisku Polskim w Londynie, dnia 30 stycznia br.

Ale — darujcie śmiałość — pragnę mówić o innych i do innych pisarzy. Chodzi mi tylko o twórców, o artystów, o tych co piszą fikcje: powieści, dramaty — ponad wszystko poezje.

Dlaczego tworzy pisarz? Po co? I dla kogo? Czy mogą dać wyczerpującą odpowiedź na te wszystkie pytania w ramach krótkiego głosu? Nie sądzę. Zresztą obawiam się, że nie zdołam powiedzieć niczego oryginalnego na te odwieczne, jakże trudne tematy. Zostawiam je krytykom, psychologom, uczonym.

Ponadto, mówiąc szczerze, nie wiem dlaczego piszę, co, czy kto tworzy moją ręką, przeze mnie. Któż pyta ziarna dlaczego wysuwa kiełek, czemu zapuszcza korzeń, podnosi się łodygą, potem liśćmi do słońca? Rzucono je. Tam uszło na nierodzącej glebie — tu wzeszło, by dać plon cztero, może dwudziestokrotny. Podobnie jest z talentem. Jest darem, łaską, ziarnem posianym bez zasługi, schnącym, albo rodzącym według reguł stworzenia — tajemniczych, nieznanych dotąd mimo tysięcy tomów krytyk i psychologii.

Pisarz? Cóż pisarz? To tylko sekretarz jakiejś nieznannej siły, opiekun tajemniczego ziarnka, ogrodnik, trochę hodowca. Mało i dużo zarazem. Za mało dla próżnej dumy, do zadzierania nosa gestem tych, którym natura dała urodę, wdzięczną postać, głos piękny, uwodzicielskie oczy. Ale dosyć, aby pomyśleć o zasadach uprawy — by odpowiadać za partactwo, za roztrwonienie daru. Aż nadto, aby myśleć: "jak mam pisać? dla kogo?"

Zacznijmy od drugiego pytania. Istnieją poglądy — ponoć usłyszę taki, tu, w dzisiejszej dyskusji — że pisarz nie tworzy dla czytelnika. Więc dla kogo? Sobie tworzy a muzom? Nie wierzę, to nieprawda. Zostawmy te frazesy grafomanom, nie mogącym znaleźć nakładcy, szukającym schronienia w neorotycznej pustce. Piszę się zawsze dla ludzi. Nie dla wszystkich, rzecz jasna, nie zawsze dla tych samych. Czasem dla jednej tylko, bardzo bliskiej osoby, kiedy indziej dla kogoś, gdzieś w czasie i przestrzeni — dla nieznanego, upragnionego brata, co pojmie, przeżyje lepiej, może głębiej, trochę inaczej; dla tego, kto uchwyci wymiar przeczuwany zaledwie, ujrzy wizję idącą w rękopis tylko słowem — bolesnym szarpaniem wnętrza, ale nie pełnią, nie plastycznym obrazem.

Są pisarze, którzy nie widzą. Słyszą, czują melodię słowa, snują myśli, tworzą obrazy — właściwie nieznanne sobie, choć z siebie wydobyte. I oto przychodzi on — X. Y. — bezimienny czytelnik: wrażliwy, a absolutnym słuchu, bogatej wyobraźni. Cud się łączy: samotność pokonana. To nie czytelnik tylko to współtwórca, dopełniacz wizji, najcenniejszy przyjaciel.

A więc dla niego piszę. Może nie spotkam go nigdy, może minę w przelocie, pędzącego po innym torze, do innych, nie moich stacji. Nie każdemu jest dana świadomość zrozumienia. Ale szanować muszę Nieznanego Współtwórcę. Nie wolno mi go zawieść. Dla niego właśnie sprowadza się słowniki, jemu

służą kompendia, językowe pogonie za słowem-kluczem, za metaforą, za jedynym wyrazem. To za niego wstydzę się, gniewam, gdy rano, przy herbacie, biją we mnie z Dziennika ortograficzne błędy, nędzne ramoty dla biednych polskich dzieci. I dla dorosłych także. Dla niego pragnę tworzyć — być cnotliwym artystą.

Tak, cnotliwym — nie ma obawy, nikt się tu nie przysłyszał. Ale nie o katechizm chodzi, nie o higienę seksualnych wyczynów — z właściwą osobą, we właściwej łóżnicy. Nie mówimy dziś o tym. Mam na myśli średniowieczne pojęcie, które trzeba odnowić, przetworzyć i wywyższyć. Cnota artystyczna — to pełna, świadoma, odpowiedzialna uprawa. Dla pisarza to jest tworzenie całym talentem, wszystkimi możliwościami, każdym przeżytym, prześnionym, najgłębiej siedzącym słowem. Dawanie wszystkiego dziełu. I pokora wobec formy, tematu. I zasada: dzieło, dzieło — doskonałość, dopiero potem pisarz. To staram się stosować w mej niezgrabnej robocie, tego wymagam od innych, tego masz prawo żądać Nieznany Czytelniku. Nie po to, by uzyskać same doskonałe powieści, bezbłędne poematy — lecz po to, by każdy pisał jak może najlepiej w ramach własnej doskonałości. Albo nie pisał wcale.

Jak pisać, o czym? Oto znów temat-studia. Bez dna, a może z dnem, lecz zmiennym, migocącym zdradliwie w blasku wąskiego światła. Niedawno, na publicznym zebraniu, bardzo poważny krytyk zachęcał do reportażu, odmawiał niemal pisarzowi prawa mówienia o tym, czego sam nie obejrzał, nie dotknął, nie powąchał. Ceterum censeo, drodzy państwo. Wierzę mocno, że nie tego spodziewasz się po pisarzu Nieznany Czytelniku. Masz już dość reportażu, nawet "Karmazynowych", wspieranym przez tęgie pióra — nie wiadomo czy dla dziwactwa, czy przez błękitny snobizm. Myślę, że nie zależy ci na tym, co niósł w chlebaku "Ostatni z patrolu kaprała Bereznowskiego", ani na tym jak udawał lokaja jakiś cień Olbromskiego, straszący na popielisku prozy — w "powieści" nagrodzonego majora.

Wiem, czuję, domyślam się co chciałbyś znaleźć w polskiej powieści, emigracyjny odbiorco — i ty, najlepszy, nieznany i ty, przeczuwający zaledwie smak wiązane słowa. Pragniesz syntezy, albo choćby postawienia problemu. Nie ułameków wizualnej, słyszalnej, dotykanej rzeczywistości, nie migawek fotograficznych, które sam zrobić potrafisz paroszylingową kamerą. Nie nudziarstw i autoreklamy. Chcesz nowego, pełniejszego, porządnego obrazu — prawdy głębszej, przemyślanej, artystycznie przeżytej. Wtedy będziesz czytał nawet książki o wojnie, odrzucane teraz ze wstrętem, bo jałowe, bo nudne, bo pełne patriotruizmów.

Nie usiłuję formułować uniwersalnej recepty na powieść. Każdy pisarz ma własną — czasem świadomą, częściej siedzącą w kościach. Mnie osobiście wystarcza — jako cel pracy, może nieosiągalny w pełni, lecz stale pożądany — określenie, jakiego użył w stosunku do Grahama Greene'a jego znakomi-

ty kolega. Nie wiem, czy cytuję dokładnie, bo z zawodnej pamięci, co powiedział Evelyn Waugh o zadaniu pisarza: "ustawić rzeczywistość w perspektywie wieczności". Sądzę, że mutatis mutandis tę definicję można by zastosować do każdego pisarza, nawet do tego, który nie wierzy w religijną, metafizyczną wieczność.

Kiedy mowa o owym "jak"?, o tym pępku każdej artystycznej twórczości, zawsze chce mi się wołać: "Nie nudzić" "Przed wszystkim nie nudzić". Gdybym był tylko czytelnikiem, zabrałbym głos na tym zebraniu, by wylać trochę żółci na współczesnych pisarzy.

"Ludzie! — powiedziałbym. — Nie nudźcie, nie guzdrajcie się, nie bądźcie maruderami naszej szybkiej epoki. Nie przetwarzajcie problemów dawno przeżytych, często wyplutych na śmietnik zapomnienia. Nie gmerajcie we własnych, tylko własnych jelitach. Idźcie z czasem. Musicie być nowocześni pod groźbą zatury, śmierci — szybkiej, niesławnej, głupiej. Oto kino, radio, telewizja — straszliwi konkurenci. Pigułki fikcji, piękna, mądrości — czasem zdrowe, częściej fałszywe — podawane codziennie masom: takim jak dawniej, zawsze spragnionym rozrywki, ucieczki, albo — rzadziej, dużo rzadziej — szukającym głębszego sensu, praw niezmiennych istnienia. Na tym tle książka: uboga, słabiutka przy potężnej wymowie filmu, bezbronna w wielkim mrowisku, wśród ludzi-termitów, chwytających ochłapy fasowanej kultury".

Tak mówiłbym do pisarzy, choć są pesymiści, wróżący zagładę powieści, nieuchronny jej koniec wobec rozpowszechnienia kina, żywego, elektrycznego słowa, radiowego obrazu. Nikt nie wie co się stanie — czy istotnie masowe rozrywki zniszczą ową *communio spiritualis*, to intymne, osobowe obcowanie człowieka z bliźnim poprzez powieść, poemat. Biada cywilizacji, biada homini sapienti, gdyby to przyjść musiało.

Ale przyjdzie na pewno, jeśli literatura nie podejmie walki, szlachetnego wyścigu. Jeśli nie dowiedzie, że — czerpiąc z własnych zasobów, ale także z kina, ze słuchowisk i z innych technik artystycznego wyrazu — potrafi trwać obok nich, więcej nawet: wpływać na nie, podnosić, rozwijać i doskonalić. Wierzę niezłomnie, że tak być może, tak być powinno. Bo kino nie zdało egzaminu ani artystycznie, ani etycznie — nie wyzwoliło się jeszcze z rubasznego czerepu techniki i pieniądza. Literatura ma szanse, bardzo poważne szanse, ale musi najpierw zerwać z nudziarstwem. Psychologizmy à la Zawieyski i jego "Noc Huberta", wspomnienia nieważnych zdarzeń, rozcinanie włosów na czworo — to wszystko nie może wrócić.

Ot, i już prawie koniec rozważań o pisarzu, ubogich myśli pozszywanych w pośpiechu. Zamiast zaczynać od białdań na nędzę, na tragiczne położenie materialne emigracyjnych pisarzy, wolałem tę sprawę przesunąć ku końcowi. Pozwólcie na paradoks. Zgadza się z panią Storm Jameson, propagującą dobrowolne ubóstwo pisarza. Wprawdzie angielska koleżanka,

ponoć dzisiaj prezeska PEN-Klubu, nie odwiedza zapewne biur Assistance Board i nie zmywa cudzych, lyonsowskich talerzy. Ale niech jej już będzie. Tak, ubóstwo, więcej nawet: abnegacja, cyganeria w nowym wydaniu. Pogarda dla pieniądza, dla domków z ogródkami, unikanie ruchomej, nieruchomej własności. Zgadzam się, akceptuję bez trudu, bez sprzeciwu. Dla mnie pieniądz — powietrze.

Ale spróbujcie oddychać w próżni pięknoduchy z PEN-Klubów! Obchodźcie się bez obiadu, bez papierosów, highbrow apostołowie biedy! I piszcie, piszcie — stwarzajcie arcydzieła!

A więc ubóstwo, dobrze, ale nie nędza. Pisarzowi potrzebny spokój. By nie dawał pośpiesznych odbitek z bergsonowskiej taśmy pamięci, by nie pluł reportażem, musi wejść w siebie, w izolację, w samotność. Musi mieć ciemnię optyczną, gdzie przejrzy wiele filmów — własnych, obcych, zbiorowych — bez obawy zepsucia klatek, gdzie dokona syntez: obcięć, skrótów, montażu. Powinien wyjeżdżać w plener, rysować, malować słowem. I czytać. Nie wymagajcie tego za pięć funtów na tydzień: to przecie granica, górna granica dla mnie, dla większości kontratów, z których tylko niewielu utrzymuje się z pióra.

Los nasz w rękach wydawcy, krytyka, w ostatniej instancji czytelnika — po prostu emigranta.

Osobiście nie mam powodu uskarżać się na emigracyjnych wydawców. Przeciwnie, cieszę się, że mogę podziękować niektórym. Gdyby nie redakcja "Orła Białego", gdyby nie życzliwa i rozsądna umowa z dyrekcją "Gryfa", nie odważyłbym się na powieść, którą kończę obecnie i która — wiem to — znalazła owego Czytelnika, o jakim marzyłem zawsze. Honorarium w miarę pisania: skromne, lecz pewne, płacone regularnie. Vivat sequens, wydawcy!

Byłbym niewdzięcznikiem, nie wspominając także o wydawnictwie "Veritas" i jego — niestety nieobecny tu dzisiaj — kierowniku. Nie trzeba wołać świadków, by dowieść jak traktuje pisarzy, jak strzętnie obdziela ich każdą możliwością — choćby niewielkiego — zarobku. Vivant sequentes, panowie redaktorzy, wydawcy!

Bo dwie jaskółki nie czynią jeszcze wiosny. Nie każdy jest tak uparty, nie każdy ma tyle szczęścia, choć być może więcej ode mnie talentu i rozumu. Większość pisarzy nie ma szans na wydanie dzieła i dlatego nie tworzy.

A jednak wychodzą książki. Można by zadać parę pytań dotyczących tej kwestii. Dlaczego marnuje się papier na beznaziejne szmiry — choćby takich Gonczyńskich, których dopiero prof. W. Sukiennicki swym znakomitym piórem wprowadzać musi do rozmiarów nicości? Albo po co ta brązownicza, historyczna reklama w opasłych, kosztownych tomach? I czy koniecznie musimy — w polskim języku, za wdowie grose polskiego czytelnika — ciągle jeszcze przekonywać się wzajem, że trzeba nie lubić Rosji? Chyba lepiej robić to po angielsku.

Nie będę mnożył pytań pod adresem wydawców. Skoro jestem przy głosie, chciałbym rzec słów parę też na temat krytyki. Cóż, kiedy nie istnieje. Nie ma emigracyjnej krytyki, choć mamy sporo krytyków różnych szkół i poziomów. Może oni, a zwłaszcza redaktorzy, ponoszący przed czytelnikiem odpowiedzialność za organizację krytyki, zechcą odpowiedzieć na niektóre pytania. Kto zarejestrował, ocenił emigracyjną twórczość, choćby tylko wojenną? Kto ustawił autorów w jakim takim porządku? Czy dano nam wskazówki jak trafić do odbiorcy? Jak pisać w czasach przełomu, o czym, kiedy, dla kogo? Czy pilnowano, sądzono sędziów od literackich nagród? Czy podjęto trud stałej oceny tego, co idzie z Kraju? Czy pokazano nam — choćby w ogólnych zarysach — osiągnięcia francuskie, włoskie? Czy, kto i kiedy włócił w naszej prasie ową publiczną rozmowę krytyka z autorem, o jakiej powie tu dzisiaj dr Wit Tarnawski, organizator dzisiejszego wieczoru? Czy trzeba osobistej przyjaźni, którą cenię na wagę życia, by mieć szczęście uczciwej, surowej i fachowej krytyki? I wreszcie: gdzie teoria, gdzie essay'e, rozprawy, których pożąda autor?

Kończę, szanowni państwo. Wybaczcie gorzkie słowa, nie żądajcie taktu, dyskrecji, układnej dyplomacji. Nie mieli ich lepsi, dużo więksi ode mnie. Nie te zalety potrzebne dla pisarza. Jeden z londyńskich tygodników drukował niedawno piękną "Modlitwę pisarza" pióra zmarłego ostatnio księdza Alberta Gille.

"O, święty Hieronimie — czytamy w tej modlitwie — Autorze i Wydawco! Nie proszę Cię o dar dyskrecji, bo tej mamy dosyć w dzisiejszych czasach, a Ty sam nie odznaczałeś się nią wcale. Proszę o odwagę i bezinteresowność".

Odwaga i bezinteresowność. Tego potrzeba mnie, może każdemu z nas, pisarzy. Bo odwaga — to walka z truizmami, z banałami, z zakłamaniem, nadęciem, z fałszywą wielkością, z tanią, patriotyczną bujdą. To wieczne poszukiwanie prawdy, nikomu nieznannej cnoty, maskowanej małości pysznych, podłości hipokrytów. To święte niedowiarstwo, ciekawość, odkrywanie świata ciągle na nowo.

Bezinteresowność — to prawie niezależność pisarza.

Janusz JASIEŃCZYK.

Arkusze poetyckie

Pola minowe

Suto zielenią się sady, widać cierpkie jabłka,
 Jak się po nich toczą promienie, zapalając owoc.
 Różowieje skórka, sok gęstnieje, słońce jasno broczy.
 U wejścia doliny bieleje gospoda, śpiewa dziewczyna
 Zakochana. Jeszcze młoda, gibka, jarka
 Zbiega ku rzece, gdzie piorą kobiety. Tam co noc
 Księżyc się wślizguje w bieliznę, gdy w wodzie się moczy,
 Odstraszając karpie. Wszędzie siwe pola. Spokojna równina.
 Pasie się bydło, lśni rosa. Trawa dzwoni brzękadłami
 Krnąbrnych cieląt. Dziewczyna szczęśliwa rozmawia z kwiatami,
 Żartuje z praczek, z ich grubej zaprawy i biódr.
 Wróży z płatków rumianku, igra z rzeką, przeskakuje bród
 Lekko, jak wietrzyk, jak piosenka, świeża jak dzika malina
 Co świeci w gąszczu jędrna, czerwona, jak kociaka oczy.

Wciąż widzę dolinę, jej zielone gardło.
 Czuję spokój, ciepło dnia, rozwijanie się zbóż i pastwisk.
 Słyszę chlupotanie wody, susy ryb, klekot kamieni o kamień,
 [rzeczne tarło,

Chłopców po chrustach szorstki świst.
 Idą mądre, tłuste ślady wołów.
 Grdyki im różowo pod słońce przeświecają.
 Jeszcze żują w pochodzie, bo chociaż stracenie,
 Beton rzeźni i ciepłe odbłaski słoneczne,
 Znaczą to samo, to przecież trawienie
 Stomy jest tak samo wieczne, konwulsyjne,
 Jak wzbieranie źródła, w pulsach, w skargach, w biciu wody
 Na wierzch, skąd rybacy hurmami ruszają na potów
 Wieczorem, gdy oprawcy gardła wołom otwierają.
 Potem podrostki myją z juchy czarne schody,
 Zaczne dziewczęta czyszczyć jelita niewinne.
 A pyski zwierząt wciąż żują na betonie, odrąbane z karków, jak
 [ogromne kłody.

Mięso idzie na obiad, ochłapy do wiadra,
 Które kuchcik umazany tłuszczem i posoką
 Wyrzuca wraz z kośćmi psom, by szczekały za dnia,
 A nocą wyły pod gwiazdą wysoką.

Młodzi się zawsze kochają całymi ciałami.
 A każda dziewczyna może spytać z żalem:
 — Czy mi lepiej w popielatym kostiumie, czy w aksamitnej
 [kurtce?

Jeśli włożę plisowaną spódniczkę granatową,

Będę wyglądała na młodą dziewczynę z lokami,
 Co się chodzi przeglądać w stawie przed balem. — —
 Boi się żab, koników polnych, ucieka przed sową.
 Z żalu utopi się wkrótce, bo nie ma takich mężczyzn i dość
 [sporych luster,

By ją mogły objąć. Otulona szalem
 Po kolana błądzi we mgle, czasem w jasnej chustce
 Mignie w polach, potrząsając głową.
 Znika. Śladu nawet po niej, nawet białej kostki,
 Nawet loków jędrnych grochowe strąki,
 Ani stopy, rękawiczek, plisów spódnicy opadłych po kostki.
 Nie ma po niej nawet łąki.

Jest popiół, wyrwa, syczenie metalu,
 Gorący gruz, rozpacz, osad żalu,
 Siwe kryształki, jak powieki źle zacerwienione.
 Od placzu? Może. Wszystko zostało skończone.

Co myśli człowiek wyrzucony na minie,
 Gdy potrzask, potem iskra, później snopy kurzu
 Diamentowego, jako ciekące drzazgi
 Oderwane z gwiazdy albo z tafli wody;
 Struga, rozbrask, okrzyk, wszystko skacze w różu
 Wybuchu, tak zarytego w spodzie, że mlask stychać w glinie?
 Odepchnął człowieka, jego stopy. Kłęb skóry i miazgi
 Skręcił i zafarbował; jeszcze naraz leca,
 Pękają odłamki, spadanie gąteży; gęsi u gospody,
 Która dzwoni szybami; wszystko migło, naraz przeszło.
 Czy znikanie jest wiedzą? Skąpe szczątki wirują w powietrzu,
 Sadza, szczęście. Tu coś pyknie nieco,
 Tam zapłonie. Czy myśli człowiek wyrzucony
 Na minie? W sekundzie jest gwiazdą, jak gwiazda strącony.

Resztki długo z szelestem z powietrza spadają.
 Jakieś strzępy, strach, nagłość i wielkie zdziwienie.
 Praczeki, co w rzece stały, widziały zdarzenie.
 Mają jeszcze otwarte usta, choć już wolno boki podpierają.

Dźwigi, lory, zwoje żelaznych poręczy
 Spruty pola, zdarty lasy, przekopaty rzeki.
 Zardzewiały, stoją cicho. Nawet rdzy nie słychać,
 Jak odpada suchymi grudkami. Wiatr też nie chce wdychać
 Po szczelinach, po wybojach, po kabłąku obumarłej tęczy.
 Przejdą wieki, puste pola pozostaną martwe,
 Aż żelazo wsiąknie w ziemię i zakrzepnie w marmur.
 Tylko kwiat, co zwiśł z urwiska,
 Dziki kwiat o czerwonej, śmiałej maści,
 Będzie błyszczeć nachylny ku przepaści
 Widny z dala, krwawy z bliska.
 Zwabi dzielnych kamieniarzy. Przyjdą, łaki skropią wapnem.
 Później wnętrze ich otworzą, i śnieżyste ostrostupy
 Zatadują na grzbiecie wotów, wolno będą szli doliną
 Po bezcennych rudach, złożach, przez wyboje i zasięki.
 Druty, dźwigi, lory miną, — — —
 Aż w ogromnej dali zginą, skamieniali w niej na wieki.

Marian CZUCHNOWSKI.

Tintern Abbey

Kopuła ma skrzydła anioła,
 ale staje się ciężka
 w miarę, jak jej wzorzec
 bardziej nad grzechem świeci.
 Dziś wyszedł Pan Bóg z katedry,
 w sercu drzewa zamieszkał
 i rozmawia z łakami
 za pośrednictwem kwiecia.

Kopułę zdjęto jako sztandar,
 który się wkłada w pokrowiec,
 i nie ma witraży, z barwami
 w obwianych konturach.
 Zewsząd blask. Przeto ziota
 jak cyprysy wiekowe
 to słońcem cieszą się w oknach,
 to niebem bliskim jak chmura.

Strzeliste łuki gotyckie
 obsiadła trawa kępami,
 dzwonek powoju dzbanuszkim
 pije promienie jak rosę,
 na filarach czwórkatnych
 krzaki są głowicami
 z jakiejś korynckiej świątyni,
 w liściastych wzorach rozroste.

Lecz, ze snu zbudzone, nagle
 zdobiną poczuły się trawy,
 więc klęczą z powojem, z krzakami
 i modlą się: Któryś jest w niebie...
 To Pan Bóg serce krzewin
 opuścił, wraca do siebie,
 za pośrednictwem owoców
 będzie z łakami rozmawiał.

Bolesław KOBRZYŃSKI.

Muszla

Leżę na piasku — opuszczona muszla,
 dom biały w złotym kurzu,
 wiatr moją pustkę leniwie porusza
 niedokonaną podróżą.

Kiedyś klęczałam na samym dnie morza
 w prośbie niebieskiej i wiernej
 o ziarnko piasku, ból, co by stworzył
 nieskazitelną perłę.

Nad moją głową w muszli zamkniętej
 przeszły sztormy i szkwały.

Tęskniąc za perły niepotrzebnym pięknem
 na nicność się spalałam.

Teraz — jam muszla,
 w której wiatr porusza
 złote ziarenka piasku —
 mój spóźniony los.

Henryk MIRZWIŃSKI.

Wieża z kości słoniowej

W dalekim kraju — w Hesperii
 Rosną Wieże z Kości Słoniowej.
 Poeci spacerują po galeriach,
 Przystają i rozmawiają ze sobą.

Wieżę są wysmukłe i fikcyjne,
 Jak rzeźbione figury szachów,
 Mają symetrie melodyjne
 I każda ma księżyc na dachu.

Księżycy są muzyczne, to znaczy,
 że każdy z nich gra na okarynie.
 Poeci przychodzą wypoczywać
 I siadają przy beczce z winem.

*Wino wyciskają tu z owoców,
Które nazywają «Kami-Lami»,
Dojrzewają one przy księżycu, nocą
I pachną białymi narcyzami.*

*Gdy podnoszą kielichy z winem
Księżyc w winie zielono się świeci.
Hesperia — to jedyne miejsce na ziemi
Gdzie jeszcze mieszkają poeci.*

*Chodzą po galeriach i krużgankach
Rozkładają ręce i trzęsą głową,
Było bowiem proroctwo — że upadną
Wszystkie Wieże z Kości Stoniowej.*

*A jeśli tak — to cóż począć?
Gdzie zebrać się wspólnie przy winie,
Gdy księżyc z nieba pospadają, nocą
I przestaną dmuchać w okarynę?*

*W dalekim kraju — w Hesperii
Księżyc zielono świecą.
Lecz, gdy proroctwo się wypełni
Cóż poczną wtedy poeci?*

Z. JARECKI.

Ulica Piwna

*Bełkocąc słowa sprośne i słowa wspaniałe,
Z kontuszem zawałanym i wzdętym na brzuchu,
Szedł chwiejnie spod „Aniota” po kamiennym bruku,
Unosząc w przedświt rzeźwy tba zalaną patę.
Nagle stanął. Naprzeciw w pozie uroczystej,
Zawieszony na szyldzie niby nowy święty,
On sam, drugi Zagłoba, kolorowy, piękny,
Na becze, w rękę kielich ma małmazji czystej.*

*Dotknął piersi. Czy idzie? spytał serca — bito
I wiatr mu zwiął po skroniach krople potu lśniące.
Cień u nóg zległ i czekał — a zjawisko piło.*

*Spojrzał w niebo. Chmur miednych w górę stado wzłata,
Księżyc... nie, kogut oko toczy palające,
Twardowski na kogucie śle ukłon z zaświata.*

Mieczysław LURCZYŃSKI.

U murzyńskiego boga

Wszystko się zaczęło jak w jakimś wodewilu, ale na wpół wesolym i na wpół ponurym wodewilu, odzwierciadlającym nasze czasy, w których mnóstwo ludzi coś udaje, w coś się przebiera, w coś na budę wierzy, albo też kogoś przedrzeźnia, czy może naśladuje. Postanowiłem obejrzeć sobie kiedyś murzyńskiego boga, tak zwanego "Father Divine", i nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Pytałem różnych znajomych, ale nikt mi nic nie mógł poradzić. Niektórzy nawet odradzali. Murzyni w Nowym Jorku mają pewne zwyczaje, niepisane prawa, które trzeba znać, jeśli się chce uniknąć grubszej awantury. Mówiono mi na przykład kiedyś, że Murzyni nie mają nic przeciwko temu, aby biali chodzili po ulicach Harlemu, ale uważają, że biali nie powinni chodzić do ich parków, to znaczy do parków w dzielnicach murzyńskich. Nie wierzyłem i spróbowałem. Awantura wynikła natychmiast, obostrzona jeszcze dlatego, że usiadłem w parku na ławce, co Murzyni uważają za naruszenie etykiety wyższego rzędu. Więc może też nie chcą, żeby biali oglądali ich boga?

Zastanawiałem się nad tą kwestią jakiś czas, dosyć zresztą leniwie, aż się nagle zjawił w polu mojego widzenia jeden pan z Odessy. Ten pan z Odessy gra na flecie. Spotykam go jakieś dwa razy do roku. Z przyczyn absolutnie niezrozumiałych udaje on Murzyna. Mieszka w Harlemie, ma czarną jak węgiel żonę i twierdzi, że jest białym Murzynom. Są i tacy, więc mógłby ostatecznie być; ale nie jest, jest za to rosyjskim Żydem z Odessy, a z zawodu muzykantem. "Boga", powiada do mnie, "chcecie zobaczyć? Wierzycie w takie nonsensy? Tylko ciemna murzyńska masa wierzy, że to bóg, co wam po nim?" Wszystko to śpiewnie po rosyjsku, ale prawie szeptem, bo głośno mówi tylko po angielsku, ale tak po angielsku, jak mówią Murzyni, i nawet murzyńskim głosem (Murzyni mówią innym, bardziej gardłowym i niższym tonem). "Dobrze", powiada nareszcie, "jak koniecznie chcecie, to wam pomogę". Rozmowa toczyła się w barze. Pseudo-Murzyn obiecał, że gdzieś zadzwoni i wszystkiego się dowie. Telefon wisiał na ścianie. Przecisnął się przez dosyć pijany tłumek przy kontuarze, zdjął słuchawkę i zaraz powiesił ją z powrotem. I zaczął się śmiać. Spotkał jakiegoś znajomego,

który też się śmiał. Patrzeli jeden na drugiego bez słów, uderzając się od czasu do czasu po ramionach i śmiejąc się bez żadnego powodu. Czort ich wie co im przyszło do głowy. Potem mój znajomy walnął swojego znajomego wcale mocno w brzuch i precyzyjnie się znowu do mnie. "Dzwoniłem", powiada, "i wszystkie się dowiedziałem. Najbliższe zebranie będzie w niedzielę. Możecie iść, będziecie mile widziani. Nikt wam złego słowa nie powie". "Nie dzwoniście", mówię do niego, "przecież tu stoję i widziałem". "A po diabła miałem dzwonić?", mówi muzykant z Odessy. "Możecie iść na moją odpowiedzialność". I dał mi adres.

Postanowiłem wobec tego pójść. Jeśli jemu się nie chciało dzwonić, to z jakiej racji ja mam tracić czas na szukanie innych informatorów czy protektorów? Jeśli on jest leniwy, to ja też. I poszedłem.

Zebranie odbywało się w Bronx, w kościele murzyńskiego boga na Boston Road. Przygotowałem sobie na wszelki wypadek kartę dziennikarską, ale nikt mnie o nią nie pytał. Pytała mnie tylko stara Murzynka w okularach, czy przychodzę pierwszy raz, czy nie pierwszy. Potem młody Murzyn mnie się pytał, czy jestem dziennikarzem, zapowiedział że nie wolno palić, i tym samym tonem i w tym samym zdaniu bez najmniejszego przecinka zapytał, ile zapłaciłem za swój kapelusz. Odpowiedź wywołała lekkie podniesienie brwi. Może uważał że za drogo, może myślał, że tania, a może mnie podejrzewał, że blaguję.

I zaraz potem, zanim jeszcze zdążyłem dobrze rozejrzeć się po sali, murzyński bóg począł gadać. Jest to mężczyzna w sile wieku, tryskający zdrowiem. (Uwaga na boku: olbrzymia większość ludzi, którzy zdołali wyrycić swoje imię w historii, odznaczała się dobrym zdrowiem. Nie koniecznie długowiecznością, ale zawsze dobrym zdrowiem. Myślę czasami, że dobre zdrowie i dobre chęci często wystarczają, by sobie wydłubać w dziejach jakie takie imię, pozytywne lub też negatywne). Bóg ma błyszczące, wyraźne filuterne oczy. Gada trochę tak, jak sprzedawcy tanich perfum na Wielkich Bulwarach w Paryżu, nie w sklepach, tylko na ulicy. To znaczy, że gada ciągle to samo, nigdy właściwie nie kończąc zdania czy myśli. Nie ma w głosie ani gestach fanatyzmu, nie wyczuwam nawet wewnętrznego przekonania. Ma natomiast dużo majestatycznego spokoju i jeszcze więcej pewności siebie. Zapisalem kilka zdań. Z takich samych, albo podobnych, składa się cała mowa: "Jeżeli świadomie odczuwacie obecność boga (z małej litery, bo przecież mówi o sobie), ale jeżeli odczuwacie to tylko metafizycznie, jeżeli nie jesteście w stanie odczuć obecności boga osobiście i personalnie,*), otrzymacie błogosławieństwo przypuszczalne i metafizyczne. Jeśli jednak widzicie boga na własne oczy, osobiście i personalnie, otrzymacie błogosławieństwo personalne. Czy was to nie cieszy?"

*) Murzyński bóg często tworzy nielstiniejące słowa.

To ostatnie pytanie ("Aren't you glad?") powtarza się co kilka zdań i sala niezmiennie ryczy w odpowiedzi: "So glad!" — bardzo jesteście radzi — dodając często "miłościwy boże" albo też "wszechmocny boże".

— Oświadczam, że jestem bogiem! — wykrzykuje nagle mówca. Przewraca przy tym trochę białkami oczu, jakby oczekując sprzeciwu, ale sala nagradza go tylko rzeszystymi oklaskami. Dwie murzyńskie panie z mojego rzędu padają bez pośpiechu na kolana i składają ręce do modlitwy. Nie jest to widocznie przewidziane w programie, panie zostają skarcone pomrukiem przez sąsiadów i windują się z powrotem na krzesła. Mówca gada dalej. Mówiąc, podkreśla pewne słowa, ale wcale nie te, które na to mniej lub więcej zasługują. Po prostu na opak. Albo na chybił trafił. Mniej więcej tak jak podkreślali słowa w przedwojennym Ikacu.

Po jakimś kwadransie okazuje się, że dobrze trafiłem, bo bóg wygłasza dzisiaj mowę programową. Program jest szeroki, obejmuje całą ludzkość. "I dlatego też", mówi — "dlatego też" nie wypływa naturalnie bynajmniej z poprzednich zdań — "żadam, aby wszystkie religie i wszystkie rasy nareszcie się połączyły. Aren't you glad? ("Dziękujemy ci, boże!", krzyczą niektórzy, ale jakby mniejszość). "Posłałem depesze do Senatu i Kongresu, żądając przyłączenia Australii i Nowej Zelandii do Stanów Zjednoczonych" (wielka owacja). Ale w tym miejscu mówca, może obawiając się, że Mołotow albo Wyszyński posadzą go o jakieś imperialistyczne zamiary, dodaje, że oprócz Australii i Nowej Zelandii mogą się przyłączyć do Stanów Zjednoczonych również i inne kraje, każdy kraj, który tego zapagnie. Następnie namyśla się przez chwilę i dochodzi do wniosku, że bóg powinien mówić inaczej niż byle dyplomata albo zwykły zbawca ludzkości. "Przeobrażę wszystkie narody!", woła. "Skasuję wszystkie języki! Zrobię to, jako że jestem wszechpotężny, wszechobecny, wszechmocny, niepokonany i nieprzekupny! (szuka kilka sekund tego słowa — incorruptible — ale wypowiedziałwszy je lekko się skrzywił, zresztą zupełnie słusznie, bo nie pasuje)." "Musi się stać to co zechcę, musi się stać to co rozkażę! (what-so ever I will, it must be, and that which I command, it must be done). Teraz drugi punkt programu: jego zwolennicy nie mają prawa podpisywać dokumentów o ubezpieczeniach społecznych. Z tego prostego powodu, że on, ich bóg, ma ich w swojej opiece, więc liczenie na opiekę państwa jest aktem niewiary. "Aren't you glad?" Znowu wielka owacja. Oho, myślę sobie, to już wyraźnie zakrawa na popieranie najczarniejszej reakcji, najczarniejszej nie co do koloru skóry, tylko w sensie politycznym, bo skrajna prawica, to znaczy prasa Hearsta i prawe skrzydło partii republikańskiej zwalczają ostatnio ostro ubezpieczenia społeczne. No i przecież każdy dorosły człowiek rozumie, co to za prądy, z jakich zatechłości wychodzą i w jakim kierunku płyną. Dziwna rzecz, myślę dalej, jak to zawsze reak-

cja znajduje poparcie ciemnych i biednych ludzi. Ubezpieczenia społeczne są przecież dla słuchaczy siedzących w tej sali zbawieniem, powinni najgłośnie się z nich cieszyć! Bieg moich myśli zostaje jednak przerwany nowymi hasłami, które rzuca murzyński bóg. Zapomniał już o ubezpieczeniach społecznych, podjął żądanie równości rasowej. Aren't you glad? Jeszcze większa owacja. I znowu coś głądzi o jego obecności metafizycznej, niepersonalnej, jak również i personalnej w sali i na świecie i powiada, że jak wszyscy ludzie na świecie w niego uwierzą, to wszyscy będą braćmi. I dodaje, bez żadnego związku z tym co powiedział dopiero co, że jak ktoś chce, to może żyć w celibacie, a jak nie chce, to może się ożenić. Może też zachować niewinność po wyjściu z małżeństwa. Czy się czasem nie przesłyszałem? Nie, bynajmniej. "Moja żona", powiada, "dziewica bez plamy" — my spotless virgin bride — "uosabia cnotę" (kolosalne oklaski). "Życie cnotliwe, życie święte, braterskie i demokratyczne, prawdziwie amerykańskie a jednocześnie głęboko judaistyczne, bo judaizm jest synonimem chrześcijaństwa, oto nasze ideały!"

Jednym słowem co się komu podoba. Jakby powiedział "niech żyją kanarki, czy was to nie cieszy?" sala z całą pewnością klasałaby jak szalona. Nie o to wcale chodzi, co powie. Ani nawet o to jak powie. Tylko o to, żeby gadał, stwarzając w umysłach słuchaczy wiarę, że oto istnieje wódz, bóg, führer, duce, ojciec narodów i tak dalej, który wszystko wie, o wszystkich dba, za wszystkich myśli i wszystkich uszczęśliwi. To jest zasada całego interesu. Na tej nucie gra. I dobrze gra. Z powodzeniem. Po wyjściu z sali kupiłem na ulicy tygodnik "The New Day" ("Nowy Dzień"). W nagłówku jest powiedziane, że jest to pismo "narodowe i międzynarodowe, poświęcone pracom Świętego Ojca". Hasło tłustym drukiem na pierwszej stronie: "Powstaje prawy naród!" (A righteous nation is rising!). Coś w rodzaju "Deutschland, erwache!", tylko w bardziej kategorycznej formie.

Tygodnik ma 48 stron wielkości normalnej gazety i kosztuje, jak zwykła gazeta, tylko pięć centów. Ma mnóstwo ogłoszeń — osiem stron płatnych ogłoszeń najrozmaitszych firm i sklepów, murzyńskich i niemurzyńskich. A więc musi mieć duży nakład, bo inaczej nie dostałoby ogłoszeń. Dowiaduję się też z tygodnika, że murzyński bóg ma w samym tylko Nowym Jorku 14 swoich kościołów, hoteli, "religijnych" szkół, itd.! I to bez blagi: podane są dokładne adresy i numery telefonów. W Filadelfii jest ich jeszcze więcej: 21! Przeszło pół tuzina w Kalifornii. Trzy w Waszyngtonie. Pięć w Australii. Tyleż w Kanadzie. Adresy zapełniają całą stronę pisma.

"Nowy Dzień" zamieszcza też poematy. Większość z nich mogłaby być wydrukowana w moskiewskiej "Prawdzie". Na przykład taki hymn:

Chwalmy JEHO imię rano
Chwalmy w dzień i w nocy

Niech cała ziemia i wszystkie narody
Wznoszą razem z nami JEHO chwałę!

Albo też "Hymn — Odezwa Świętego Ojca do Wszechświata",
wydrukowany w piśmie wraz z nutami:

Żyjąc zgodnie z Twą Nauką
O Boże Słodki, święty Ojcze,
Jesteśmy pewni że nasze życzenia
Spełnią się zawsze i wszędzie,
Bo Ty, Boże, jesteś wszędzie.

Natomiast poemat, noszący tytuł "Kochamy Cię, jak jeszcze nigdy przedtem" nie znalazłby miejsca na łamach prasy sowieckiej ani hitlerowskiej, ponieważ opiewa on głównie małżonkę boga-wodza, a w sprawie małżonek bogowie-wodzowie zachowują zwykle dyskrecję. Oto pierwsza strofka tego poematu:

Kochamy Cię jak nigdy przedtem
Od czasu gdy poślubiłeś Twą Żonę Bez Skazy
Uwielbiamy i ją,
Która połączyła niebo i ziemię
Urzeczywistniając nasze sny.

Ani Hitler, ani Stalin, ani Mussolini nie pozwoliłby wydrukować takiego utworu w swojej prasie. Ale Peron w Argentynie nie tylko pozwala opiewać swoją żonę, ale nawet sadza do kryminału dziennikarzy, którzy nie chcą jej opiewać. Murzyński bóg, który z pewnością naśladowuje swych Wielkich Braci z Europy, bierze w tym wypadku przykład z Południowej Ameryki. O tej żonie-dziewicy warto powiedzieć jeszcze kilka słów. Tygodnik "Newsweek" zamieścił niedawno jej fotografię. Jest to średnio przystojna Kanadyjka, bez kropli murzyńskiej krwi w żyłach, i liczy sobie 28 wiosen. Ma przy sobie coś w rodzaju przyzwolki i ta trzecia osoba jest zawsze obecna, kiedy mąż-bóg rozmawia z żoną, wszystko jedno czy w dzień czy w nocy. I ciągle podkreśla, że jest dziewczęcą. Może jest, ale ma stanowczo grzeszne myśli. W tygodniku "Nowy Dzień" znalazłem jej przemówienie, pozbawione na ogół sensu, ale za to zawierające takie oto pasaży:

"Ojczy, Twoje ciało, Twoje święte, piękne ciało jest miłością. Twoje ciało jest uosobieniem czystej, świętej miłości! Mężczyźni usiłovali określić miłość, powiedzieć, co to właściwie jest, ale nikt nie wiedział, czym jest miłość, dopóki Ty nie wystawiłeś swego ciała!" (until you brought your body).

Najgorsze jest to, że autorka powyższych wyznań pewnie wcale nie wie co gada. Widziałem ją na Boston Road. Siedziała obok boga-męża i była upojona. Kompletnie upojona, nie żadnym trunkiem, tylko duchowo. Nie mogła udawać, nie mogła grać.

Żadna aktorka nie potrafi zaczerwienić się z radości na zawołanie, a ta się czerwieniła, kiedy bóg-mąż wyrzekł coś mocniejszego i kiedy go za to nagradzano silniejszymi oklaskami. Było w sali jeszcze tylko kilka rozhisteryzowanych bab, które się zachowywały podobnie. Na pierwszych mitingach Hitlera wyżywały się też tylko nieliczne histeryczki. Potem z tych histeryczek wyrosła duchowo Ilza Koch.

Ponury, bardzo ponury wodewil. Jakiś organ Tito niedawno obliczył, że moskiewska "Prawda" wymieniła Stalina, z odpowiednimi komplementami, 118 razy na jednej stronie. Pismo murzyńskiego boga robi to samo, tylko że ma innego boga. I innych zwolenników. "Father Divine" utrzymuje, że ma już miliony, wiele milionów zwolenników. Pewnie ma.

A jakby taki facet dorwał się kiedy do władzy, robiliby z pewnością to samo co Stalin, Hitler i Duce. To znaczy mordowałby i kłamał, żeby utrzymać władzę. I krzyczałby, że jego władza jest tylko środkiem, prowadzącym do wielkiego celu, i wierzyłby w to miliony. I mało komu przyszłoby do głowy, że wielki cel jest bujdą propagandową, i że chodzi tylko o jeden jedyny cel, o utrzymanie władzy.

Murzyn z Bronx nigdy się pewnie do władzy nie dorwie. Jest dziś tylko karykaturą bardziej głośniejszych wodzów-bogów, ale karykatura czasem pokazuje więcej, niż fotografia lub nawet portret. W danym wypadku pokazuje mechanizm działania i powstawania procesów historycznych, mechanizm zastraszająco prosty i opierający się głównie na głupocie ludzkiej. Głupota jest jednak wielką siłą, nie należy jej niedoceniać.

Wacław SOLSKI.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

**17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.**

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

I.

Trzeci element.

Nie ulega wątpliwości, że pogląd ideowy wiąże dziś ludzi silniej niż poczucie narodowe. Każdy przyzna, że bliższy nam jest Anglik, Amerykanin czy Francuz, który zwalcza komunistów niż Bierut czy Cyrankiewicz, mimo, że ci dwaj ostatni są Polakami i naszymi rodakami.

I odwrotnie — dla polskiego aktywisty komunistycznego towarzyszami są komuniści chińscy, niemieccy czy malajscy a my, choć krew z krwi rodacy — jesteśmy wrogami, faszystami i zdrajcami.

Nie mógłbym się zgodzić z poglądem J. Bielatowicza, który w pięknym i subtelnym artykule pt. "Granica" (Kultura, Nr 2/40-3/41) — pisze m. in.: "Albowiem i komuniści polscy, to niestety nasi bracia. Ci źli, lub błędzący ale bracia, cząstka ojczyzny".

To jest bardzo literackie ujęcie i z politycznego punktu widzenia szkodliwe. Polakiem jest ten, kto nie tylko urodził się Polakiem, ale chce być Polakiem. Akt woli jest ważniejszy od metryki. Byli i są Polacy, którzy mimo, że urodzili się w Polsce postanowili zmienić swą narodową lojalność. Upieramy się np. przy polskości J. Conrada wbrew woli zainteresowanego. Nigdy nie mogłem tego pojąć. Conrad nie tylko pisał po angielsku, ale podkreślał z uporem że "jego punkt widzenia tak na morzu jak i na lądzie jest zawsze angielski". Russel zapytany co sądzi o Conradzie odpowiedział: "Nie widzę niczego w jego książkach co by wskazywało na jego polskie pochodzenie z wyjątkiem... miłości do Anglii". Russell sądzi, że tylko zbyt zaakcentowana miłość do Anglii może zdradzać obce pochodzenie Conrada.

Nam jednak to nie wystarczy i nie chcemy pogodzić się z faktem, że Conrad był z własnej woli Brytyjczykiem polskiego pochodzenia. Chciał nim być dlatego mu tego odmawiać?

Amerykanin polskiego pochodzenia, czy Brytyjczyk polskiego pochodzenia może zachować gorący sentyment dla "starego kraju". Inaczej jednak wygląda sprawa, gdy zmiana lojalności wiąże się ze zdradą. Rokossowski jest podobno również z urodzenia Polakiem. I cóż — kiedy on chce być rosyjskim komunistą a nie Polakiem. Czy i jego mamy uważać za "błądzącego brata" i "częstkę ojczyzny"? Bierut, Cyrankiewicz i 90% sztabu kremłowskiej agentury w Polsce — to są rodowici Polacy. Czy o Bierucie, który na wiele lat przed wojną był agentem Moskwy, możemy powiedzieć, że "błądził"? Jeżeli nie będziemy operowali terminologią biblijną lecz polityczną to musimy stwierdzić, że Bierut i jego podobni są agentami wrogiemu nam mocarstwa i wrogiej ideologii i że Polacy ci służbę tę pełnią z wolnego wyboru i z wolnej a nieprzymuszonej woli. Trzeba być bardzo ostrożnym z odmawianiem komuś polskości, w omawianym jednak wypadku sprawa jest raczej całkowicie jasna.

Powyższa dygresja ilustruje fakt, że dziś kryteria narodowości i nominalnej przynależności państwowej stanowią definicje nie wystarczające. Pojawił się bowiem jeszcze element trzeci tj. pogląd ideologiczny. I ten ostatni element jest decydujący. Kto jest z wolnej woli rzeczywistym komunistą jest naszym wrogiem, choćby był rodowitym Polakiem. Kto zwalcza komunizm jest automatycznie naszym sojusznikiem, bez względu na to jakiej jest narodowości.

Ten "trzeci element" (Narodowość, przynależność państwowa, pogląd ideologiczny) przeobraził zupełnie politykę międzynarodową.

Na ulicach Londynu spotyka się amerykańskich lotników, którzy w 6-tym roku od zakończenia wojny przechadzają się w pięknych mundurach po brytyjskiej stolicy. Jest to pod wielu względami osobliwy widok. Sojusznicze lecz niemniej obce wojska depczą w czasie pokoju ziemię angielską. Jest to wydarzenie bez precedensu w dziejach tej wyspy. Amerykańskie bazy lotnicze w Anglii są wymowną ilustracją faktu, że poczucie solidarności narodów międzynarodowego systemu antykomunistycznego jest dziś potężniejszym czynnikiem niż staroświecko pojęta narodowa suwerenność i nietykalność.

Po tamtej stronie "żelaznej kurtyny" wszystkie raczej stanowią państw satelickich już dawno podporządkowano wymogom ogólnej strategii komunistycznej kierowanej z Moskwy. Lecz i po tej stronie tejże "żelaznej kurtyny" zaczyna zarysowywać się wolno analogiczny ruch. Cele organizacji Paktu Atlantyckiego i stojącej za tą organizacją światowej polityki amerykańskiej nie pokrywają się zawsze w każdym szczególe z narodowymi politykami Anglii, Francji, Belgii czy Luksemburgu. W takich momentach mężowie stanu Anglii, Belgii czy Francji

muszą szukać kompromisu pomiędzy ściśle narodową, "lokalną" polityką, a wymogami polityki wyższego rzędu, którą reprezentuje Pakt Atlantycki i stojące za nim Stany Zjednoczone.

Anglicy głosujący w OZN za deklaracją amerykańską piętnującą Chiny jako agresora działali niewątpliwie zgodnie z wymogami tej polityki wyższego szczebla. I tak się stało, że Anglia jako Anglia uznaje czerwony rząd chiński, a Anglia jako atlantycki sojusznik Ameryki — potępia tenże rząd jako agresora i walczy przeciw niemu na Korei.

Lecz weźmy przykład z zagadnień własnej polityki. Z punktu widzenia "czystej" polityki polskiej możemy porozumieć się tylko z Niemcem, który stoi na stanowisku granicy Odra-Nisa. Lecz faktem jest, że 90% Niemców, którzy uznają granicę Odry i Nisy uznają również Bieruta, Stalina i Moskwę jako stolicę świata. Natomiast ci Niemcy znów, którzy znajdują się po tej samej stronie barykady co i my — nie uznają poważnie granicy na Odrze i Nisie.

To jest zagadnienie trudniejsze niż równoczesne uznawanie i potępienie Mao-Tse. Jeżeli kierowalibyśmy się wyłącznie solidarnością z amerykańskim systemem antykomunistycznym to musielibyśmy wybrać Niemców zachodnich mimo, że nie uznają granicy na Odrze i Nisie. Kierując się czysto polską polityką musielibyśmy ustosunkować się wrogo tak do jednych jak i do drugich. Do Niemców wschodnich dlatego, że są satelitą Moskwy — do Niemców zachodnich dlatego, że nie uznają granicy: Odra-Nisa.

Wybrałem ten przykład, aby wykazać, że i po tej stronie "żelaznej kurtyny" w polityce międzynarodowej pojawił się nowy element, którym jest przynależność do bloku antykomunistycznego. Solidaryzowanie się z amerykańskim międzynarodowym systemem antykomunistycznym pociągnąć może za sobą konieczność rezygnacji — choćby czasowej — z pewnych postulatów w imię realizacji celu ogólniejszego tj. zwycięstwa nad komunizmem. Dziś jeszcze nie musimy wybierać pomiędzy Niemcami, ale być może w przyszłości wypadnie nam stanąć po tej samej stronie wojennego frontu co i Niemcy zachodni.

Innymi słowy, świat współczesny składa się z dwóch systemów ponadnarodowych polityk. Każde państwo wchodzące w skład jednego z tych systemów musi dostosowywać swą politykę państwowo-narodową do nadrzędnej polityki systemu. W miarę jak napięcie międzynarodowe będzie wzrastało — supremacja polityki systemu nad politykami państwowo-narodowymi będzie coraz silniejsza również i po tej stronie "żelaznej kurtyny".

Ten rozwój sytuacji jest konsekwencją zastosowania przez Rosjan solidarności ideologicznej oderwanej od pojęcia narodowości. Jeszcze 30 lat temu słowa: Polak, Francuz, Belg — były konkretnymi mianownikami. Dziś nie mówią wszystkie-

go. Nie mówią bowiem rzeczy zasadniczej: czy są to nasi wrogowie czy sprzymierzeńcy. Dom każdego komunisty Francuza czy Anglika leży... w Rosji, w granicach komunistycznego systemu politycznego. Granice nowych ideologicznych bloków nie pokrywają się już bowiem z dawnymi granicami narodowo-państwowymi.

II.

Konsekwencje

Jan Ulatowski w artykule pt. "Powojenna Prasa Francuska" ("Kultura" Nr 2/40-3/41) wyraża m. in. taką opinię: "Kto się opiera tylko Ameryce, wzmacnia potencjał rosyjski, kto się opiera tylko Rosji wzmacnia potencjał amerykański — oba typy "oporu" wzmacniają jednak mechanizm, który stworzono w Jałcie a który służy wyłącznie interesom wielkich mocarstw".

Oto jesteśmy u dna kompleksu jałtańskiego. Nie warto opierać się ani Rosji ani nawet Ameryce bo to na dobre wychodzi tylko... Jałcie.

Ciągle czekamy na Mesjasza, na amerykańskiego proroka, który by podarł w strzępy traktat jałtański — ogłosił jeszcze jedną "kartę" wolności a światowej polityce antysowieckiej nadał cechy krucjaty, "wiosny ludów", dziejowego przełomu.

Być może, że gdy wojna wybuchnie (nie wcześniej!) specjaliści z wydziałów "wojny psychologicznej" zorganizują podobne widowisko jeżeli dojdą do wniosku, że jest to celowe.

Jeżeli będziemy się "boczyć" na Amerykanów dopóki nie odwołają Jałty i nie ogłoszą krucjaty — to nie dogadamy się z nimi nigdy. Amerykanie nie podejmą bowiem wojny w celu wyrzucenia Rosjan z Europy, a gdyby Jałta mogła się stać "wyrazem równowagi" — jak pisze p. Ulatowski — Waszyngton byłby bardzo zadowolony.

Nasze rachuby opierają się nie na oczekiwaniu amerykańskiego Mesjasza, lecz na przeświadczeniu, że Amerykanie zostaną zmuszeni do wojny tak jak już zmuszeni zostali do zorganizowania międzynarodowego systemu antykomunistycznego. Jałty nie podrażą Amerykanie — Jałtę podrze Rosja. Jeżeli wojna wybuchnie to nie dlatego, że Anglosasi zechcą "naprawiać krzywdy" tylko dlatego, że Rosja pragnie okupacyjne strefy jałtańskie rozszerzyć na cały świat. Mimo to jednak, cała nasza szansa dziejowa związana będzie ze zwycięstwem Amerykanów. Mimo, że podpisali na nas wyrok w Jałcie.

Przeciętny polski emigrant w Anglii, we Francji czy w Argentynie, ukołysany oficjalnymi przemówieniami, rozwój wydarzeń wyobraża sobie mniej więcej następująco: gdy wojna wybuchnie — rząd polski w Londynie zostanie uznany i zasiądzie jako pełno-prawny sojusznik wśród narodów sprzymierzo-

nych. Bierutowi i wszystkim rządóm satelickim automatycznie zostanie cofnięte uznanie. Wówczas Prezydent — Rząd — Generalny Inspektor Polskich Sił Zbrojnych — otrzymawszy odpowiednie gwarancje i zapewnienia zadecydują o powołaniu pod znaki narodowe nas wszystkich, którzy jesteśmy żołnierzami R.P. na bezterminowym urlopie.

Daj Boże by tak było a nie inaczej!

Wielu sądzi, że dopóki te słowa nie staną się ciałem "wolni Polacy" na obczyźnie winni ograniczyć się do roli neutralnych obserwatorów.

Trzeba odróżnić dwie sprawy. Odbudowa armii polskiej na Zachodzie winna być wygrana jako atut polityczny w akcji mającej na celu przywrócenie rządowi uznania. Jeżeli jednak okaże się to niemożliwe — armia winna być odbudowana mimo braku uznania rządu. Jeżeli poruszam ten temat to dlatego, że z różnych wypowiedzi można wnioskować, że znajdują się polscy politycy, którzy w wypadku gdyby rząd nasz nie został uznany, nawoływać będą do neutralności i do odmowy utworzenia armii polskiej.

Musimy sobie zdawać sprawę z faktu, że wysiłki mające na celu przywrócenie uznania rządowi nie mogą być identyfikowane z akcją niepodległościową choć mogą — w danym okresie — stanowić jej fragment. Możemy odzyskać niepodległość mimo, że nasz rząd do końca nie będzie uznawany i odwrotnie uznanie nie przesądzi z góry naszego zwycięstwa.

Również uznanie rządu londyńskiego, czy odmowa uznania, nie mogą być traktowane jako kryterium i ostateczny sprawdzian amerykańskich celów wojny. W chwili wybuchu wojny Amerykanie ogłoszą z całą pewnością "deklarację" w sprawie narodów ujarzmionych przez Rosję. Ich polityka w stosunku do Polski i jej postulatów może być jak najbardziej pozytywna i zadawalająca, a mimo to, z różnych specyficznych względów, mogą odmówić uznania rządu londyńskiego.

"Ani kropli krwi polskiej dopóki rząd legalny nie jest uznany" — jest hasłem, które w danym momencie doprowadzone do politycznego absurdu może się stać zaproszeniem do całkowitego odosobnienia.

Niestety najbardziej nieprawdopodobne jest, że wojna — jeżeli wybuchnie — zastanie Polaków na emigracji nie skupionych wokół uznanego przez swoich i obcych legalnego rządu lecz rozparcelowanych na trzy ośrodki zwalczające się nawzajem. Mam na myśli rząd i Polaków popierających go bez zastrzeżeń, Radę Polityczną i Polaków popierających rząd z wielkimi zastrzeżeniami, grupę p. Mikołajczyka, która nie uznaje ani rządu ani Rady Politycznej.

Nie ulega chyba wątpliwości, że największe szanse odzyskania uznania miałyby rząd "Jedności Narodowej". Lecz nie istnieją realne możliwości powołania takiego rządu. Byłoby jednak wielkim krokiem naprzód, gdyby w chwili obecnej powiodło się uzyskać jedność przynajmniej w odniesieniu do jednego za-

gadnienia, które dominuje nad wszystkim tj. w sferze polityki zagranicznej.

Mam na myśli powołanie organu w którego skład weszliby zarówno delegaci Rządu jak i Rady Politycznej. Celem tej instytucji byłoby reprezentowanie jednolitej polityki zagranicznej na terenie międzynarodowym. Organ taki w wielu wypadkach miałby większe możliwości działania niż Rząd — legalny wprawdzie, lecz nie uznawany. Przede wszystkim komisja taka mogłaby się powołać przed obcymi na poparcie zjednoczonego frontu całej polskiej emigracji niepodległościowej z wyjątkiem grupy p. Mikołajczyka.

Institucja o której mowa — niczego by nie burzyła. Pozostałby bowiem nadal Rząd oraz Rada Polityczna. Ponieważ oba te organy prowadzą dziś swoje odrębne polskie polityki zagraniczne — tworząc proponowaną komisję ujednoliciłyby swoją akcję na terenie międzynarodowym w jedną polską politykę zagraniczną.

W odniesieniu do państw, które nas uznają byłaby to komisja rządowa dla spraw zagranicznych — w odniesieniu do mocarstw, które nas nie uznają komisja występowałaby w charakterze ciała reprezentującego ogół polskiej emigracji politycznej oraz wszystkie stronnictwa polskie z wyjątkiem grupy p. Mikołajczyka.

Rząd zyskałby — jeżeli chodzi o politykę zagraniczną — poparcie frontu "jedności narodowej" oraz zdobyłby instrument bez porównania bardziej zdalny do pracy w obecnej sytuacji niż oficjalny minister spraw zagranicznych. Ta adaptacja nie odbyłaby się kosztem legalizmu — przeciwnie, legalizm podmurowany jednością uległby wzmocnieniu.

Sądzę, że Rada Polityczna jeżeli by miała przystąpić do dyskusowania analogicznego projektu — zażądałaby połowy miejsc w komisji. Nie dyskutowałem tego planu z nikim i nie powstał on z niczyjej inspiracji — uważam jednak, że należałoby taką koncesję zrobić. W naszej wewnętrznej sytuacji cena za jedność musi być wysoka ale mimo to w chwili obecnej nie należy się wahać.

Nie ulega wątpliwości, że powołanie takiej komisji następcza wiele trudności. Zgadzałem się również z zarzutem, który musi się nasunąć Czytelnikowi, że proponowana komisja nie jest bynajmniej rozwiązaniem najprostszym. Doświadczenie jednak uczy, że w polityce — podobnie jak w życiu — najbardziej logiczne i proste rozwiązania często nie nadają się w ogóle do realizacji. W obecnej sytuacji międzynarodowej najprostszym rozwiązaniem i najbardziej zgodnym z logiką byłaby republika światowa. W naszej wewnętrznej sytuacji rozwiązaniem najlogiczniejszym byłoby powołanie rządu "Jedności Narodowej". Cóż jednak — kiedy te logiczne rozwiązania są całkowicie nierealne!

Choć nie czuję się upoważniony — jak niektórzy moi kole-dzy po piórze — do przemawiania w imieniu "rzesz" emigra-

cyjnych, myślę, że będę miał zdecydowaną większość po mojej stronie, gdy powiem, że sprawa odbudowy armii polskiej i czynny jej udział w ewentualnym konflikcie jest zagadnieniem tak doniosłym, iż odpowiedzialność za powzięte w tej sprawie decyzje winna spoczywać na niepodległościowej koalicji złożonej zarówno z Rządu jak i z opozycji.

Dogmatyczni legaliści na wysunięty powyżej projekt wzruszą ramionami i powiedzą: Od polityki jest "aparatury" MSZ. Od kardynalnych decyzji jest Prezydent.

To prawda. Ale w moim przekonaniu nie przestaje być legalistą i ten kto zdaje sobie sprawę, że mimo, iż posiadamy legalny Rząd pod względem państwowo-prawnym znajdujemy się w położeniu bez analogii i bez precedensów. Rada Polityczna nie jest zwykłą, normalną opozycją. Skarb Narodowy nie jest zwyczajnym i normalnym Ministerstwem Skarbu, a Rada Narodowa normalnym Sejmem. Choćbyśmy jak najbardziej podkreślali legalizm, to nasza sytuacja nie stanie się przez to ani na jotę mniej niezwykłą. A niezwykłe sytuacje wymagają niezwykłych rozwiązań.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Deklaracja w Filadelfii

Dokument ogłoszony w dn. 12 lutego br. w Filadelfii, w sali Niepodległości, gdzie przed 175 laty podpisano Deklarację o Niepodległości Stanów Zjednoczonych — winien być rozpatrywany z dwóch punktów widzenia.

Jest rzeczą oczywistą, że deklaracja została proklamowana za wiedzą rządu amerykańskiego. Bez przyzwolenia Waszyngtonu manifestacja tego typu nie mogłaby się odbyć a wybór miejsca i daty wskazują, że zarówno organizatorzy manifestacji jak i jej "sponsorzy" pragnęli nadać deklaracji możliwie największy wydźwięk.

Pedantycznie przestrzegana do tej pory "blokada milczenia" w odniesieniu do spraw Europy Środkowo-Wschodniej została przełamana. Z tego punktu widzenia deklaracja jest wydarzeniem politycznym o pewnym znaczeniu i byłoby błędem tego nie doceniać. Nie podzielamy opinii tych kół na emigracji, które skwitowały manifestację filadelfijską wzruszeniem ramion i uwagą, że deklaracja miałaby dopiero wówczas znaczenie gdyby ją podpisał i zagwarantował rząd Stanów Zjednoczonych. Nie jesteśmy, niestety, w takiej sytuacji abyśmy w polityce mogli kierować się filozofią "że lepsze jest wrogiem dobrego".

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że deklaracja stanowi niewątpliwie pewien krok naprzód, a ogłoszenie jej tekstu i opisów uroczystości w wielkich dziennikach amerykańskich, jak "The New York Times", dopomoże do wyjaśnienia czytelnikowi amerykańskiemu zagadnieniu Europy Środkowo-Wschodniej i kardynalnej wagi tego problemu w narastającym konflikcie z Rosją. Na tym polu jest niezmiernie wiele do zrobienia i każdą akcję w tym kierunku należy podkreślić z uznaniem.

Jeżeli spojrzeć na deklarację od strony emigracyjnej będziemy mieli do zanotowania wiele minusów.

Każda deklaracja składa się z dwóch elementów: z tekstu programu oraz z podpisów ludzi, którzy dany program ogłaszają. Jeżeli deklaracja filadelfijska miała być mieć pełne znaczenie w zakresie wyznaczonym jej przez "sponsorów" amerykańskich — to dobór podpisów powinien być możliwie najbardziej reprezentatywny. Bo przecież z punktu widzenia polityki amerykańskiej, deklaracja obliczona jest na odbiorców poza "żelazną kurtyną", którzy w tej manifestacji dopatrywać się winni (w myśl intencji jej organizatorów) znaku, że Stany Zjednoczone nie przypieczętowały definitywnie grobu ich wolności. Gdyby Polaków w kraju zapewniały o tym podpisy reprezentujące emigrację polityczną jako całość miałyby to zupełnie inne znaczenie niż samotny podpis p. Mikołajczyka i kilku jego pomocników.

W odniesieniu do Polski, deklaracja filadelfijska nie jest "wyzwoleńczą deklaracją" proklamowaną przez politycznych reprezentantów Emigracji, przy zgodzie i poparciu Ameryki, lecz jest tylko apelem grupy p. Mikołajczyka.

Apel ów — w swym brzmieniu słuszny na ogół i szlachetny — nie przestaje być słusznym dlatego, że podpisał go p. Mikołajczyk. Apel ten natomiast nie może pretendować do miana deklaracji ogłoszonej w imieniu "wyrzniętów z Polski" — mówiąc stylem dokumentu — a to z tej przyczyny, że p. Mikołajczyk nie ma ani prawa ani tytułu do przemawiania w imieniu "politycznych wyrzniętów z Polski". Tego prawa nie może mu nadać Komitet "Free Europe" ani nawet Waszyngton.

Nie chodzi w tym wypadku o wnikanie w emigracyjne spory tylko o rozgraniczenie kompetencji. Jeżeli np. szło by o "Zieloną Międzynarodówkę" chłopską, podpis p. Mikołajczyka jest jedyny właściwy. Jeżeli jednak idzie o polskie uchodźstwo polityczne podpis musieliby złożyć inni ludzie reprezentujący inne organizacje i kierunki polityczne.

Wśród podpisów grupy p. Mikołajczyka znalazł się również podpis p. Izzydora Modelskiego. Jesteśmy przeciwni bezwzględniemu generalizowaniu i zamykaniu drzwi przed każdym nowym emigrantem. Daliśmy tego liczne dowody zresztą. Sprawy te muszą być traktowane indywidualnie i po ludzku. Jednak sam fakt "wybrania wolności" nie może automatycznie rozgrzeszać ze służby dla komunistycznej agentury. Od pewnych zasad nie wolno nam odstępować i są czyny, których tu na

emigracji nie jesteście kompetentni wymazywać z ewidencji. Wydaje się, że w stosunku do p. Modelskiego te kompetencje przekroczone.

Kulisy tej całej sprawy, uderzający brak podpisów Polonii amerykańskiej, wycofanie się Rady Politycznej z tej imprezy nie mogą stanowić przedmiotu niniejszego omówienia.

Zadziwia również w pewnym stopniu podpis p. Kiereńskiego. Nie można mieć żadnych zastrzeżeń w stosunku do Rosjan, którzy pragną wolności i niepodległości dla swego narodu. Faktem jest jednak, że emigracyjne rosyjskie ugrupowania polityczne i to zarówno lewicowe jak i centrowe nie sprecyzowały wyraźnie swego stanowiska w sprawie narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego czego najlepszym dowodem był zjazd tych stronnictw w Monachium w styczniu br. Mówimy tylko o ugrupowaniach lewicowych i centrowych albowiem polityka rosyjskiej prawicy emigracyjnej jest aż nadto dobrze znana.

W sumie należy stwierdzić, że dobrą inicjatywę szczególnie w stosunku do Polski tj. największego kraju europejskiego opanowanego przez Rosję — zmarnowano. Jest to również błąd ze strony Amerykanów. Bo przecież jasne jest, że politycy amerykańscy, którzy patronowali tej deklaracji co innego zamierzali a co innego osiągnęli.

J. M.

Sen o wojnie i pokoju

Dudni pociąg z Waszyngtonu do Montrealu po szynach Vermontu. W styczniu mrok zapada rychło; więc gdy znikną z oczu piękne, jak gdyby alpejskie widoki, dłuży się kilkunastogodzinna podróż. W zmęczonej pamięci snują się postacie spotkanych osób, strzępy niezliczonych rozmów. Na myśl powraca zapytanie jednego z rozmówców: "Co tu pana ściągnęło do nas o tej niewdzięcznej dla stolicy, zimowej porze?" i moja odpowiedź: "Zajmuję się obecnie literaturą, panie senatorze; absorbuje mnie tołstojowski temat wojny i pokoju...". Wspomnienia się mącą; zapadam w sen.

Jest wczesny dzień wiosenny 1951 r. Lepiej go nie określać bliżej, by nie przyśnił się innym. Z łatwością właściwą śniącym przerzucam się w mgnieniu oka z jednego na drugi punkt globu. Widzę opustoszałe jakoś w tej chwili stacje badawcze promieni kosmicznych, uwite jak skalne gniazda, jedno na zboczach góry Aragan w pobliżu Erywanii w sowieckiej republice Armenii i

drugie opodal Stalinabadu w Tadżykistanie. W pełnym ruchu, jak zwykle, są natomiast wielkie fabryki energii atomowej, na dalekiej północy, za Kotłasem i Uchtą, w dorzeczu Peczory i na Uralu, gdzieś między Swierdłowskim, Czeliabińskim i Magnitogorskim. Ale główne tuzy tej gałęzi wiedzy sowieckiej zgromadziły się gdzie indziej, w starannie odciętej od świata i ubezpieczonej reducie doświadczalnej nad górnym Jenisiejem, w ludowej republice Tuwa, która nominalnie mieści się poza granicami Związku sowieckiego, między środkową Syberią a Mongolią i Sinkiangiem. Wśród zebranych tu w jakimś ważnym celu wybitnych uczonych i fachowców widzę liczne, nic mi nie mówiące twarze Rosjan, ale także Kapicy, ongiś obiecującego ucznia znakomitego Rutherforda w Cambridge, zbiegłego z więzienia Fuchsa i tak niedawno jeszcze głośnego na Zachodzie Pontecorvo. Na twarzach maluje się wyczekiwanie.

Prawie jednocześnie, bez względu na datę kalendarzową, obserwuję zjazd podobny w pobliżu Los Alamos, w stanie New Mexico, gdzie wypróbowana została na obszarach pustynnych w 1945 r. pierwsza bomba atomowa. Tymczasem praca wre normalnie w olbrzymich zakładach Hanford Engineer Works nad rzeką Columbia, w samym centrum stanu Washington; podobnie w siostrzanych Clinton Engineer Works w Tennessee Valley. Produkty tych kuźni cyklopów gromadzą się z regularnością zegarka w schronach arsenalowych stanu Colorado. Ale od pewnego czasu ustały na pustynnym poligonie Nevady doświadczalne wybuchy, które niepokoiły okoliczną ludność, zwołując je targaniem diabła za ogon.

W Los Alamos tłum dostojników wiedzy, obrony narodowej i polityki coraz to się zwiększa. Brak w nim popularnej postaci sędziwego Einsteina, któremu wiek musiał na podróż nie pozwolić. Nie widać też niedawnego kierownika prac atomowych, Lillienthala. Ale wśród uczonych odróżniam twarze Oppenheimera, Vannevar Busha, Ureya, Włocha Fermiego, skandynawów Niels Bohra i Andersona, Niemców Frischa i Meitnera. A oto na starej "świętej Krowie", bo nowa superkonstelacja Prezydenta zajęta widocznie gdzie indziej, nadlatuje Wiceprezydent i przewodniczący Senatu, Barkley, w towarzystwie Ministra Obrony Narodowej, gen. Marshalla. Na znanej mi dobrze twarzy tegoż rysuje się ten sam wyraz zaseplonej jak gdyby, ale niepozabawionej dobroćmi powagi, z jaką tłumaczył mi tak niedawno przebieg koreańskiej kampanii.

Wszyscy, a ja wśród nich, zbliżamy się do skomplikowanej aparatury, która ma spowodować wybuch doświadczalny i zarejestrować naukowo jego przebieg i wyniki. Słyszę głos Fermiego, który śpiewnym akcentem objaśnia po angielsku rozmiary i zasięg działania próbnej bomby wodorowej, wobec której atomowa sprzed lat sześciu jest jakby marnym liliputem. "Doświadczenie niczym nam z odległości obserwacyjnej nie grozi — tłumaczy mówca — chyba, że zbiegną się w czasie i

przestrzeni z innymi podobnymi próbami, które by ich działanie uwielokrotniło, a na to przecież nie zanoszą się".

W miarę zbliżania się wyznaczonej godziny zainteresowanie i napięcie wśród obecnych wzrasta. Uplywa jeszcze chwila i w uroczystej ciszy Oppenheimer włącza małą, mosiężną dzwignię. Na moim zegarku dostrzegam godz. 4.30 po poł.

Sejsmograf i mierniki radioaktywności zaczynają grać jak oszalałe, ale za szybą z grubego kryształu, na horyzoncie przed nami, nie wyrasta charakterystyczny grzyb kurzawy. Natomiast wśród potężniejszego huków ziemia zaczyna drgać w posadach, jak gdyby rozdzielana od wnętrza kielnią cyklopa. Na twarzy Fermiego przebiegają błyskawicą zaskoczenie, zdumienie, niepokój... Stoję tuż koło niego i wyraźnie słyszę, jak na usta jego cisnie się niedokończony szept: "czyżby to samoczynna reakcja łańcuchowa w głąb..."

Tu przerywa się nagle wszystko. Wśród niesamowitego jęku żywiołów skorupa ziemska rozdiera się od Gór Szwajcarskich pod Pacyfikiem aż w głąb Azji potworną szczeliną niezmiernie głębokości, szerokoą jak łożo rzeki św. Wawrzyńca i coraz to szerszą. Do rozżarzonych trzewi ziemskich wdzierają się z rykiem wody Oceanu i następuje wybuch przy którym nawet wodorowa bomba wyglądałaby tak, jak butelka lejdejska w porównaniu z piorunem.

Czas i przestrzeń rozplywają się w wieczność i nieskończoność. Dzieje się to tak nieoczekiwanie i nagle, że trudno w ludzkim języku określić jakie w tym przeżyciu zamknęły się doznania: ile trwogi, cierpienia, świadomości, jakie ludzkości podzwonne i surm archanielskich wołanie? Zresztą mniejsza o to. To co jest wieczne, otrząsa się z ziemskich małości, drobnych spraw i trosk człowieczych. Nastaje jakiś przedziwny spokój, harmonia i kryształowa przejrzystość, w której widzi się wszystko, nie tylko czyny, ale intencje i myśli. W bezmiarze czasu i przestrzeni trwa sąd, któremu przegladają się i przyszłuchują w nastroju świątecznym niezmiernie cieżby ludzkie.

W pewnej chwili, która nie jest chwilą, do sędziowskiego tronu zbliżają się dwaj dostojni starcy. "Kto to?" — pytam szeptem podrośnika, stojącego przy mnie w białej szacie z palmą w ręku. "Apostołowie - dyplomaci" odpowiada, "podejdź bliżej". Zbliżam się jak w pracowni kinematograficznej przy zmianie obiektywu i oto widzę starca, który w podrózach, trudach i niebezpieczeństwach bez liku pracowicie zmierzył pół świata, przemawiał na stopniach Akropolu i głosicielem był niezrównanym miłości, aż siwą głowę pod miecz w Rzymie złożył. Drugi z nich palce przed siebie wyciąga, a że wątpił i dobiekał, też był dyplomatem natchnieniem.

Słyszę jak odzywa się starzec wsparty na mieczu: "Wiemy tutaj, widzimy i rozumiemy wszystko, ale chcielibyśmy, by wśród zeznań podsądni sami oświecili sprawę pokoju i wojny, która jak zmora zawisała nad ludzkością przed końcem świata".

Zwracam oczy na pierwszego z podsądnych. Człowiek to wzrostem mały, ale w jego zachowaniu się odczuwa się sporo pewności siebie kogoś, kto sam swój los sobie wykuł i pewną czupurność z niskim wzrostem związaną. Za szkłami błyszczą oczy żywe i ruchliwe, mówi żwawo, z temperamentem sangwinyka. Notuję w pamięci jego słowa:

"Demokracja i kłapouchy symbol jej u nas stronnictwa to rzecz piękna, prawie tak, jak posąg wolności u wejścia do nowojorskiego portu. Ale jakże trudna do stosowania w naszych warunkach! Jeżeli ja sam za życia czułem się nieswojo w płaszczu skrojonym na miarę Franklina (słyszac to wyznanie raz jeszcze jestem zaskoczony łatwością z jaką Amerykanie nazywają siebie po imieniu), to cóż dopiero kraj mój w światowej roli, która mu prawie z nienacka w udziale przypada. Nieznośne zmaganie się z za dużym na bucik kaloszem, którego nie nadąza się wypchać papierem. A tu nie mijał jeden dzień bez potrzeby pamiętania o tych czy innych wyborach, grożących niepomyślnym wynikiem. I te zażarte walki partyjne, nie oszczędzające nikogo i niczego, których ton i forma, z reguły niewspółmierne z treścią, wykoszławiły szkodliwe w oczach obcych obraz naszej rzeczywistości! Kosztowną ceną swobody była jawność, posunięta w praktyce tak daleko, że nie wiadomo było nigdy czy przeciwnik nie znał prędzej ode mnie naszych największych sekretów..."

Słowa te wypowiada mówca prosto, ale z cieniem dawnej goryczy na obliczu. Mówi w sposób dla wszystkich dostępny, jak gdyby posługiwał się jakimś międzynarodowym językiem, ale jednak, gdy wymienia zalety i obciążenia demokracji, wbijają mi się w pamięć angielskie wyrażenia: "assets" i "liabilities". Użala się dalej na wciąż pęczniejącą biurokrację, na trudności walki z inflacją i jej wpływem na rynek pracy, na kłopoty w Kongresie i objawy histerii w doszukiwaniu się wszędzie szpiegostwa i zdrady, ale skądinąd i na działania w kraju prawdziwej piętej kolumny. Przypomina gwałtowność krytyk prasowych i radiowych, w których świetle Sekretarz Stanu zamiast być mu podporą, sam potrzebował podtrzymania. Pada z ust jego, rzecz szczególna, skarga na brak wielkich ludzi, którą przed katastrofą rozciągnąć było można na cały świat zachodni.

"Czy słuszne jest w tych warunkach — ciągnie dalej mówca — zarzucanie mi nieopanowania, skoro pod ciężarem wydarzeń i obowiązków zdarzyło mi się zbyt obcesowo może rozprawić się z krytykami mej córki?"

"Wbrew pewnym objawom schyłkowym w naszej cywilizacji zachodniej, których nie neguję, miałem pełne prawo liczyć na wspaniałe zalety mego narodu, na jego młodość, zapał i ofiarność, na jego niezwykłą energię i przedsiębiorczość, którym zawdzięczał prymat światowy w potencjale gospodarczym. Wiedziałem, że naród ten, pozornie niedojrzały politycznie, rozumiał twarde prawo solidarności w zagrożeniu i niebezpie-

czeństwie i że nie wróci do izolacjonizmu w dawnej postaci.

"Pod kątem widzenia wojskowym trzeba nam było co najmniej dwuletnich, intensywnych przygotowań, by po zaniebaniach lat ubiegłych móc sprostać grożącej nawale. Przygotowania te były już w pełnym toku, choć utrudniała je rozprawa w Korei. Tę zaś musieliśmy podjąć także dlatego, by należycie uświadomić o niebezpieczeństwie rodaków, którzy reagują najlepiej na fakty konkretne. Względami wewnętrznymi tłumaczył się również w dużej mierze nasz twardy ton względem chińskiego napastnika. Skądinąd trzeba było wielkich wysiłków i to nie tylko materialnych z naszej strony, by przy pomocy zasłużonego generała rozwiać w Europie zachodniej nastrój pesymizmu i rezygnacji i natchnąć ją otuchą, chęcią oporu i wiarą w zwycięstwo.

"W ciągu tych lat niespokojnych nasz stale rosnący zapas bomb atomowych i zdolność ich rozrzucenia na pierwsze wezwanie w każdym punkcie kuli ziemskiej, stanowiły najistotniejszą gwarancją przed zaskoczeniem nas przez napastnika. Ubezpieczenie to miała uzupełnić wkrótce bomba wodorowa, a szereg innych wynalazków, których tajemnicę zdołano jednak utrzymać, wzmocnił obronę przed lotnictwem i bronią podwodną.

"Tak więc materialnie i nastrojowo inicjatywa pozostawała u przeciwnika. Mimo walk w Korei trzeba było chyba ciosu równoznacznego z klęską w Pearl Harbour, by skłonić nas do otwartej wojny. Każdy kto znał mój kraj przyzna, że wojna prewencyjna była dlań nie do przyjęcia. Ale proces dojrzewania nastrojów w masach narodu tak został ostatnio pod wpływem wypadków przyspieszony, że i to nawet mogło może z czasem ulec zmianie. Myślę jednak, że jeśli coś miałyby do tego doprowadzić, to nie tyle kalkulacja kupiecka przeciągających się, horrendalnych wydatków, co nieznośny dla naszego temperamentu ciężar długotrwałej reglamentacji.

"A zatem, konkluduje mówca, programem naszym w tych warunkach — jeśli w ogóle mówić było można o programie we wścieklej gonitwie z faktami — była polityka stanowczości na zewnątrz, niepozbawiona ostrożności, by zyskać na czasie i nie posiać w drodze przyjaciół. Była to na razie polityka obronna zarówno na Pacyfiku jak w Europie zachodniej, z tą różnicą, że ta ostatnia stanowiła w naszych oczach główny bastion inicjatywy w przyszłej rozprawie i jej najważniejszy, jedyny bodaj obiekt, którego zacementowanie przez napastnika stanowić by dla nas musiało w każdym razie casus belli, bez oglądania się na okoliczności.

"Może w obliczu przerastających nas wciąż jeszcze zadań uchodziliśmy słusznie za wielkie dzieci, może brak nam było tradycji i doświadczenia, na czym nieraz cierpiała nasze plany działania. Ale rozważywszy wszystko bezstronnie przyznać trzeba, że nie było brak nam nigdy dobrej woli, że nie przestaliśmy być wierni ideałom wolności i demokracji, pokoju i

współpracy międzynarodowej, że nie powodowaliśmy się egoizmem, ale nie chcieliśmy uchodzić za naiwnych. I dlatego dzisiaj, gdy w wieczności przyszłość przestała istnieć, oczekujemy na wyrok z ufnością”.

Nie przebrzmiały jeszcze te słowa, gdy z kolei wystąpił na przód drugi z podsądnych, w prostym stroju mundurowym, bez odznak. Zauważyłem, że postarzał widocznie: czupryna siwiejąca, wąs wypłowiwały, ale w wyrazie twarzy ten sam półuśmiech ni to dobroduszny ni to chytry, coś przypominającego łapę tygrysa, w której pod elastyczną poduszką stalowy pazur się chowa. Jak dawniej mówi z wolną, z akcentem gruzińskim, rzeczowo, ale z reguły agresywnie. I znowu odnoszę wrażenie, że język, którym się posługuje, dostępny jest dla wszystkich, a przecież coraz to uderzają moje uszy jakieś wyrażenia rosyjskie.

“Mój przedmówca — zaczyna śmiało podsądny — dużo prawił o sumieniu. Gdybym brał to na serio, to zapytałbym go, czy sam zawsze był z nim w porządku. Ja nie chciałbym podawać się za klerykała, choć Bóg mi świadkiem, że imieniem Jego w mowie nie gardziłem. Sumienie sumieniem, ale czy to ja byłem podżegaczem wojennym, czy ja zbroilem Niemców do odwetu, czy ja nawoływałem do zbrojeń, czy to moje wojsko walczyło w Korei, czy ja szafowałem bombą atomową i nią groziłem?”

“Zarzuca mi się — polemizuje dalej — rządy terrorem, czystki, zesłania, obozy pracy, ale czyż w carskiej Rosji bywało inaczej? Mówi się o Żelaznej Kurtynie, zapominając o tym, że do pierwszej wojny światowej tylko Rosja i sułtańska Turcja znały przymus paszportowy. Czy raczej kurtyny tej nie zapuścił sam Zachód nad demokracjami ludowymi, za wzorem zasieków z drutu kolczastego, którymi chciał zdusić u zarodka bolszewicką rewolucję? Posądza się mnie o nieszczerść, ale któż tak otwarcie jak mój poprzednik i ja sam w dziełach o wielomilionowych nakładach przedstawił swoje plany i dążenia? Jeden chyba autor “Mein Kampf”, ale i jemu wierzyć nie chciano.

“Czyżem ja był tak głupi, żeby nie pamiętać losu Mussoliniego i Hitlera i narażać się tam gdzie ryzykowanie wcale nie było potrzebne? Czemu zatem nie skorzystałem z nieprzygotowania przeciwników, by ich w porę zaskoczyć i pokonać? Prawda, że nie miałem u siebie kłopotów z demokracją, wyborami, jawnością ani piątą kolumną, prawda, że armia czuwająca miała ogromną przewagę liczebną, że w zakresie lotnictwa i broni podwodnej liczyć mogła na wsparcie skuteczne, prawda, że sprzyjało nam dogodne położenie geograficzne.

“Ale zapomina się, że do końca nie mieliśmy przeciwwagi defensywnej ani ofensywnej w zakresie broni atomowej, że brakowało nam ropy, a postęp w produkcji zbrojeniowej paraliżowały stale niedociągnięcia techniczne. Nastroje ludności, a nawet wojska mimo stosowanych u nas metod, pozostawia-

ły znacznie więcej do życzenia niż się tego domyślano na Zachodzie. Wreszcie moje informacje, czerpane z agentur i piątych kolumn, a więc pozornie z doskonałych źródeł, nie były nigdy zadawałające. Zbyt często starano się mnie przypodobać kosztem prawdy, a ja sam zbyt mało znałem zagranicę, by móc na własnym wyczuciu bezwzględnie polegać. Ostatnio brak ten był dla mnie szczególnie dotkliwy w ocenie reakcji amerykańskiej na ewentualną rozgrywkę w Persji z jednej strony, a w Jugosławii z drugiej. Przychodziło mi nieraz korzystać ze sporządzanego pod moim bokiem doraźnego przekładu z “New York Times’a”. Smutne to, ale prawdziwe!

“Ryzykować wojnę w takich warunkach byłoby czystym szaleństwem. Czyliż nie lepiej było uprawiać pouczające i bezkrwawe dla nas, a kosztowne dla Stanów manewry w Korei, gdzie za cenę skóry pewnej ilości Chińczyków sprawdzało się, jak ongiś w poligonie hiszpańskiej wojny domowej, wartość najnowszych modeli broni własnej i cudzej? Przygotowany więc byłem na powtórzenie tego doświadczenia gdzie indziej w podobnych warunkach, najchętniej na Średnim Wschodzie, o ile bym nabył pewność, że to nie doprowadzi do otwartej i powszechnej wojny. Nie tylko bowiem przydałaby się nam nafta, którą by zarazem utracili przeciwnicy, ale i nasze własne zagłębie byłoby lepiej zabezpieczone.

“Rzecz jedna była dla mnie całkiem jasna. Jak długo czas pracował na moją korzyść, jak długo tanio zbierałem żniwo obfite, jak ostatnio w Azji, tak długo wojna nie była w moim interesie. Nic nie wskazywało na to, by ten stan rzeczy miał tak rychło ulec zmianie...”

Głos mówcy nie słabnie, przeciwnie staje się coraz bardziej dobitny. Zakończeniu przemówienia nie zbywa na bezczelności. Słyszę konkluzję:

“Nie wiem jakie przydzielone mi będzie miejsce osiedlenia z dwóch, o których istnieniu tu się dowiaduję, ale wobec jawności, jaka tu obowiązuje szczerze powiem, że gdziebym się nie znalazł, nie pozostanę bezczynny i ufam, że i po drugiej stronie powstaną jakaś piąta kolumna, do wywrotowych zadań gotowa”.

Ledwie zamilkła ta urągliwa zapowiedź, gdy do mych uszu doszedł głos drugiego z Apostołów, pełen chyba raczej rozczarowania niż oburzenia: “A przecież to wszystko nie wyjaśnia nam jeszcze, co byłoby się stało, gdyby za Bożym zrządzeniem bomba wodorowa nie położyła kresu doczesności!”

W tym samym momencie poczułem szarpnięcie za rękaw. Pół we śnie, pół na jawie, przecierając oczy, odezwałem się do stojącego nade mną i szczerze tym zdumionego celnika na kanadyjskiej granicy, jak gdybym odpowiadał Apostołowi: “Czyż nie trzeba coś pozostawić do przemyślenia czytelnikom “Kultury”?”

Sprawy Krajowe

Dalsze nocne rodaków rozmowy

Coraz rzadziej zdarza nam się szczerą rozmową z rodakiem z kraju. Ludzie na Placówkach unikają oczywiście niebezpiecznych kontaktów bo coraz trudniej jest pływać między dwiema wodami. Tych zaś co wybierają wolność otacza długotrwała nieufność, tym większa, im wyższe było ich stanowisko. Są jeszcze zbiegowie, ci co się zdołali wyślizgnąć z sieci, ludzie nieraz urwani z szubienicy, ale oni, spłoszeni barierami policyjnymi i metodami różnych wywiadów, zranieni obojętnością albo podejrzliwością rodaków, niechętnie dają się poznać i nieraz woła po prostu zejść z oczu, zapomnieć i być zapomniani.

W ostatnim numerze "Kultury" Bielatowicz upomniał się o granicę Polski, granicę wierności Polsce, granicę duszy polskiej, której najdalsze rubieże leżą dziś w Australii i Ziemi Ognistej, w puszczech kanadyjskich, lub nad Tamizą, ale które też przebiegają wzdłuż i wszerz ziemi polskiej.

...Ten wrócił do kraju, pracuje w urzędzie X, lub Z, tamten skawił Stalina, brał udział w manifestacji Y, zasiadał w Prezydium tego lub innego Kongresu... jest zapisany do Partii... Zdrajcy!

Ów zwiął, ale po ilu latach? A ile sobie odłożył pieniędzy państwowych, zdobywanych ciężką pracą ludzi zamęczonych w Polsce? Jak się zrobiło ciasno lub mieli go odesłać do Centrali, miał tego dosyć.

Musi być opinia! Odciać się od parszywych owiec!

Ale kto ma prawo sądu? Czy czas stanowić wyroki?

Czy mamy potępiać architekta, który porzucił bezpieczny byt we Francji, i wrócił do Polski, pragnąc przyłożyć rękę do odbudowy kraju? Albo b. ziemianina, znakomitego agronoma, który wyzwolony z obozu niemieckiego przez Amerykanów, wrócił, aby móc służyć Ojczyźnie swoim doświadczeniem? Czy lektora języka polskiego na francuskim Uniwersytecie, płatnego przez warszawską ambasadę? Czy tłumacza literatury polskiej pracujące-

go też dla niej? Albo poetę co się czuje związany z narodem, nie chce "błąkać się w cudzoziemców, nieprzyjaciół tłumie..." i chociaż żywy być dla swojej ojczyzny umarły? Kto z całą pewnością odróżni oportunistę od tego, który uległ złudzeniom, u wierzył swoim nadziejom, lub który po prostu wpadł w potrzask? Tragiczne pomyłki.

Architekt będzie się wił jak piskorz, a plany jego podejrzone o zachodni formalizm będą odrzucane; agronoma po kilku latach wydajnej pracy, wówczas kiedy go już będzie można zastąpić, oskarżą jako byłego "obszarnika" o świadome szkodnictwo, zdradę, szpiegostwo i skazą na dożywotnie więzienie; poetę przymuszają do kłamstwa i pochlebstwa, w każdym wierszu będą tropić odchylenia ideologiczne, drobnomieszczactwo, a zasypawszy w nim źródło twórczości, odrzucają jak szmatę.

Kto się odważy sądzić tych ludzi?

Spotkałyśmy się w przygodnym pokoju wspólnego znajomego, w jakichś obskurnych Chambres Meublées. Była to szara godzina ciemnego zimowego dnia. Gospodarz zostawił nas same, prosił by zamknąć się na klucz, nie zapalać światła i nie odzywać się, gdyby ktoś pukał.

— Wracam z piekła — były pierwsze słowa tej rozmowy, a raczej długiego monologu, który się toczył jak potok po dźwignięciu zapory. — Bo czy może być coś gorszego, coś potworniejszego, jak lęk, który przenika całe społeczeństwo, gdzie brat boi się brata? Nie poznałabyś Polski! Ten lęk odbija się nawet na małych dzieciach, są inne od dzieci zachodnich, jakieś smutne, ocieślałe, zarażone tym samym powietrzem. Rzeczy znane dla każdego kto przeszedł przez Rosję: szarzyzna, troska i milczenie.

Ludzie w zatłoczonych tramwajach i trolejbusach dawniej dowcipnej Warszawy krzyczą i przeklinają się wzajemnie — nie rozmawiają. Tłum na dworcach, w poczekalniach i wagonach jest milczący. Niekiedy uchwycisz jeszcze porozumiewawcze spojrzenie, ale też coraz rzadziej, czasem jakiś mocno cięty robotnik wybuchnie najgorszymi wyrazami, urągając na tę "wolność i równość Polski Ludowej", nim nie wytrzeźwieje w rękach UB. Ale na ogół nawet alkohol nie zwalnia czujności, nawet w bliskim kółku znajomych po kilku kieliszkach wódki, kiedy języki się rozwiązują — wszyscy zaczynają mówić razem... o pogodzie!

— Czy wiesz, że przybysz z Zachodu razi tam każdego swoim zachowaniem, pewną swobodą ruchów, głosem, śmiechem... "Jak Ty się zachowujesz? — zwracano mi uwagę w tonie zgorzelenia, nie zapominaj, że nie jesteś zagranicą... uważaj!..."

— Zaczęłam więc uważać i wiesz co zauważyłam... umilkła.

Siedziałyśmy obie skulone na tapczanie, na schodach słychać było ciężkie kroki idące pod górę. Ludzie wracali z roboty.

— Zauważyłam, że Orwell nic nie przesadził w swojej wizji, tylko nie docenił siły marksizmu, jego przekonywującej logiki, odpowiedzi jakie daje na każdy problem życiowy. Wiesz, że są

ludzie, co czytają w Polsce "Rok 1984" — mimo, że za Orwella dostaje się podobno 12 lat więzienia... Kontrola myśli?... Ale to nie jest już żadna ponura utopia — to fakt! Nie wystarczy dziś słowo, gest, oklaski, podpisy. Na zebraniach publicznych człowiek powinien nieustannie czuwać nad mięśniami twarzy, drgnieniem ust, barwą spojrzenia. Biada temu, kto się uśmiechnął w chwili kiedy należało wyrazić entuzjazm, albo zmarszczył brwi, kiedy wszyscy wybuchali śmiechem.

— Z czego się towarzyszka uśmiecha? — zapytają ją uprzejmie, albo "To się towarzyszce nie podoba? Towarzyszka zdaje się nie oklaskiwała rezolucji?" Będziesz już miała zły stopień, za późno protestować...

W Polsce opowiadają sobie na ucho anegdotę sowiecką: Siedzi w więzieniu dwóch mężczyzn. — Za co? pyta jeden drugiego. — A no, byłem inżynierem, oskarżony o sabotaż... A Ty? — Ja odpowiada drugi, to się poleniłem. — Jak to? — A tak: pogadaliśmy sobie od duszy z przyjacielem. On poszedł zaraz na MWD, a ja się poleniłem. No i siedzę...

W człowieku tropionym aż do wnętrza zwojów mózgowych, rozwija się instynkt zwierząt leśnych, jakieś niewidzialne anteny ostrzegają go przed niebezpieczeństwem. Nie potrzeba mu już powtarzać: uważaj!

— Ale człowiek jest istotą myślącą, często niezdolną żyć bez myślenia, dlatego musi ulec rozdwojeniu, głębokiemu i okaleczającemu go rozdwojeniu.

— Pytasz o młodzież, właśnie młodzież! A do młodzieży zaliczyć już trzeba dzieci od lat 10. Spotkałam m.in. chłopca 12-letniego, który pracowicie z największą powagą, marszcząc brwi, pisał wypracowanie na cześć Stalina (zauważyłam ze zdziwieniem, że wymawiając to imię Zofia zawsze mimowoli zniżala głos), a jednocześnie miał aparat radiowy nastawiony na polską audycję z Madrytu. Nawiasem wspomnę, że audycje madryckie mają tak duże powodzenie wśród młodzieży szkolnej i sfer robotniczych nie dla wiadomości politycznych, które tą lub inną drogą docierają do ogółu, ale dla inwektyw skierowanych przeciwko reżimowi, pomstowań, niewybrednego humoru — to daje ludziom niczym nie zastąpioną chwilę odprężenia, kilka głębszych oddechów... (Sfery średniej inteligencji słuchają najchętniej "Voice of America", a bardziej wybredni wołają londyńskie B.B.C.).

— Otóż matka tego malca, zbiedzona, zatroskana nie wytrzymała: "Jak możesz tak, dziecko, wybuchała, pisać jedno a słuchać drugie? — A dlaczego nie? zdziwił się uczniaczek — co to ma jedno do drugiego? To sobie, a tamto sobie, to szkoła a to Madryt...".

— A propos Madrytu i jego audycji, to zdarzył się taki wypadek. Służąca jednego z dyplomatów zagranicznych chodziła na wieczorowe kursa dokształcające (obowiązkowe również!) Wracając któregoś dnia we łzach. Co się stało? — Dostałam pałkę! — Za co? — Kazali nam pisać wypracowanie: Dlaczego kochamy

Związek Radziecki... — Coś napisała? — Że kocham Związek Radziecki, bo go nikt nie kocha! — No, a jakże tak mogłaś napisać? — Bo tak mówili z Madrytu...

— Co zaś do młodzieży starszej, nie będę niczego uogólniać, powiem to co widziałam, co sama zaobserwowałam. Młodzież od 20 do 25 lat, dla której czasy przedwrześniowe są mitem dzieciństwa, złym czy dobrym, która zaznała konspiracji i strasznych niebezpieczeństw niemieckiej okupacji — dla wielu z nich od 1945 roku zaczęło się nowe życie, pełne możliwości. Młodzież chłopska i robotnicza, ci nowi Judymowie, zyskali stypendia i możliwość awansu jakich nie mieli przedtem, mają opiekę państwową, no i wreszcie stanowiska. A któryż młody nie pragnie żyć i działać? Zaś wśród młodzieży sfer dawniej uprzywilejowanych nie brak i dziś "Siłaczek" i "Doktorów Piotrów", których raduje zniesienie różnic klasowych, praca z ludem i dla ludu, nadzieje powszechnego dobrobytu, odmłodzenie planety... zaludnienie pustyni... Spotkałam taką medyczkę, znałam ją dzieckiem.

— Nie jest tak źle, Zośka, mówiła mi, wiele się robi, nie jest tak źle! Szukaj na Zachodzie takich zmian jakie tu zaszły w ciągu tych 5 lat, wierz mi! Kończąc medycynę, wyjadę na prowincję, do jakiejś wsi, gdzie nie widywano lekarza: doktor, położna, to był przywilej bogatych, dzisiaj prawo powszechne! Socjalizm to ustrój przyszłości, ustrój który zostanie, lepiej by było oczywiście abyśmy go zrealizowali sami i nie sowieckimi metodami — ale i to przetrzymamy! dodała na pożegnanie. Zobaczysz!". Spieszyła na wykład. Przy okazji powiem, że Uniwersytety są pełne, a procent młodzieży chłopsko-robotniczej wciąż się podnosi. Nie ma mowy o żadnym "markowaniu", o zbieraniu podpisów w indeksach, o zaniedbywaniu wykładów i ćwiczeń. Kontrola jest ścisła, egzekutywa wobec opieszalszych sprawna, wszyscy muszą pracować i kończyć studia w oznaczonym terminie. Tyle, że stypendia są niewystarczające, młodzież musi dorabiać, stąd nowe konflikty i trwogi.

Odwiedziłam rodzinę byłego dozorczy domu na Żoliborzu, gdzie dawniej mieszkałam: kilkoro dzieci, wszyscy w szkołach, dwie starsze córki na Uniwersytecie: chemia i agronomia. — Gdzie by to człowiek dawniej mógł o tym pomyśleć! powiada ojciec — Kształcenie dzieci to było dla państwa!

Ale jest też inna młodzież, mniej liczna, oczywiście, którą zdecydowana postawa wyznaniowa, tradycje domu, patriotyzm albo uraz "odwróconej" krzywdy, czy też wstręt do dwulicowości i oszczerstwa, włączają do szeregów milczącej opozycji. To są samotnicy. Ich bezpartyjność nazwana "brakiem gorliwości społecznej" zamyka im drogę do wyższych uczelni, a co zatem idzie do wszelkiego awansu. Dla takich jedyną ucieczką jest dom rodzinny, jedyne miejsce bezpieczne — skorupa ślimaka. "Największą wartością w moim życiu, powiedziała mi jedna dziewczyna — to dom, póki go mam... Jeżeli już miałyby być koniec, to niech nas zabiorą wszystkich!" A młodsza siostra dodała:

“W razie wojny, nie boję się śmierci, ale rozstania...”. Wśród tej warstwy młodzieży obserwowałam też bardzo młode małżeństwa — nowe komórki względnie bezpieczeństwa, życia prywatnego, indywidualnego.

— Trzeba istotnie wyjątkowych warunków społecznych, żeby młodzi stawali się ślimakami!

Gospodarz pokoju zapukał w umówiony sposób. Przesiedział tę godzinę u sąsiada, aby uprzedzić jego ewentualną wizytę. Pora już była obiadowa, bezpieczniejsza. Przygotował kawę.

— Pamiętacie czym była dla nas kawa za niemieckich czasów? — podjęła Zofia — Źródłem otuchy! Dziś o kawę trudno, nawet w kawiarniach a i kawiarnie, te które pamiętamy sprzed wojny, czy to starowarszawskie w stylu Prusa, dziennikarskie, artystyczne, studenckie, snobistyczne z dyskretną lub huczną orkiestrą, aż do kawiarenek z czasów okupacji, które wyrastały jak grzyby po deszczu, niebezpieczne i uroczne, intymne i konspiracyjne, w których można było aż do ostatnich dni przedpowstańowych wypić dobrą kawę i zjeść, ku oburzeniu Niemców, ciastko z kremem — te warszawskie kawiarnie już nie istnieją, lub dogorywają. Są jadalnie miejskie, lokale bez żadnej indywidualności, gdzie nikomu nie przysługuje stolik (koniec z “wilczym indywidualizmem”!), jedynie *miejsce* przy stoliku, są “bary mleczne”, gdzie goście wypijają szklankę mleka, stojąc. Sama śledziłam dzieje jednego lokalu powojennego przy ulicy Wspólnej, ładnie nazwanego imieniem Canaletta. W 1946 r. w zdruzgotanym jeszcze mieście był to naprawdę wykwinny lokal, z doskonałą kuchnią, sprawną usługą, gdzie chętnie stołowali się cudzoziemcy, w 1949 Canaletto już podupadał — a dziś to zwyczajna garkuchnia! Są jeszcze lokale tajne, z wyszynkiem nielegalnym, przyjmują cię za protekcją, odsuną ścianę z półkami, za którą będą drzwi prowadzące do ciemnego pokoju; w kącie graty domowe, beczka, kołyska, a przy stole goście przy wódce.

Sklepy MHD (Miejski Handel Detaliczny) przezwala ulica warszawska “Mi handlujemy dalej!” Bo antysemityzm kwitnie nadal, chociaż na innym podłożu, ale równie silny. Ogarnął nawet, w pewnej mierze, sfery, które się dawniej przed nim broniły. Bo też niektóre ministerstwa są dosłownie obsadzone wyłącznie przez Żydów, aż dziwnie, że reżim do tego dopuścił! Litwacy sprzed pół wieku byli przyczyną wzrostu antysemityzmu w Kongresówce; wyparci z Rosji stanowili mimo to podporę rządu, szerzyli rusyfikację. Dziś na wielu odcinkach Żydzi sprawują nienawistną władzę. Tych kilkadziesiąt tysięcy pozostałych po rzeziach hitlerowskich i ta garść przybyłych z Rosji — to wystarczyło, aby społeczeństwo wpadło w dawną koleinę: oni, ci obcy winni!

— Ale Warszawa? powiedz, jak dziś wygląda?

— Warszawa jest inna, smutna, szara.

— No ale odbudowa, trasa W—Z, dzielnice robotnicze? Nowy świat, tyle się o tym pisało?

— To prawda. Ale nowa Warszawa nie będzie przypominała dawnej. Będzie to miasto “biurowców”, zrekonstruowanych pałaców, wielkich, koszarowych bloków; miasto pokazowe i sztywne z którego zniknie drobne życie sklepów, warsztatów, księgarnek, ta, tak właściwa dawnej Warszawie, intymność i indywidualizm ulicy. W niektórych odbudowanych fragmentach miasto przypomina dekorację teatralną. Jest w tym jakieś niepowiązanie, nieorganicznosc. Idzie się po Warszawie i trzeba siebie przekonywać, że się idzie po Warszawie!

— Nieraz wśród otaczających gruzów stoją odbudowane stylowe pałace kryte miedzianą blachą. Ich szlachetną architekturę zniekształcały dawniej oficyny i dobudówki lub maskowały stłoczone wokoło ohydne czynszowe kamienice XIX wieku; odtworzono je piękniejsze niż dawniej. Ale dziś, początkowy rozpęd odbudowy, pewna niezależność oraz swoboda planowania architektów zostały znacznie zahamowane. Tu również tępiący jest zajadle i tropiony formalizm, “zgniętego Zachodu”. Obowiązuje użytkowy monumentalizm architektury moskiewskiej, jedynie dozwolone odchylenia to pewne nawiązanie do polskiego renesansu — nic więcej. Jest istotnie kilka ulic całkowicie odbudowanych lub zrekonstruowanych, jak Mariensztat, złożony z poszczególnych dworców z ładnymi ganeczkami. Nowy świat o dwupiętrowych kamieniczkach w stylu stanisławowskim, albo Mazowiecka... Z innych kwartałów wyrastają olbrzymie bloki Domów Towarowych, Prasy, Partii itp, lub gmachy przeznaczone na biura. Na peryferiach rosną dzielnice robotnicze, wszędzie widać rusztowania, Plac Napoleona ujęty w dwa wysokie parkany z desek, za którymi idzie budowa olbrzymich budynków, gmachu poczty ani śladu, podobnie jak pałacu Brühla i gmachów Sztabu Głównego, ale Teatr Wielki jest odbudowany i grają w nim Szekspira... Dzielnica Powiśla i wielkie połacie dzielnicy północno-zachodniej — to nadal pustynia gruzów, tylko osiadłych, spłaszczonych. Warszawa jest odbudowywana, tak. Ale co do innych miast, tych na Ziemiach Zachodnich — to może będą odbudowane, ale za pięćdziesiąt lat.

Wstałam, żeby rozprostować nogi, a także odegnąć mary. Warszawa Mochnickich i Lefewela, Szopena i Norwida, Warszawa powieści Prusa i 20-lecia — czyżby nic z niej nie miało przetrwać? Może obcość tego nowego tworu zdaje się Zofii taka smutna? Czy też jego urzędowość?

Dobrze to określił poeta:

«Najpiękniejsze z urojonych miast i najsmutniejsze z prawdziwych».

— Powiedz nam jeszcze coś o wydawnictwach, książkach, piśmiarach...

— Na 5 nowych pozycji bibliograficznych wypadają mniej więcej cztery tłumaczenia z rosyjskiego — to wiecie! I to nieraz

książek znakomitych uczonych, filozofów klasycznych, historyków. Np. Historia Rzeczypospolitej ujęta pod kątem widzenia marksizmu, lub praca o Rabelais, albo dzieło o Szekspirze pióra znakomitego znawcy tematu — prof. Morozowa i innych wiele. To samo w teatrach, kinach. W domach wydawniczych leżą książki miesiącami, a nawet latami, póki je cenzorzy i sam autor odcedzą, przesieją, wyplewają. Póki komisje je zakwalifikują do druku. Byłam w Warszawie na wieczorze autorskim kilku poetów i prozaików. Wśród publiczności przeważała młodzież. I wiesz, stwierdziłam, że ci chłopcy i dziewczęta zdradzają już refleksy psów Pawłowa... Tamte ślinią się na dzwonek, ci zaś oklaskują z zadziwiającą czujnością i jednomyślnością aluzje polityczne. Rozdwojenie jaźni? Położenie pisarza jest trudne, ale wyjątkowo dochodowe. Jedna z moich znajomych pisarka, powiedziała mi kiedyś: nie należy im dać nawet palca, bo wciągną całego człowieka, dzisiaj już dała palec, wzięli jej rękę — jeszcze się broni! W tej dziedzinie może najwidoczniej odserwujemy wszystkie arkana dzisiejszej "strategii" życiowej w Polsce. Tu idą bezustannie przetargi. Każdy podpis, oświadczenie, protest, udział w tej czy innej manifestacji, jest monetą wymienną, którą nieraz wykupujesz życie lub bezpieczeństwo własne lub czyjeś, ratujesz warsztat pracy itp. To ma też coś z ekwilibrystyki i wymaga ogromnej czujności. Słowa nie mają już w kraju pokrycia, pokrycia przekonań, o tym trzeba pamiętać, stanowią pewnego rodzaju obowiązującą formułę, jak: "moje uszanowanie", albo "całuję rączki". Słowa, a przekonania, słowa a wyznawana prawda — to dwie różne rzeczy.

— Z poetów, Tuwim dorobił się majątku swymi scenicznymi przeróbkami wodewilów i przekładami poetów rosyjskich, ale ludzie reżimowi traktują już wielkiego poetę jako "skamielinę". Gałczyński, do niedawna tak popularny, tak zawsze jeszcze świeży i niespodziany, zdaje się już dziś wykończony, nie tylko alkoholem. Tępią; w nim "burżuazyjną poetykę", dziwaczność, "upodobanie do drobnomieszczańskiej kultury i obyczajowości", wreszcie sławienie *odpoczynku* zamiast apoteozowania *pracy*. Zniszczywszy w nim źródła natchnienia, odrzucają dziś jak kogoś, po którym niewiele już się można spodziewać poza kawalami do "Przekroju".

Broniewskiemu, jako staremu komuniście, więcej wolno od innych. Ponadto wypłaca się odami na cześć Stalina. W pierwszym szeregu trzyma się jeszcze Andrzejewski. W 1938 r. otrzymał państwową nagrodę za powieść katolicką "Ład serca", w 1948 (zdaje się), został ponownie nagrodzony za powieść o Polsce współczesnej pt.: "Popiół i diament" (diament — komunizm). Człowiek z talentem, ambitny, czujny, bez kręgosłupa, który dziś pilnie i starannie jako członek Partii i pisarz-marksiasta stawia wolnego i zawsze radosnego człowieka sowieckiego, dowodzi konieczności tępienia wrogów klasowych, czyli "tych którzy są przeciw człowiekowi".

U szczytu stoi dziś Ważyk, o bardzo mocnej pozycji teoretyka

marksisty. Drugi to Putrament, który się wyrabia na polskiego Fadiejewa, "stróża pisarzy", reprezentacyjnego prozaika reżimu, zaprawiającego innych w arkana soc-realizmu oraz w demaskowanie takich zjawisk jak formalizm, kosmopolityzm i wszelkie przejawy metafizyki w świadomości twórców i krytyków...

— Ale nawet ci ze starszych pisarzy jak Maria Dąbrowska, Jan Parandowski i in., stojący zdecydowanie "na boku", mają dotychczas dobre warunki, mimo, że nie drukują nowych rzeczy, mogą wznawiać dawne. Młodszych obowiązują zamówienia społeczne, traktujące o pracy na różnych jej odcinkach, postępie, walce klas, cudach sowieckich itd. Wią się też jak piskorz, wyjeżdżają w teren, pomstują, odprowadzają samokrytyki. Piszą, poprawiają — rzadziej wydają. Jeden z takich mówi mi: gdyby mi kazano jutro skroić frak dla prezydenta Bieruta, bynajmniej bym się nie stropił, ale zabrał do krojenia.

A jak się dziś pisze artykuły to naprawdę ciekawe (wiadomość mam z pierwszej ręki)! Daje się więc wyraz swojej opinii na temat np. ekonomiczny, społeczny czy artystyczny, a następnie, podobnie jak tort cukruje i obrzuca migdałami czy rodzynkami tak się też zdobi dany elaborat, wstawiając tu i ówdzie zdanie jak "wedle nieprześcignionych wzorów, jakie nam dostarcza Związek Radziecki", lub "za przykładem ZSSR", albo "korzystając z doświadczeń i zwycięskiego tempa Sow. Republiki" itd., itd. A zaopatrzwszy skrypt w przepisowy "chapeau" i odpowiednio wiernopoddające zakończenie oddaje się dopiero do redakcji.

— Pytacie o świadomych komunistów? Tych można by podzielić na marksistów teoretyków, filozofów, którzy wyznają marksizm ze wszystkimi jego konsekwencjami, wierzą weń i służą mu, oraz takich, którzy przyjęli tę konstrukcję myślową i jej się podporządkowali: przyjęli system, niby jakiś strój, który wymaga odpowiedniej postawy, ale jutro mogą strój i postawę zmienić, jak je zmienili wczoraj... Druga grupa komunistów to realisci, którzy twierdzą, że dziś nie ma wyboru, że komunizm ogarnie cały świat, że nie będąc komunistą, stajesz poza nawiasem historii...

Dzieci, zwłaszcza te, które nie mają odtrutki w domu przyjmują katechizm marksistowski jak przyjmowały zasady religii, bezkrytycznie i kornie.

Podobno pisma katolickie, otrzymują listy od czytelników prosiących redakcje o jakąś doktrynę, która by połączyła Marksa z Chrystusem...

— Ale kto jest *za*, a kto *przeciw*?

— Powiadano mi, że w sferach robotniczych stosunek jest mniej więcej pół na pół z przewagą niechętnych, ale że na wsi jest znacznie gorzej dla reżimu, tzn., że reżim może sobie tam liczyć najwyżej 10 % stronników.

Jeden z moich znajomych wyjechał z odczytami na wieś i trafił do wsi gdzie go znali sprzed wojny. "Co nam, panie, ro-

bić, pytali go chłopci z rozbrajającym zaufaniem, bo pan to był panem i jest panem i zawsze się pan urządzi... Ale nam chłopom co robić? Bo tak żyć przecie nie sposób!"

— Rewolucja w Polsce przyszła z zewnątrz, nie urodziła się z "gniewu ludu", stąd nawet nienawiść do ziemian-obszarników nie była w ogromnej większości wypadków samorzutna i nie doprowadziła też do żadnych znaczących ekscesów, a cóż dopiero mówić o forsowanej dziś nienawiści do wzbogaconych chłopów, do kułaków? Taki na przykład małorolny, czy bezrolny co dostał przydział 10 ha na Ziemiach Zachodnich i dorobił się twardą, drapieżną chłopską pracą dwóch krów i konia w 5 lat — to dziś "wróg biedniaka", "pijawka", "szkodnik kułacki".

— Chłop jeden mówił mi: "Miałem w Polsce Centralnej 1½ ha, oddałem za 10 dobrej ziemi, którą mi dano tutaj. Pracowałem, ja, kobieta, dzieci... Kto straszył kolchozami szedł do więzienia: szkodnik! Nie będzie kolchozów w Polsce!.. A teraz włączyli moją ziemię do kolektywu, nie mam nic. Ani nawet tego 1½ ha... Jestem parobkiem, pod rozkazami!". Kolektywy dla chłopów to nowa pańszczyzna. Nie może tak być, powtarzają, nie może się wrócić stara krzywda!

— Parobek! A dawny kolega z Uniwerku, miły, tęgi chłopak, przygodnie spotkany na ulicy w Gdyni, dowiedziawszy się dokąd jadę, pokiwał tylko głową. "No tak, powiedział, — a my tu jesteśmy niewolnicy, nic więcej jak niewolnicy...". Tramwaj nadjechał. "Na mnie czas — dodał — Żegnaj, Zofio!"

— Ludzie są tam istotnie potwornie przepracowani, zaorani i to chyba też jest jeden z elementów atmosfery przygębienia tamtych krajów; bo poza godzinami normalnej pracy, która zaczyna się o różnych porach dla odciążenia środków transportowych i trwa do późnego wieczora, są obowiązujące "nadliczówki", i obowiązujące zebranie dyskusyjno-propagandowe, i politycznie doksztalające kursa, obowiązujące należenie do Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej itd.

— Samo już stanie w ogonkach jest ciężkim problemem. A po wszystko stać przecie trzeba: osobno po towar i osobno do kasy, i na poczęcie z listem zagranicznym, i w Ubezpieczalni, i w aptece, i po węgiel, i po bilet do kina... Coraz więcej też widać na ulicach Warszawy "fufajek", watowanych spodni i uszatyh czapek, sowiecki strój narodowy (bardzo zresztą praktyczny i wyrabiany już w Polsce)! Przeciążenie środków transportowych coraz bardziej przypomina też Rosję jak również wygląd nabitych szarą publicznością poczekalni dworcowych, zwłaszcza stacje na prowincji, ich głośniki, portrety Stalina, brudne bufetowe...

— A jednak ludzie co byli ostatnio w Rosji, co wrócili z Moskwy, mówią, że tam cięższa jeszcze atmosfera... że w Polsce można odetchnąć..

— Na Kongres Pokoju to Warszawa została poddana specjalnemu "maquillage", poza zwykłą dekoracyjną czerwienią wielkich "galówek" Sklepy wypełniono towarami, a uliczne portre-

towe plakaty odmieniono. Zwijano zwłaszcza portrety Wszechwładcy, a wieszano podobizny głównych *vedettes* Kongresu jak Joliot-Curie np. Dziwiły się kumoszki: "A to co takiego? Jego ściągają?...". Milicjanci odpowiadali: "Teraz Joliot-Curie (wym. po polsku) ważniejszy!"

O Stalinie lud mówi na ogół *On*, jak chłopci mówią o *Szatanie On* albo *Zły*, żeby nie wymówić imienia.

— A ty za to znizasz głos kiedy jego wspominasz!

— Zauważyłaś? No tak, to nabyte, tam!

Jest w ludziach tęsknota, czy też potrzeba metafizyki, Dlaczego? Nie wiadomo! — przyznają to sami racjonalisci. A Jules Monnerot nazywa to "głodem zwierzęcia religijnego, jakim jest człowiek". Czy wiecie, że jest dziś w Rosji wyraźna tendencja dorabiania kultu religijnego do marksizmu? Miejsce urodzenia Stalina w Gruzji jest otoczone czcią na podobieństwo Betlejem a od niedawna do kultu Władcy dołączono nabożeństwo dla jego matki... A jednak, podobno, nawet tam, w Moskwie jest wielu ludzi, którzy mówią... (Zofia zniżyła głos do szeptu), że Stalin jest katem Rosji... Co zresztą niczego w niczym nie zmienia...

— U nas marksści usiłują na wszystkie sposoby naśladować formy katolickich praktyk religijnych. Już w przedszkolu zwięży "katechizm" oraz kult Wszechmocnego, wyznanie wiary, nadziei, miłości (z dodatkiem nienawiści dla wrogów klasowych), potem rachunek sumienia (publiczna samokrytyka), w razie przewinienia szczerą spowiedź w urzędach U.B., wyznanie grzechów swoich (a także i cudzych), następnie zadośćuczynienie; nabożeństwa w postaci obchodów, procesyj z obrazami, kult bohaterów Rewolucji, zamiast kultu świętych; powtarzanie pewnych formuł wiary — oto praktyki, które stopniowo kształtują wyobraźnię, wiążą społeczność "wyznawców", wywierają wpływ omal magiczny.

— Jeden z darów Ducha świętego udzielanych w sakramencie Bierzmowania to Bojaźń Boża. Ludzie w Polsce żyją w bojaźni U.B. czyli "Bezpieki". Jeden z moich znajomych, inwigilowany przez szereg miesięcy wybuchał wreszcie: "Czego chcecie? — krzyknął na gorliwych "Ubeków", którzy go nawiedzali dniami i nocą, — Przecież wszystko już o mnie wiecie, o co wam do cholery, chodzi?"

— Musimy wiedzieć wszystko — odparli — co się po domach dzieje, o każdej porze, od piwnic aż do poddasza..."

Na 70-te i 71-sze urodziny Stalina, które wypadają kilka dni przed Bożym Narodzeniem transparent z jego podobizną rozpięty pomiędzy dwoma balonami wznosił się na tle gwiazdzistego nieba nad Kremlem w sнопach reflektorów. Car uważał się za Namiestnika Bożego na ziemi, czyżby Stalin zamierzał sam własną osobą nasycić głód religijny człowieka? Jeszcze parę lat temu nie było zupełnie w Polsce portretów Stalina, dziś są już wszędzie..."

Zaczęłyśmy się żegnać.

Maria STRZAŁKOWSKA

Sprawy i troski

W Buenos-Aires

Ameryka południowa obchodzi w tym roku niezwykle uroczyście setną rocznicę śmierci bohatera walk o niepodległość swego kontynentu. Przed pomnikiem konnym Gral Don José de San Martín defilują i składają kwiaty zarówno w Buenos-Aires, jak w Santiago de Chili, w Limie jak w Caracas. W Buenos-Aires portrety jego wiszą ramię w ramię z afiszami Perona, podpis mówi: — "Ambos ofianzaron nuestra independencia: Uno, la política; el otro, la económica". (Obaj umocnili naszą niepodległość: jeden politycznie, drugi ekonomicznie).

Mniej więcej jedna czwarta całej ludności Argentyny zamieszkuje kapital z jego rozległymi prowincjami, laik zwykły określać tę przestrzeń ogólną nazwą Buenos-Aires. Kapital, to pięciobok zawarty pomiędzy autostradą odcinającą aż trzy boki, zwaną avenida Gral Paz i bagnistym kanałem Riachuelo; piątym ramieniem, zamykającym granicę kapitalu jest ujście rzeki La Plata. Kapital zajmuje znikomą zaledwie część powierzchni Buenos-Aires. Jest to nowoczesne, wielojęzyczne miasto, gdzie reklamy firm amerykańskich starają się zadławić angielskie, a niemieckie, zdusić francuskie i włoskie. Na Floridzie, tutejszej Bond street, ruch kołowy jest w ogóle zakazany. Środkiem jezdni postukuje obcasami tłum elegancki, snobistyczny, wyniosły. Tu się mieści filia londyńskiego Harrods'a, tutaj się gnieźdzą prywatne galerie i antykwarnie, a w witrynach znać rękę artysty-dekoratora. Buenos-Aires jest najbardziej europejskim z miast południowo-amerykańskiego kontynentu. W kioskach można dostać pisma z całego świata, luksusowe Buicki ocierają się o siebie błotnikami, po ulicach chodzą kobiety jakby żywcem wycięte z "Vogue patternbook", a jednocześnie... "gaucho" krótkim galopem przemierza ulice prowincji, a o 45 minut stąd zaczynają się strusie.

Z Polaków tylko drobny procent uprzywilejowanych pozostaje w kapitalu, reszta wywędrowała w głąb prowincji. A że

Polacy lubią chodzić stadami, niektóre prowincje znalazły się pod niemal już całkowitą okupacją żołnierzy 2-go Korpusu. Domy rosną jak grzyby, ceny budulca skaczą w górę, Polacy gardzą "yerba-mate" za to nauczyli się już piec "asado", prządzać "pucheros" (duszone mięso z jarzynami, nierzadko z dodatkiem brzoskwiń) i "empanados" (rodzaj pieroga nadziewanego mięsem, rodzynkami i jajkiem na twardo). Za to mniej chętnie zachodzą do "pizzeria", od których całe miasto zalatuje czosnkiem. Mimo, że tłum na ulicy mówi wszystkimi językami świata, "estranjero" budzi wciąż jeszcze podziw i szacunek. Jeśli chce się otrzymać dokładniejszą informację najlepiej udać, że się nie zna języka. Słuchacz kursów Instytutu Hiszpańskiego przy Eaton Square może jednak przeżyć szok — po prostu nikt go tu nie zrozumie. Podwójne "ll" i "y" wymawia się jak "ż".

Każdy chyba malarz zrywa się tutaj o świcie, żeby nie przegapić wschodu słońca. Wschody są intensywnie różowe, różowieją od nich domy, bielizna na sznurze, gołębie. Pianie koguta o świcie okazało się legendą, koguty pieją przez całą noc, rechoczą żaby, cykają świerszcze. Gwiazd i świętojańskich robaczków jest o wiele więcej niż w Europie.

Jedna po drugiej zaczynają ryczeć fabryki. Amerykańskie "Ducilo", angielska "Alpargatas", włoska "Bernaletta". Drzwi się otwierają i od patio idzie echo kroków. Argentyńczycy widać marzną wyłącznie w okolicach szyi: wychodzą w chłodny ranek bez płaszczy, za to zamotani aż po brodę w ogromne szale. Z sąsiednich domków idą przez patio Polacy w drelichowych spodniach i korpuśniackich beretach. Z żelaznego mostu nad torami widać wody tłustej i leniwej rzeki La Plata, która w niczym się nie różni od morza. Poziom jej wydaje się wyższy od otaczających brzegów. Na horyzoncie wolno sunie okręt zwożący następnych emigrantów.

Zbudujemy domek mały...

Prowincje ciągną się setkami kilometrów. Dojeżdża się do nich pociągami podmiejskimi i dalekobieżnymi, autobusami zwanymi "colectivos", a kiedy już wszystkie środki lokomocji zawiodą idzie się przez tory kolejowe i bagniste łąki, pilnie bacząc żeby noga nie rozstała się z butem. Jeżeli na horyzoncie zamajaczą w końcu stopy cegieł i rusztowania, to znaczy, że się trafiło: tam, gdzie się coś buduje, mieszkają niedawni przybysze. A jeśli budują przy tym własnymi rękami w jedyny wolny dzień — niedzielę, na pewno są to rodacy. Jest coś głęboko wzruszającego w tej zawziętości, cierpliwości, uporze, z jakim Polacy urządzają się od nowa "na swoim". Najpierw kupuje się działkę na spłaty. Potem zwozi materiał. Aż wreszcie zamajaczą w końcu stopy cegieł i rusztowania, to znaczy albo dwaj koledzy jeszcze z II. Korpusu, a teraz z tej samej fabryki i — do dzieła. Czasem, podczas kilkudniowego huraganu

zwanego tutaj tormenta, zwali się jakaś ściana, czasem filar podtrzymujący występ muru nad patio dziwnie przypomina starą znajomą z Pizy. Ale nic to. Domek rośnie.

Pęd do budowania powstał także i stąd, że w Argentynie, tak jak i w Anglii, czy jeszcze gdzie indziej, istnieje głód mieszkaniowy, a więc ceny są wściekle wyśrubowane. Wobec tego wynajmując mieszkanie topi się w nim właściwie gros zarobków bez żadnej nadziei na przyszłość. Stąd chęć do mieszkania na swoim. Ale to wymaga ciężkich ofiar. Robotnik jest drogi, ciężko go dostać, trzeba na wszystko czekać. Wobec tego wznosi się powolutku, samemu, swój "niedzielny" domek. Trwa to czasem dwa lata, a czasami mniej. Wszystko zależy od własnej przedsiębiorczości, od heroizmu żony, od tego, jakich się ma kolegów.

Póki działkę się tylko spłaca i rzadko do niej zagląda, nie istnieją problemy. Dopiero kiedy zwiezie się materiał, powstaje pytanie: kto tego będzie pilnował? Przez cały tydzień pracuje się w fabryce, ludzie nie święci, a budulec rzecz łakoma. Wobec tego kleci się z desek szope, a w szopie zasiada żona. Nie trzeba tego sobie zbyt romantycznie wyobrażać. Jasnowłosa żona — źródło zawiści kruczowłosych Argentynek nie musi zaraz wyglądać jakby żywcem przeniesiona z amerykańskiej rewii pt. "Annie get your gun", tj. kraciasta bluza, kowbojskie spodnie i kapelusz, wysokie buty, pas z ładownicą i rewolwer. Polska Ania powinna natomiast mieć gruby sweter i wełniane skarpety, parę sportowych butów, deszczowiec i przywiezione przezornie z Anglii Wellingtony. Inaczej zmarznie, przemoknie i utonie w błocie. Nie jest bowiem zabawnie marznąć samotnie, całymi dniami w ciemnej szopie, kiedy deszcz wciska się przez szpary, prymusy kopcą, wybuchają i gasną, błotnista woda przecieka przez próg do wnętrza, a mąż zmęczony i głodny wraca z nadzieją ciepła domowego i doskonałej kolacji. Ale...

Jeżeli żona jest harda, ma poczucie humoru i jeszcze nie ma dziecka, to się wygrało los na loterii. I któregoś uśmiechniętego, wiosennego dnia będzie można wreszcie odetchnąć, po czym posiać maciejkę pod własnymi oknami.

Z naszego brzegu

W Argentynie spotkały się dwie emigracje. Stara i nowa. Nowa dopiero usiłuje zapaść korzenie.

Masowe transporty urwały się mniej więcej półtora roku temu. Pokrywa się to oczywiście z zakończeniem demobilizacji na terenie angielskim, oraz ze zmianą przepisów imigracyjnych. W sierpniu 1950 było nas wszystkiego zaledwie siedmioro na jednym z większych pasażerów kursujących pomiędzy Anglią i Argentyną. Wiza każdego z nas to suma wielomiesięcznych starań i sporych kosztów ludzi, przybyłych wcześniej. Każdego z nas łączył z "Argentyńczykiem" najbliższy stopień pokrewieństwa. Tak

więc były to żony, matki i dzieci Polaków przybyłych tu o 2 lata wcześniej.

Wobec odcięcia dalszego napływu można uważać nową emigracją za rzecz zamkniętą w sobie, a więc określoną całość.

Nowa emigracja to w dużym odsetku żołnierze i oficerowie II Korpusu. Jest to więc emigracja o wyraźnie wojskowych tradycjach, kontynuacja Italii, nie Londynu. Jeśli się widziało dwa lata temu w którymś z angielskich obozów demobilizacyjnych większą partię czekających na transport, a teraz spotyka się tych samych ludzi tutaj, uderza zmiana, która w nich zaszła. Wydaje się, jakby nagle załamało się trzymające ich dotychczas napięcie nerwowe, są zgaszeni i osowiali. Czy w Argentynie jest aż tak źle? Nie, gorzej, jest beznadziejnie monotoniem. Jeśli się przy nich roześmiać, popatrzą z niechętnym zdziwieniem: — czego? Tematem rozmów są ceny. — Macie nową firankę, ile płaciliście za metr? A co kosztuje ten stolik, garnek, popielniczka? W krajach o uregulowanych cenach temat, ten jest nieaktualny, tutaj ceny skaczą z tygodnia na tydzień w zawrotnym tempie, a do kupienia pozostało jeszcze tyle. Są więc zgaszeni, "wyszeptani" i mówią, mówią o pieniądzach. — Czy warto hodować kury? — Nie, nie warto? — A sklecić półkę samemu". — Można spróbować.

Patrząc na nich przypomina się chaplinowska parodia "Dziśszych czasów". Przesuwają się przez cały dzień taśmy i jeden zmechanizowany ruch. Powrót do domu w tych warunkach jest także tylko dalszym ciągiem zmechanizowanych czynności. Budzik o 6-ej rano, przepełniony kolektyw, fabryka, przepełniony kolektyw, kolacja, gazeta, łóżko. I znów budzik, przepełniony kolektyw, fabryka, przepełniony kolektyw... No, ale dawniej też tak czasem bywało? Tak, ale wtedy było się u siebie, były projekty na przyszłość, plany na najbliższą niedzielę, sprawy rodzinne, pasjonujące plotki, ciekawa gazeta. Teraz nudne jest radio i nudna cała ta niedziela. Ile to razy w życiu można udawać entuzjazm, roztasowywać się od nowa i wierzyć, że jest bardzo zabawnie? Jak kogoś wyrwano z korzeniami z ziemi, to może spróbować raz się przyjąć na nowym miejscu, może po raz drugi, ale czyż może wreszcie po raz dziesiąty?

A teraz: czy łatwo sprecyzować różnice między starą emigracją a nową? Myślę, że tak. Przede wszystkim rzecz najprostsza: tamta jest zamożna, ta jest przeważnie uboga jak mysz kościelna. Ale to młoda wykazuje więcej rozmachu od starej. Stara jest zamożna, a jednak zlekceważyła swój wspólny, polski dom i puściła go na licytację. Młoda, mimo biedy i wyczerpania, zdobyła się już na nowy i to niebylejaki, i spłaca go z podziwu godnym wysiłkiem.

Może fakt, iż tak ciężko to przychodzi, uchroni nowy dom od przesiąknięcia atmosferą, w której pławi się londyński klub Białego Orła.

Młoda ma swoją Macierz Szkolną, swój tygodnik i bibliotekę, założyła chór im. Fryderyka Szopena. Chór ten swymi tradycjami sięga Warszawskiej Filharmonii z jej reprezentacyjną "Harfą". Z bardzo odległych stron, dwa razy na tydzień, zjeżdżają się członkowie chóru na próby. A potem, kiedy w niedzielę otworzy się radio w jakiejś Kordobie, czy innej Santa Fé, odzywa się głos popularnego solisty Dolka Fiedorowicza: "Tylko tam..."

Starą i nową emigrację dzieli także różnica zainteresowań. Mimo gorącego patriotyzmu tamta utraciła poczucie rzeczywistości kraju. Hen, daleko, za siedmiu górami... Dla nas — sięgnijmy po przykłady. Dziś "obrero" (robotnik) w "Alpargatas", a przedwcześniej jeszcze architekt, zaprenumerował sobie warszawską "Stolicę". Tekst go mniej obchodzi, pasjonują go zdjęcia. Jeśli by go w nocy obudzić i zainicjować egzamin, pewna jestem, że bez zająknięcia powtórzy wszystkie stadia linii W—Z, i jak ślepiec sunąc po omacku od dzielnicy do dzielnicy wydobędzie przecież z mroków pamięci dawny obraz, uzupełni go siecią zniszczeń, aby w końcu wyrecytować dumne fakty odbudowy.

Dawny przybysz interesuje się wznoszącą się dokoła niego rzeczywistością, na pewno wie, czy na siódmej od niego eskinie zaczęto już kłaść dach na czymś nowopowstającym szalecie, ale nowy przybysz, przez roztargnienie, gotów tego wcale nie zauważyć. Patrzy na otaczający go świat, jak podróżny z okna wagonu. Widzi mijane domy i drzewa, ale nie notuje ich w pamięci. Bo on, jak lunatyk, idzie wciąż jeszcze za tamą. Jak w tej powojennej sztuce Szaniawskiego: — "Odejdiesz znów i znów przywoła cię tęsknota. Z nowego, naszego już brzegu, będziesz patrzył, jak wyrasta ku górze miasto najdroższe, miasto ukochane, a ponad dachami jeszcze wyżej wyrastają wieże, coraz smuklejsze, coraz doskonalsze, aż zatrzymane w najwyższej ekstazie patrzeć będą znowu długie lata w niebo, chwytając wieczny niepokój piorunów i wielki spokój cichych mlecznych dróg".

I teraz najciekawszy, psychologiczny kontrast. Dawna emigracja zamawia u nowej akademii, audycje radiowe, koncerty. Wynajmuje sale, za wszystko chętnie zapłaci. Wzamian żąda rzeczy zdawałoby się prostej: patriotyzmu. Musi być patos, recytacje wieszczów, musi być krew, i biało-czerwona. A nowy przybysz aż się kurczy. Unika wielkich słów. Drażni go patos. To tak jakby mówić przy obcych o niedawno zmarłej matce. Ale dla tamtych matka umarła dawno. Więc gorliwi i kochający omawiają warunki zbudowania dla niej wspaniałego pomnika.

— "Co się w duszy komu gra,
co kto w swoich widzi snach..."

J. KARBOWSKA

Kronika emigracyjna

KRONIKA ANGIELSKA

"Plan i system"

"Orzeł Biały" w artykule redakcyjnym pod powyższym tytułem powtarza znane tezy i karci "ludzi małodusznych i pozbawionych wyobraźni" — tj. tych wszystkich, którzy bywają czasem odmiennego zdania niż redaktor "Orła". Nawiasem warto zaznaczyć, że wyobraźnia polityczna (czy jakakolwiek inna), nigdy nie była mocną stroną "Orla Białego". Pismo to posiada wszystkie inne zalety prócz tej jednej.

Lecz nie o to chodzi. "Plan i System" proklamowany przez "O. B." choć — jak wolno sądzić — stanowi m. in. i krytykę też wysuniętych w artykule londyńskiego korespondenta "Kultury" ("List z Wyspy" — Kultura 40/41) nie daje odpowiedzi na pytanie: czy w wypadku jeżeli nasz rząd nie będzie w ogóle uznany przez mocarstwa zachodnie winniśmy mimo to odbudowywać polskie siły zbrojne — czy nie?

"Plan i System", który ignoruje pytania nasuwające się każdemu myślącemu emigrantowi — nie jest w ogóle ani planem ani systemem.

Można sobie wyobrazić i taką sytuację, że rząd polski, choć nie uznawany przez obcych, w danym momencie dojdzie do wniosku, iż jest wskazane i politycznie celowe odtworzenie na Zachodzie Armii Polskiej. Ta Armia uznawać będzie rząd za legalny nawet i wówczas, gdy rząd ten nie będzie uznawany przez obcych. Już mamy za sobą i takie doświadczenia. W ten sposób postulatowi przysięgi, którą porusza "O. B." stało by się zadość. Nie jest to sytuacja idealna ani łatwa, ale może się zdarzyć, że nie będziemy mieli innego wyboru. Ponieważ, niestety, nie można wykluczyć, że sytuacja rozwinię się właśnie tak jak wyżej wspomniano, chcielibyśmy wiedzieć co "Plan i System" przewiduje w takim wypadku?

Następca Prezydenta

Mamy do zanotowania jeszcze jeden rozłam. Stronnictwa Rady Politycznej opublikowały swoje negatywne odpowiedzi na pismo Gen. Odzierzyńskiego w sprawie kandydatur na następcę Prezydenta R. P.

Nie ma zgody co do osoby obecnego Prezydenta — nie ma zgody w sprawie jego uprawnień — nie ma zgody w sprawie jego następcy. Widowisko istotnie budujące!

Nie ma również zgody w samej Radzie Politycznej. PPS uważa bowiem, że od dnia 7 sierpnia 1944 roku p. prezes Tomasz Arciszewski jest prawomocnie wyznaczonym następcą Prezydenta. Stojąc na tym stanowisku PPS inicjatywę Gen. Odzierzyńskiego uważa za bezprzedmiotową. Stronnictwo Narodowe i NiD nie zgadzają się z PPS w sprawie następcy Prezydenta, ale na list Gen. Odzierzyńskiego odpowiedziały odmownie a w sierpniu ub. r. poparły zgodnie żądanie PPS natychmiastowego ustąpienia Prezydenta Zaleskiego.

Sprawa powyższa może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Jeżeli Prezydent, nie mogąc porozumieć się co do osoby swojego następcy ze stronnictwami opozycyjnymi, zamianuje następcę tylko w porozumieniu z przywódcami ugrupowań popierających rząd — jest rzeczą pewną, że Rada Polityczna takiej nominacji nie uzna.

Prez. Zaleski za kilkanaście miesięcy kończy 70 lat i zdecydowany jest wówczas złożyć swój mandat. Gdyby po nim objął urządowanie następcą wyznaczony bez zgody Rady Politycznej — trzy stronnictwa

opozycyjne nie uznałyby nowego prezydenta. Byłby to niezmiernie poważny cios dla legalizmu.

W permanentnym przesileniu: Rząd versus Rada Polityczna, zbliżamy się do momentu, kiedy podjęcie wysiłków w celu znalezienia jakiegoś "modus vivendi" staje się palącą koniecznością. Mogą bowiem zapaść decyzje nieodwracalne.

Nie doczekamy się uznania legalnego rządu polskiego przez obcych jeżeli jego legalizm wpierv pogrzebiemy własnymi rękami.

Wolność intelektualna

Zygmunt Nowakowski i Maria Kuncewiczowa wymienili na łamach londyńskiego "Dziennika Polskiego" serię polemicznych listów w sprawie tzw. "International Pen Club Committee for Writers in Exile".

W prasie londyńskiej ukazała się wiadomość, że w Nowym Jorku z inicjatywy kilku pisarzy (Koestler, Silone) zapoczątkowano "Fund for Intellectual Freedom" — fundusz niesienia pomocy pisarzom-emigrantom z krajów opanowanych przez Rosję. W Londynie — w znacznej mierze dzięki staraniom p. Marii Kuncewiczowej, powstał również "International Committee for Writers in Exile".

Na marginesie tej sprawy zrozumiałego rezonansu nabral artykuł jaki w dn. 12 stycznia br. ukazał się w "The Times Literary Supplement". Autor pochwała inicjatywę lecz równocześnie dopatruje się niebezpieczeństw z akcją tą związanych. Gdyby autorzy-uchodźcy — wdycha autor artykułu — zdobyli się na niemal nadludzką wstrzeźliwość i poprzestali na pisaniu czystych dzieł sztuki — wszystko byłoby dobrze. "Gdyby wszakże poddali się b. ludzkiej skłonności szukania odwetu na swych byłych ciemiężcach i chcieli dodawać nowe pozycje do strumienia już istniejących książek w rodzaju "I choose Freedom" (Wybrałem Wolność) — to nie tylko dary dla nich przestaną napływać ale powstanie prawdziwe niebezpieczeństwo, że pożyteczne zamierzenie utonie w polemikach, które są dziś niemal automatyczne, gdy Wschód i Zachód rozrachowują się na temat swoich spraw wewnętrznych".

P. Zygmunt Nowakowski wyżej zacytowaną wypowiedź uznał za "podszewkę" całej akcji a artykuł w "Times Literary Supplement" za interpretację "angielskich sfer literackich".

Pragnąc wyjaśnić sprawę u źródeł zwróciłem się listownie do p. Marii Kuncewicz z zapytaniem czy istotnie przynależność do Komitetu Pen-Clubów "For Writers in Exile" ogranicza swobodę pisarską członka pod sankcją cofnięcia pomocy.

Pani Kuncewiczowa zaprzecza jakoby pisarze byli w czymkolwiek krępowani a artykuł w "Times Literary Supplement" określa jako prywatny sąd redaktora pisma o całej sprawie. Poinformowała mnie również, że z powodu trudności wydawniczych przyjmowani będą i ci pisarze, którzy wylegitymują się dziełami w rękopisach a nie tylko książkami ogłoszonymi w druku jak dawniej wymagano.

W Anglii istnieje wolność prasy i redaktor "Times Literary Supplement" posiada zupełną swobodę w ocenie zarówno tej inicjatywy jak i każdej innej. Ale właśnie dlatego, że w tym kraju istnieje wolność prasy poglądy redaktora są zazwyczaj odzwierciedleniem zapatrywań pewnego odłamu opinii. Z definitywnymi wnioskami należy odczekać do chwili, gdy wiadome będzie jak w praktyce wygląda pomoc udzielana pisarzom emigrantom i w jakim stopniu poglądy "Times L. Sup." są podzielone przez Pen-Clubowe angielskie sfery literackie.

Powiedzenia i opinie

Czołowy tygodnik angielski "The Observer" drukuje w każdym numerze tzw. "Sayings of the Week" — powiedzenia tygodnia.

Wprowadzamy analogiczną rubrykę w "Kronice Emigracyjnej" w

której będziemy drukować charakterystyczne powiedzenia zaczerpnięte z polskiej prasy wolnościowej w danym okresie sprawozdawczym.

„Jako doktryner byłem bezpłodny jak muł”.

Stanisław Mackiewicz, "Wiadomości", Nr 9 (257).

„Rewolucja rosyjska zaczęła się od hasła: „dajcie gramotnyje”. W Stanach Zjednoczonych nikt tego hasła nie rzucił, jednak podobne podejście do sprawy stało się jednym z najpoważniejszych powodów, gruntujących istniejący porządek społeczny”.

i. j. sz-cz., "Polak", Nr 9 (124).

„O północy na stacjach kolejki (podziemnej) fermentuje miłość, słychać nieomal zgiełk wzburzonych drobin krwi i matowy brzęk całusów”.

Andrzej Zubrzycki, "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", Nr 56.

„Taki piękny cel jak wstrzymywanie młodzieży od wynaradawiania, subsydiowanie «Światopu» itp., jest wydawaniem świętym i słusznym, ale przeciw koniunkturze”.

Melchior Wańkowicz, "Kultura", Nr 40/41.

LONDYŃCZYK.

KRONIKA NIEMIECKA

Jedność.

Prasa polska w Niemczech rozplywa się w zachwytach nad decyzją powołania do życia na naszym terenie jednolitej organizacji polskiej, która zapadła na zebraniu przedstawicieli różnych kierunków, odbytym w Augsburgu pod auspicjami Z.P.U.W.

Podstawą organizacji polskiej mają być "ogniska" tworzone w poszczególnych ośrodkach polskich. Delegaci ognisk powoływani mają z kolei władze krajowe.

Wypadało by się i nam cieszyć, jako że parę słów napisaliśmy o skutkach rozbitcia organizacyjnego Polaków na terenie Niemiec. A jednak zamiast przedwcześnie wyrażać radość wolimy ostrożnie poczekać. Coś się nam wydaje, że cała jedność augsburska jest posunięciem taktycznym obu stron, — że uspioło opinię publiczną bez istotnego zamiaru zmienienia czegokolwiek w dotychczasowym systemie organizacji życia polskiego w Niemczech.

Jestem niedowiarkiem i sceptykiem. Chwilami zadaję sobie pytanie, czy przypadkiem rozbitcie polityczne na emigracji nie jest wynikiem cichego porozumienia. Rzecz polega na tym, że przy istnieniu rozległego frontu jedności narodowej istnieje niewielka możliwość utrzymania pewnych spraw w mroku, a innych w półmroku.

Gdy się natomiast uchodźstwo podzieli na odpowiednio wielką ilość grup i grupek wówczas każda z nich będzie mogła gospodarować na swoim folwarku według swojej fantazji i z zachowaniem koniecznej poufności. Ten stan rzeczy właściwie wszystkim znakomicie odpowiada, ale jakoś trzeba go uzasadnić na zewnątrz. Wobec tego dla przyzwyczajenia trzeba trochę nawymyślać na swoich przeciwników partyjnopolitycznych, tudzież trzeba od nich wysłuchać porcję wymyślenia,

po czym naturalnie można spotkać się w zgodzie, harmonii i różowym nastroju w odpowiednim lokalu.

Czy i w jakim stopniu postępować będzie organizacja Polaków w Niemczech według zasad ustalonych w Augsburgu — zobaczymy.

Szkoła polska.

Zagadnienie nauczania w języku polskim przedstawia się tak, jak zostało rozwiązane przez władze krajowe niemieckie wzgl. przez IRO.

Długoletniemu kierownikowi szkolnictwa w Niemczech Dr S. Zimmerowi, który opuścił teren Niemiec, należy oddać sprawiedliwość, iż potrafił zapewnić nauczanie po polsku w dwóch krajach strefy brytyjskiej tj. w Północnej Nadrenii-Westfalii i w Dolnej Saksonii. Nie wiem czyja to zasługa, ale zapewne Dr Zimmer musiał w tej sprawie sporo zdziałać.

Natomiast niestety trzeba stwierdzić, że w ciągu 5-cioletniego urzędowania bawił on tylko 2 czy 3 razy na terenie strefy amerykańskiej, na którym w dziedzinie szkolnictwa ciągle powstawały kryzysy natury rzeczowej lub personalnej i na którym nigdy skutecznie nie kontrolowano pracy nauczycielstwa, co doprowadziło do tego, że ideowy element pracował wzorowo, ale równocześnie było niestety trochę nauczycieli całkowicie lekceważących sobie swoje obowiązki bez najmniejszych ujemnych następstw dla siebie. Obecnie na terenie nieszczęśliwej strefy amerykańskiej utrzymanie nauczania w języku polskim następuje z wielkimi trudnościami. Rząd bawarski przynajmniej ma możliwość nauczania po polsku w szkołach publicznych ale niestety z naszej strony sprawa nie jest ani odpowiednio przemyślana, ani odpowiednio przygotowana.

Na terenie Wirtembergii i Badenii wszystko zależy od lokalnych warunków tzn. od inicjatywy i zręczności tych, którzy mają ochotę uczyć dzieci. Pewne środki na szkoły daje Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych, trochę daje Skarb Narodowy, ale razem pokrywa to zaledwie 30-40 proc. rzeczywistych potrzeb.

Z uznaniem podkreślić należy stanowisko duchowieństwa, które rzekło się uposażeń za naukę religii w szkołach, powołując się na to, że korzysta z uposażeń duszpasterskich z rachunku kosztów okupacyjnych.

Natomiast nie wiedzieć dlaczego z szczupłej dotacji Skarbu Narodowego, przyznanej dlatego, że nie ma z czego pokrywać uposażeń nauczycieli strefy amerykańskiej, aż dwie piąte zatrzymano na wydatki administracyjne w strefie brytyjskiej, w której każdy nauczyciel ma niezłą pensję. Kontrola nad pracą nauczycielstwa w terenie na południu Niemiec nie istnieje, ale trudno się temu dziwić, bo nie istniała ona przy znacznie lepszych warunkach materialnych w latach poprzednich.

Tyle o szkołkach. Wielkie jednak pytanie, czy w warunkach niemieckich wobec specyficznego składu ludności tu pozostającej szkoły są najważniejszą dziedziną prac oświatowych, jakie tu powinny być prowadzone. Są sprawy pilne i zupełnie przez władze oświatowe nie ruszone: organizacja czytelni i bibliotek oraz organizacja kursów wakacyjnych dla uczniów szkół średnich. W Niemczech jeszcze rok temu były trzy pełne gimnazja polskie oraz kilka kursów gimnazjalnych. Dziś w zakresie szkolnictwa średniego nie ma prawie nic, a kilkudziesięciu byłych uczniów szkół średnich rozrzucono po wielu gimnazjach niemieckich. Ci, którzy mieli szczęście pozostać pod opieką IRO zmieniły miejsce pobytu, a zatem i szkołę w ciągu ostatniego roku co najmniej dwa, a w niektórych wypadkach cztery razy.

Słyszałem o radosnym fakcie przybycia na teren Niemiec 2 młodzieńców, którzy mieli zająć się nawiązaniem kontaktu z tzw. "intelektualistami" spośród dipisów. Niewątpliwie władze szkolne przedstawiły im już to zagadnienie.

O polską stolicę.

Cała akcja oświatowo-kulturalna w Niemczech kuleje z powodu braku jednego centralnego ośrodka polskiego. Wiadomo, że Niemcy są krajem bez stolicy. Jeszcze w większym stopniu dotyczy to życia polskiego w Niemczech. O rozmieszczeniu różnych władz i instytucji centralnych decydował przypadek.

Komisja Skarbu Narodowego przypadkiem mieściła się w Heilbronnie, a obecnie przypadkiem mieści się w Augsburgu. Delegat Rządu przypadkiem rezyduje w Celle. Centralny Komitet do Spraw Szkolnictwa i Centrala SPK przypadkiem mieściły się w Höxter, a Tow. Pomocy Polakom przypadkiem w Oerlinghausen. Wskutek takich różnych przypadków podjęcie jakiegokolwiek akcji w Niemczech rozpoczęła się od wielkich wydatków na koszty podróży.

Trzeba by wreszcie zdecydować o siedzibie naczelnych organizacji polskich w Niemczech. Projekt lansowany przez "Ostatnie Wiadomości" by przystąpić do budowy Domu Polskiego w Niemczech nie wyszedł ze stadium teoretycznych dyskusji, choć byłby to jedyny sposób stworzenia jakiegoś polskiego ośrodka i ustabilizowania życia polskiego. Nie można przecież tylko żyć oczekiwaniem "kiedy się zacznie".

J. B.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST
„GRYF” Publications Ltd.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BAttersea 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

Najnowsza historia Polski

O układzie polsko-rosyjskim z 30. 7. 1941

PROF. STANISŁAW STROŃSKI...

Ukazał się pierwszy zarys ujęcia sprawy umowy polsko-rosyjskiej z 30 lipca 1941, który nasuwa szereg uwag.*)

I. — Po wybuchu wojny Niemcy-Rosja

Dnia 22 czerwca 1941 raniutko Niemcy uderzają na Rosję, a wieczorem p. Churchill przemawia w B.B.C.

“W tym przemówieniu pominął Churchill zupełnie — wytyka czy zaznacza p. Okulicz — zagadnienie Polski w nowej sytuacji”.

Ale w jakich okolicznościach i dlaczego?

Jest to niedziela. Jen. Sikorski spędza ją w domu w Ewhurst pod Londynem. Od rana urzędy brytyjskie dopytują się, także w związku z zamierzoną mową p. Churchilla, o stanowisko jen. Sikorskiego i Rządu, a o 4-ej po południu sekretariat p. Edena telefonuje do adiutantury jen. Sikorskiego:

— Czy to prawda, że jen. Sikorski wydał odezwę do wojskowych polskich w Rosji, by stanęli po stronie sowieckiej w walce przeciw Niemcom, i czy pierwszy minister Churchill może o tym wspomnieć w mowie, którą ma wygłosić przez radio o 9-ej wieczorem?

Z adiutantury por. Tyszkiewicz zaprzeczył głucho, jak mu polecił jen. Sikorski. I wzmianka o Polsce w mowie p. Churchilla odpadła. Jen. Sikorski, który miał już wówczas, po roku pobytu w W. Brytanii i po powrocie ze Stanów Zjedn. Ameryki, bardzo dobrą styczność z p. Churchillem i Rządem Brytyjskim i nie-

*) Kazimierz Okulicz, *Umowa Sikorski-Majski* z 30. VII. 1941 (Szkic do historii), w piśmie “Niepodległość”, wyd. Instytutu Józefa Piłsudskiego, oddziału w Londynie, 1950, t. II, str. 71-89.

jedną rozmowę o Rosji, nie chciał bowiem, by mowa p. Churchilla uprzedziła w jakimś skrócie nieściślym własne oświadczenie polskie o Polsce i Rosji. Chyba niespornie słusznie.

Nazajutrz, w 25 godzin po p. Churchill, przemawia w B.B.C. jen. Sikorski, a p. Okulicza i to razi:

“Ale ciemną plamką na horyzoncie brytyjskim były zerwane stosunki polsko-sowieckie... Rząd i opinia angielska domagały się od polskich czynników rządowych w Londynie możliwie rychłego uregulowania tej sprawy... Tym też brytyjskim raczej niż polskim przesłankom polityki wojennej przypisać należy szybkość reakcji polskiej na wybuch wojny sowiecko-niemieckiej w postaci przemówienia Szefa Rządu Polskiego przez radio 23 czerwca wieczorem”.

Więc dwa zarzuty w jednym: że pod naciskiem brytyjskim i że dlatego tak szybko.

Kto, gdzie, jak i... kiedy ten nacisk wywierał?

Dnia 22. 6. 1941, nie kto inny niż ja, o godzinie 7 rano, zawiadomiłem o wybuchu wojny jen. Sikorskiego, jeszcze tym zdziwionego (“No, no — były jego pierwsze słowa — jednak Hitler na to poszedł”) — i ustalone zostało, że generał będzie mówił następnego dnia, czyli zapadło, bez wpływu brytyjskiego, to postanowienie szybkości.

Jen. Sikorski, którego czynności w ową niedzielę i poniedziałek znane są godzina za godziną, w poniedziałek po południu był na naradzie, nie u p. Churchilla, lecz u Prezydenta R.P., wraz z ministrem spraw zagranicznych p. Zaleskim. A dopiero w poniedziałek o 7 wieczorem, prosto z Rady Ministrów, na 3½ godziny przed wygłoszeniem mowy, posyła uprzejmie angielski przekład p. Churchillowi, który zaraz przedstawił go Radzie Gabinetowej Rządu Brytyjskiego, po czym o godz. 9-ej, już w przejeździe do B.B.C., spotyka się w Hotelu Ritz z p. Edenem i w rozmowie niespełna godzinnej niektóre jego uwagi, dotyczące wyrażen, przyjmuje, niektórych, wkraczających w treść istotną, nie przyjmuje, tak iż p. Eden powiada, że z narażeniem się p. Churchillowi nie nalega. O godzinie 10 min. 15 towarzyszę mu stamtąd do B.B.C., gdzie wygłasza o 10 m. 30 przemówienie, w którym nikt nigdy nie doszukał się niczego nieodpowiedniego.

Gdzież tu przemówienie za szybkie z natchnienia brytyjskiego?

Dla jen. Sikorskiego było to zresztą nie za szybko lecz za powoli i za późno. Sądził, że po zdarzeniu tak doniosłym dla Polski jak wybuch wojny między Niemcami a Rosją nie może czekać 36 godzin do jawnego przemówienia. Od razu pierwszego dnia, 22 czerwca, polecił przesłać do Kraju i do placówek R.P. za granicą, wraz z zapowiedzią przemówienia radiowego i podaniem godziny, więzienie jego wytyczne, jako wskazówki, które po zaznaczeniu w niewielu słowach obłudy hasła Hitlera, pokumanego z Rosją celem wszczęcia wojny w r. 1939, jako rzekomego zbawcy w walce z komunizmem, głoszą:

“Rząd wzywa naród polski do dalszego nieugiętego trwania przy sztandarze wolności i niepodległości oraz demokracji, co

na razie jest równoznaczne z zachowaniem dotychczasowego stanowiska wobec obydwu okupantów, a wczorajszych sprzymierzeńców. Rozróżniając niebezpieczeństwo niemieckie od rosyjskiego przez zdecydowane podkreślenie pierwszego, jako groźniejszego dla narodu, nie widzi Rząd Polski w warunkach dzisiejszych możliwości angażowania się na rzecz współdziałania z Rosją. Stanowisko to znajduje pełne zrozumienie naszego sojusznika Wielkiej Brytanii. Konflikt niemiecko-rosyjski Rząd ocenia jako wysoce korzystny dla sprawy polskiej. Z dalszym rozwojem sytuacji przyjdzie być może czas na zajęcie bardziej sprecyzowanego stanowiska względem Rosji i wtedy Rząd wyda odpowiednie instrukcje".

Czy można było ogólniej postąpić niż ostrzec, w nastrojach pierwszej chwili, przed współdziałaniem z Niemcami przeciw Rosji i przed współdziałaniem z Rosją przeciw Niemcom?

Ale... ale... skądże tu ta wzmianka o zrozumieniu naszego stanowiska przez Wielką Brytanię... czyżby jakaś dowolność jen. Sikorskiego?

Wzmianka o zgodzie Rządu Brytyjskiego, we wskazówkach dla Kraju i dla placówek, była niewątpliwie ważką, ale też dokładną, gdyż dziennik czynności jen. Sikorskiego z 22. 6. 1941, zaznaczywszy, że przed południem przygotowywał on deklarację dla Kraju, stwierdza dalej, jak w tej właśnie jedynej sprawie zwrócił się do Rządu Brytyjskiego i przez kogo:

"...o godz. 12 porozumiewa się z ministrem Zaleskim celem uzgodnienia tej deklaracji z Foreign Office... godz. 19 minister Zaleski komunikuje, że min. Eden zgadza się na postulaty i stanowisko N.W."

Znany jest też dokładnie przebieg dnia 22. 6. 1941 od strony p. Churchilla, który był wtedy w Chequers. Zapisuje on sam w swych wspomnieniach (III,331) z kim się widział tego dnia i przytacza co napisał w swym dzienniku jego sekretarz p. Colville. A mianowicie:

"Zaczął on (Churchill) przygotowywać swe przemówienie o 11-ej przed południem i poza śniadaniem, w którym uczestniczyli Sir Stafford Cripps, Lord Cranborne i Lord Beaverbrook, poświęcił cały dzień przemówieniu... gotowemu dopiero 20 minut przed 9-tą (gdy je wygłosił)".

P. Michał Sokolnicki, ambasador w Ankarze, pisząc ostatnio i bez związku ze szkicem p. Okulicza (w "Wiadomościach" nr 243 z 26. 2. 1950) o tym tomie Churchilla, zaznacza:

"...gen. Sikorski opowiadał mi w czerwcu 1943 (ostatnia podróż jen. Sikorskiego na Bliski Wschód), że widział się z Churchillem przed wygłoszeniem jego mowy i że doradzał mu zmiany w jej tekście".

Jest to oczywiście błąd lub wielce niecisły odgłos tego co jen. Sikorski mówił nazajutrz, 23. 6. 1941, w Radzie Ministrów po przemówieniu p. Zaleskiego (protokół):

"... Minister Zaleski referuje rozmowę, jaką miał z min. Edenem, w której prosił brytyjskiego Ministra Spraw Zagra-

nicznych, by Rząd Brytyjski nie użył w stosunku do Rosji terminów: przymierze, sprzymierzeńcy itp. oraz by nie angażował się w stosunku do Rosji w sprawach polskich bez ścisłego uzgodnienia z Rządem Polskim. Min. Eden dał odpowiednie zobowiązanie. Dlatego też w mowie Churchilla nie było momentów, które, w jego świadomości, mogłyby budzić zastrzeżenia z naszej strony. Pewne zwroty, których użył premier brytyjski, a które mogły być niemiłe dla naszego ucha, pozbawione były jakiegokolwiek ujemnej tendencji dla nas... Prezes Rady Ministrów nie podziela optymizmu w ocenie mowy Churchilla. Była ona bez treści istotnej, nie zawierając programu pozytywnego na przyszłość, a pominięcie milczeniem Polski, przy bardzo ciepłym, za ciepłym, ustosunkowaniu się Rosji bolszewickiej, mogłoby być szkodliwe. Błąd ten usiłuje naprawić jen. Sikorski w swoim przemówieniu, które z tego przede wszystkim powodu podał do wiadomości Churchillowi".

Przypuścimy, że byłoby wówczas, po wybuchu wojny między Niemcami a Rosją, odwrotnie, a słyszeliśmy:

— Nie do wiary, takiej chwili i takiego zdarzenia nie przygotował jen. Sikorski żadną stycznością z sojusznicznym Rządem Brytyjskim, a gdy wojna między Niemcami a Rosją wybuchła, kierownik Rządu Polskiego, zadawalając się mową p. Churchilla, czeka nie wiadomo na co i nie ma sam nic do powiedzenia narodowi i obcym, by zapobiec odruchom u swoich i błędnym oświeceniom w świecie.

To byłyby rzeczywiście zarzut, ale... było właśnie odwrotnie.

II. — Trzon

Trzonem rozważań, myślą przewodnią i wynikiem dociekań p. Okulicza jest budowa twierdzenia, że w rokowaniach i w układzie z lipca 1941 Rosja przeprowadziła to czego chciała a Polska uległa, co p. Okulicz pod koniec swych wywodów powtarza raz po raz i wbija w umysły czytelników:

"...Sowiety, mimo klęsk i opuszczenia ziem polskich zabranych, nie zejda ani na cal ze swego stanowiska etnograficznej Polski (str. 78)... Tak więc Rząd Sowiecki utrzymał do końca swe zasadnicze stanowisko (83)... Nikt już zapewne dziś przeczyć nie będzie, że art. 1-szy umowy zawierał tezę sowiecką lecz nie polską (str. 87)..."

Czy to prawda, czy nieprawda, ustalili się w jedynej i prostej sposób: trzeba wynik zestawzić z żądaniem, z którymi weszły w rokowania obie strony.

A. — Wynikiem jest umowa z 30 lipca 1941, która brzmi:

1. Rząd Z.S.R.R. uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z r. 1939 dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc. Rząd Polski oświadcza, że Polska nie jest związana z jakimkolwiek trzecim państwem żadnym układem zwróconym przeciwko Z.S.R.R.

2. Stosunki dyplomatyczne między obu Rządami będą przy-

wrócone z chwilą podpisania niniejszego układu i sprawa wymiany Ambasadorów będzie natychmiast załatwiona.

3. Oba Rządy zobowiązują się wzajemnie do udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy i poparcia w obecnej wojnie przeciw hitlerowskiemu Niemcom.

4. Rząd Z.S.R.R. oświadcza swą zgodę na tworzenie na terytorium Z.S.R.R. armii polskiej, której dowódca będzie mianowany przez Rząd Polski w porozumieniu z Rządem Z.S.R.R. Armia Polska na terytorium Z.S.R.R. podlegać będzie w sprawach operacyjnych Naczelnemu Dowództwu Z.S.R.R., w którym Armia Polska będzie reprezentowana. Wszystkie szczegóły dotyczące dowództwa, organizacji i użycia tej siły zbrojnej będą ustalone dalszym układem.

5. Układ niniejszy wchodzi w życie natychmiast po podpisaniu i nie podlega ratyfikacji.

Układ niniejszy sporządzony jest w dwóch egzemplarzach, każdy w języku polskim i rosyjskim. Oba teksty mają jednakową moc.

Protokół. — Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych Rząd Sowiecki udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium Z.S.R.R. bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych odpowiednich podstawach."

B. — Żądania rosyjskie, spisane przez p. Edena 4 lipca 1941 w rozmowie z p. Majskim i tegoż dnia doręczone jen. Sikorskiemu w rozmowie z nim p. Edena, brzmią:

"Ambasador rosyjski zażądał dzisiaj widzenia się ze mną i zakomunikował mi, że przyniósł zlecenie od swego rządu. Rząd sowiecki mianowicie rozważał swoje stosunki z Polską, Czechosłowacją i Jugosławią. Zdecydował się on udzielić wszelkich ułatwień wszystkim trzem państwom na utworzenie Komitetów Narodowych w Z.S.R.R. Komitety te otrzymałyby również ułatwienia dla tworzenia narodowych sił wojskowych polskich, czechosłowackich i jugosłowiańskich. Rząd sowiecki podjął się dostarczyć im broni i ekwipunku. W wyniku tego wszyscy polscy jeńcy wojenni, będący w rękach rosyjskich, byłiby przekazani Polskiemu Komitetowi Narodowemu. Ich liczba nie byłaby tak wielka, jak mówi Jenerał Sikorski (który powołał się na podaną urzędowo przez władze sowieckie w r. 1939 liczbę 191.000 żołnierzy i 9.000 oficerów). P. Majskij ma wrażenie, że jest ich tylko 20.000. Te siły walczyłyby u boku armii rosyjskiej przeciwko najeźdźcy niemieckiemu. Jeżeli chodzi o Polskę, to polityka sowiecka polega na przychylnym ustosunkowaniu się do sprawy utworzenia niepodległego państwa polskiego. Granice tego państwa odpowiadałyby granicom etnograficznym Polski. W konsekwencji tego pewne okręgi i miasta okupowane przez Rosję w r. 1939 mogłyby być zwrócone Polsce. Forma rządu wewnętrznego, który byłby ustanowiony w Polsce, zdaniem rządu sowieckiego, jest sprawą wyłącznie polską. Jeżeli Jen. Sikorski i jego Rząd uznają to oświadczenie za możliwe do przyjęcia,

rząd sowiecki gotów jest do zawarcia układu, którego celem byłoby stworzenie frontu przeciw niemieckiej agresji."

C. — Żądania polskie przedstawił jen. Sikorski p. Edenowi w tejże rozmowie z 4 lipca 1941 w brzmieniu:

"1. Sowiety uznają za niebyłe układy niemiecko-rosyjskie z sierpnia i września 1939.

2. Rząd rosyjski przywraca automatycznie Ambasadę Polską w Moskwie, uznając wyznaczonego przez Rząd reprezentanta, który stworzy ewentualnie Komitety Obywatelskie podlegające Rządowi Polskiemu, celem zajęcia się losem Polaków, znajdujących się na terytorium rosyjskim.

3. Zostaną zwolnieni jeńcy wojenni, więźniowie polityczni oraz zesłańcy w głąb Rosji.

4. Z osób wojskowych i poborowych polskich może być utworzona suwerenna armia polska do walki z Niemcami. Armia ta podlegałaby Naczelnemu Wodzowi Wojsk Polskich w Londynie".

Trzeba to, co od razu bije w oczy w tym zestawieniu, przejść myślą uważnie.

Rząd rosyjski chce: 1. sam załatwiać sobie i u siebie sprawy polskie przez stworzenie tzw. Komitetu Narodowego Polskiego, podobnie jak innych np. czechosłowackiego czy jugosłowiańskiego, 2. ten Komitet w ręku rządu rosyjskiego tworzyby u boku armii rosyjskiej, czyli także w ręku rządu rosyjskiego, siły wojskowe polskie z jeńców, których liczba nagle spada do 1/10 bo z 200 tys. do 20 tys., 3. granica Polski, jako tzw. etnograficzna, będzie taka jaką sobie Rosja z Niemcami ustaliła w rozbiórce Ribbentrop-Mołotow w r. 1939 z jakimiś przesunięciami.

Co z tego stanowiska rosyjskiego weszło w umowę z 30 lipca 1940 ?

Nic, dosłownie nic, najściślej nic.

Rząd Polski zaś przyjmuje jako podstawę: 1. Sowiety same uznają swe układy rozbiórcze z Niemcami z r. 1939 za unieważnione, 2. przywraca się prawidłowe między państwami stosunki dyplomatyczne przez Ambasadę (a nie żaden tzw. komitet narodowy) z przyznaniem w dodatku tej Ambasadzie wyjątkowych praw opieki nad ludnością polską, 3. zwolnienie wszystkich jeńców, więźniów i zesłanych polskich, 4. utworzenie odrębnej armii polskiej podległej rządowi polskiemu.

Co z tego stanowiska polskiego weszło w umowę z 30 lipca 1941 ?

Wszystko, dokładnie wszystko, bez wyjątku wszystko, bo cały zrab główny stanowiska polskiego, biegunowo przeciwny sowieckiemu, a także sprawy poszczególne, gdyż opieka ambasady nad ludnością, jako wynikająca z jej praw ogólnych, została milcząco przyznana i wprowadzona w życie, a związanie armii polskiej w Z.S.R.R. z siłami sowieckimi ograniczono w umowie, tak samo jak w stosunkach z Wielką Brytanią, tylko do zakresu operacyjnego, do czego w ogóle nie doszło.

III. — Granica

W szczególności, w naczelnej sprawie granicy, zestawienie z rzeczywistością twierdzenia p. Okulicza, że Sowiety utrzymały do końca swe stanowisko, na cał nie ustępując, i że art. 1-szy umowy zawiera to ich stanowisko, wygląda tak:

Rząd Z.S.R.R.:

"Granice Państwa Polskiego odpowiadałyby granicom etnograficznym Polski; w konsekwencji tego pewne okręgi i miasta okupowane przez Rosję w r. 1939 mogłyby być zwrócone Polsce". (Zlecenie rządu sowieckiego przekazane 4 lipca przez p. Majskiego p. Edenowi, jak wyżej).

Umowa:

"Rząd Z.S.R.R. uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z roku 1939 dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc". (Art. 1-szy umowy z 10 lipca 1941).

Więc to jest... to samo... do końca... ani o cał?

Właśnie jen. Sikorski, na krok nie odstępując od pierwszej do ostatniej chwili rokowań, nie dopuścił w umowie ani cienia wzmianki etnograficznej czy też jakiegokolwiek zapowiedzi zmiennej granicy prawnie obowiązującej.

Co więcej, właśnie wskutek tego, że rząd rosyjski chciał tu naprzód uzyskać utrzymanie granicy rozbiorczej r. 1939 z jakimś przesunięciami, a gdy od tego musiał niemal od razu odstąpić, chciał wprowadzić niejasność, ze strony polskiej zażądano i w końcu uzyskano wyraźne stwierdzenie, że to ma być nie ogólne tylko i ogólnikowe uznanie przez Sowiety za nieważne układów niemiecko-rosyjskich z r. 1939, lecz właśnie i dobitnie w zakresie granic, przez dodanie słów uchylających wszelkie niejasności:

"...dotyczące zmian terytorialnych w Polsce...".

Tu uwaga nieprawdopodobna:

"Ale ten zwrot bynajmniej — mówi i tylko tyle mówi p. Okulicz, str. 82 — nie zawierał żadnego zobowiązania powrotu do stanu rzeczy sprzed wojny i miał znaczenie wyłącznie propagandowe".

Więc cóż zawierał i dlaczego ze strony rosyjskiej tak twardo opierano się tej zmianie?

Uznanie za nieważne postanowień dotyczących zmian terytorialnych oznacza — (nie ma na świecie prawnika mogącego twierdzić inaczej) — powrót do stanu rzeczy poprzedniego.

Dlatego jen. Sikorski, jak w rokowaniach raz po raz domaga się jasności w sprawie powrotu do granicy z r. 1939 przed układem rozbiorczym niemiecko-rosyjskim, tak też raz jeszcze na posiedzeniu Eden-Majskiej-Sikorski 11. 7. 1941 (protokół Foreign Office) mówi:

"Trzeba by było jasno, że Rząd Polski trzyma się granicy roku 1939".

Na to p. Eden:

"Jeżeli układy z r. 1939 upadają, stan rzeczy prawny jest jasny".

Tego p. Okulicz w dokumentach nie znalazł.

Podobnie nie zauważył, że gdy Rząd Brytyjski w urzędowej wymianie not Eden-Sikorski z 30 lipca 1941, jednocześnie z podpisaniem umowy polsko-rosyjskiej, celem potwierdzenia tego powrotu do stanu prawnego sprzed wojny, stwierdził, że "Rząd J. Kr. M. nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939", a nazajutrz, 31 lipca 1941, w Waszyngtonie, p. Sumner-Welles urzędowo potwierdził takie znaczenie umowy, oświadczając, że "porozumienie polsko-rosyjskie uważa za idące po linii polityki Stanów Zjednoczonych nieuznawania zmian terytorialnych przeprowadzonych w drodze podboju", rząd rosyjski nie zgłosił przeciw tym urzędowym stwierdzeniom W. Brytanii i St. Zjednoczonych Ameryki żadnego sprzeciwu.

P. Okulicz wytacza też i przytacza zdanie ówczesnego ministra spraw zagranicznych p. Zaleskiego z sierpnia 1941:

"Dopuszciliśmy przez układ z Rosją do jednej rzeczy, mianowicie, że postawiony został przez kontrahenta i przez trzecie czynniki znak zapytania nad naszymi granicami wschodnimi".

Czyżby to miało znaczyć, że po układzie rozbiorczym niemiecko-rosyjskim z r. 1939 nie było znaku zapytania nad granicami Polski, a zjawił się on po umowie z r. 1941 niweczącej tamten układ; że gdy Rosja, jako kontrahent Polski w r. 1941, wyrzeka się zmiany granicy polsko-rosyjskiej, którą ustaliła jako kontrahent Niemiec w r. 1939, ma to być pogorszeniem; że gdy trzecie czynniki, tj. Wielka Brytania i Stany Zjedn. Ameryki, stwierdzają, iż nie uznają tych granic z r. 1939, a uznają, że umowa polsko-rosyjska przywraca stan poprzedni, jest to postawieniem również przez nie znaku zapytania?

IV. — Dramatis Personae

Oto wizerunek jen. Sikorskiego:

"Oczywiście, jak u każdego polityka tak i u Sikorskiego — pisze p. Okulicz — znaczny wpływ na postępowanie miały cechy indywidualne jego natury i charakteru. Nie wchodząc w bardziej szczegółową ich analizę, można już na podstawie dość ogólnikowego nawet studium jego działań przejść do konkluzji, że w tym człowieku o dużej inteligencji i ruchliwości umysłu egocentryzm i żądza sukcesów, choćby pozornych, znacznie przeważały nad siłą charakteru i stałością poglądów... Bardzo silnie zarysowaną cechą osobistą gen. Sikorskiego była, jak widać z tego przykładu, szczególna, do granic naiwności sięgająca, miłość własna, która czyniła go niezdolnym do przyznania się do błędu, słabości lub niepowodzenia. Przy tak wydatnych słabościach charakteru gen. Sikorski, mimo niezaprzeczalnych zdolności i patriotyzmu, nie mógł sprostać...".

Bez objaśnień: guarda e passa, jak radził Vergilius Dantemu.

Wiotkiemu jen. Sikorskiemu przeciwstawia p. Okulicz twarą postać ministra spraw zagranicznych p. Zaleskiego.

Rozstrzygną tu pominięte zupełnie przez p. Okulicza własne i najbardziej urzędowe oświadczenia i kroki p. Zaleskiego z lipca 1941, a wystarczą dwa świadectwa z obrad i głosowań Rady Ministrów w ciągu rokowań.

1. — Posiedzenie R. M. z 21 (nie 27, jak p. Okulicz, str. 80) lipca 1941, na którym jen. Sikorski przedstawia dotychczas ustalone brzmienie zamierzonej umowy. Wszyscy ministrowie wypowiadają swe zdania. Po przerwie w posiedzeniu jen. Sikorski przedstawia poprawki dla których dodatkowo uzyskał zgodę pośredniczącego Rządu Brytyjskiego. Głosowanie (protokół):

“Rada Ministrów przyjęła jednomyślnie proponowany przez Prezesa Rady Ministrów tekst układu pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Z.S.R.R.”.

Więc jednomyślnie (włącznie z jen. Sosnkowskim, który w liście nazajutrz 22. 7. 1941 wysunął znowu zastrzeżenia uchylając swą współodpowiedzialność, o co zawsze dbał bardzo starannie) oraz włącznie i bez zastrzeżeń z ministrem spraw zagr. p. Zaleskim.

Otóż sedno rzeczy: to brzmienie, za którym 21. 7. 1941 głosował p. Zaleski, zawierało właśnie to, co weszło w umowę z 30. 7. 1941, a nie zawierało ani jednego postanowienia czy określenia, które by nie weszło w umowę, jeszcze dodatkowo nieco ulepszoną.

2. Posiedzenie R. M. z 25 lipca 1941, na którym jen. Sikorski zawiadamia, że p. Majskij nie godzi się na owe poprawki, na które zgodził się pośredniczący Rząd Brytyjski. Będą dalsze starania. Ale na razie trzeba przyjąć w zasadzie brzmienie bez tych poprawek. Wśród przemawiających p. Zaleski (protokół):

“Minister uważa swoją sytuację za szczególnie drażliwą, ponieważ zmuszony położyć swój podpis pod tym dokumentem weźmie na siebie największe odium. Będąc jednak w Rządzie Jedności Narodowej tylko fachowcem, gotów jest głosować za podpisaniem, o ile tylko za tym się zgodnie wypowiedzą stronnictwa”.

A więc minister Zaleski zgłasza gotowość głosowania za tym gorszym brzmieniem, bez poprawek, jeżeli tylko zgodnie wypowiedzą się za tym stronnictwa. Nie uzależnia tego nawet od jednomyślnej uchwały Rady Ministrów tj. włącznie z jen. Sosnkowskim, który jest przeciwny, a od którego on w ten sposób się oddziela. Nie będzie ostatecznie głosował dlatego, że p. Seyda nie godzi się z ramienia Stronnictwa Narodowego.

Jeszcze raz przed końcem tego posiedzenia p. Zaleski podejmie próbę (protokół):

“Min. Zaleski starając się znaleźć wyjście z sytuacji wnosi: a) uzyskanie od rządu brytyjskiego dalszego jeszcze wzmocnienia noty w sensie zapewnienia jej obowiązującego charakteru również i w przyszłości, b) uzyskanie zgody rządu brytyjskiego na ujawnienie naszej noty z 7 lipca r.b., w której właśnie tłu-

maczymy pod jakim warunkiem gotowi jesteśmy się zrzec wyrażonej wzmianki o przywróceniu mocy prawnej Traktatu Ryskiego, oczywiście z opuszczeniem kilku niemiłych dla Sowieców zwrotów tej noty”.

Więc za tą umową, przedstawioną przez p. Okulicza jako przepastnie potworną, gotów był głosować nie tylko z poprawkami, które ona wszystkie zawierała, gdyż Moskwa przyjęła to czego nie przyjął w Londynie p. Majskij, ale i bez tych poprawek... p. Zaleski.

Właściwą i istotną różnicą poglądu na sprawę zawierania lub niezawierania umowy nie były poszczególne jej postanowienia, lecz to co powiedział w rozprawie Rady Ministrów 25. 7. 1941 jen. Sosnkowski (protokół):

“Gen. Sosnkowski nie widzi żadnego wyjścia z sytuacji innego, niż niepodpisanie układu i spokojne czekanie na dalszy rozwój wypadków. Uważa, że deklaracje złożone przez pp. Ministrów równają się głosowaniu i dlatego nie ma potrzeby głosować ponownie “ostatecznie”. Tak zwana regwarancja brytyjska niczego nie załatwia, bo nie poprawia złej umowy. Gen. Sosnkowski dał już wyraz przekonaniu w początkowej fazie rokowań, że jakikolwiek traktat z bolszewikami wymaga regwarancji brytyjskiej. Uważa za iluzję wiarę Anglików w rzekome powodzenie na froncie bolszewickim. W rzeczywistości Niemcy nigdy jeszcze tak szybko nie posuwali się naprzód. Jest przekonany, że Moskwa padnie w najkrótszym czasie, a wówczas właśnie Sowiety będą skłonniejsze do ustępstw, a świat anglosaski przestanie się z nimi liczyć jak obecnie. Nie wierzy w rozluźnienie sojuszu z W. Brytanią, raczej przeciwnie. Dlatego ponownie wypowiada się przeciwko układowi”.

Siedziałem wówczas obok jen. Sosnkowskiego, który rozwijał szerzej swoje zdanie o bliskiej klęsce Rosji. Przeciętą dzienną — mówił — posuwania się Niemców naprzód wynosi tyle a tyle km., odległość obecna od Moskwy tyle a tyle km., więc będą tam za tyle a tyle dni. Ten pogląd podstawowy był w lipcu 1941 strawą codzienną i nieustanną wszystkich rozmów kół polskich przeciwnych umowie, z M.S.Z. pod sterem p. Zaleskiego na czele.

V. — Ameryka

Bardzo jakoś zwięzle, w kilku ledwie słowach, bo nawet nie zdaniach, wspomina p. Okulicz o stanowisku St. Zjedn. Ameryki w sprawie umowy. A to dziwne. Bo w lipcu 1941 niemal głównym orężem przeciwników umowy, udzielonym im ze zbrojowni M. S.Z., było twierdzenie, że Stany Zjedn. Ameryki zachęcają nas, przeciw Wielkiej Brytanii, do nieustępliwości w sprawie umowy z Rosją.

W rzeczywistości było tak, że jen. Sikorski poprosił ambasadora w Waszyngtonie p. Ciechanowskiego o wyjaśnienie sprawy tych rzekomych zachęt amerykańskich do nieustępliwości

i w wymianie szyfrów w początku sierpnia 1941 wszystko to się rozwiało.

W związku z tym amb. Ciechanowski przesłał 12. 8. 1941 p. Zaleskiemu, który wówczas jeszcze urzędował, obszerne sprawozdanie, zawiadamiając go o rozmowie ze znanym z nieufności wobec Rosji podsekretarzem stanu p. Berle:

"Na wstępie mojej rozmowy podsekretarz Berle powiedział, że uważa układ z Sowietami jako wielki sukces dyplomacji polskiej i że należałoby powinszować Panu Ministrowi jego zręcznej dyplomacji".

Amb. Ciechanowski przekazał min. Zaleskiemu te wyrazy uznania amerykańskiego za dobry układ.

Tableau!

VI. — Szczegóły

Pp. Eden i Bevin, 3 lipca 1941, przy stole w południe z jen. Sikorskim:

"...niezawodnie... starali się przekonać Premiera — pisze p. Okulicz — o konieczności podjęcia rozmów z Majskim nie przejmując się zbytnio ich projektowaną treścią".

A po co mieli go przekonywać: czyż odmówienie przez nas rozmów Rosji, która wcale nie kwapiła się do rokowań z Rządem Polskim i wolała sama załatwić sobie sprawy z jakimś Komitetem, nie byłoby dla niej najdogodniejsze a dla nas wobec świata zabójcze?

Drugie...

W toku rokowań:

"...prasa polska, pod sprawną batutą Ministra Informacji prof. Strońskiego, wygrywała kantaty ku chwale gen. Sikorskiego i jego sukcesów".

Wiedziałem, że nie tylko w ogóle to nieprawda, ale że nic a nic takiego nie było i być nie mogło — (jakżeż bowiem mogliśmy jawnie opiewać powodzenie tajnych rokowań i podniecać drugą stronę przechwałkami?) — lecz dla ścisłości przejrzałem cały lipiec 1941 "Dziennika Polskiego": ani jednego, ściśle i dokładnie, ani jednego słowa.

Dnia 30 lipca 1941 po podpisaniu umowy w B.B.C.:

"...Min. Informacji wygłasza pochwalny komentarz".

Wiedziałem, że dałem rzeczowe i suche objaśnienie treści prawnej umowy, zapowiadając na dzień następny polityczne przemówienie jen. Sikorskiego, ale znowu przejrzałem: ani jednego słowa pochwały.

Czy dobrze jest podawać... połowę wiadomości?

O tym, że "The Times" z 1. 8. 1941, po umowie, pisał o przysłym przewodnictwie Rosji w Europie Wschodniej, p. Okulicz wie i skwapliwie wspomina, ale to, że, wskutek stanowczego żądania naszego, nie tylko w B.B.C. 17. 8. 1941 urzędowo stwierdzono, że nie jest to zgodne z poglądem Rządu Brytyjskiego, ale także p. Eden w mowie 30. 8. 1941 w Coventry to sprostował, nie doszło już do jego wiadomości.

Najdotkliwszy jednak taki... skrót zaszedł w twierdzeniu p. Okulicza, że umowa jest prawie nieważna, gdyż Prezydent Rzeczypospolitej napisał 1 sierpnia 1941 list do jen. Sikorskiego, w którym mówi, iż umowa jako zawarta bez jego pełnomocnictwa:

"nie może mieć i nie ma mocy wiążącej dla Polski".

Dwa razy przytoczone są te słowa i oba razy tylko te słowa. Bez jakiegokolwiek zaznaczenia ucięcia. List zaś brzmiał:

"Tajne — Do Pana Generała Broni Władysława Sikorskiego, Prezesa Rady Ministrów, w miejscu. — Dnia 30 lipca 1941 roku Pan Generał jako Prezes Rady Ministrów podpisał umowę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad bez mego pełnomocnictwa wbrew przepisom art. 12 ust. (e) i ust. (g) Ustawy Konstytucyjnej z dnia 23 kwietnia 1935 r. Wobec tego, na podstawie art. 2 ust. (3) i art. 10 ust. (1) Ustawy Konstytucyjnej, stwierdzam, że powyższa umowa z Z.S.R.R. nie może mieć i nie ma mocy wiążącej dla Rzeczypospolitej Polskiej, a może stanowić jedynie wytyczne dla bieżącego postępowania sygnatariuszy wspomnianej umowy. — Prezydent Rzeczypospolitej Wł. Raczkiewicz — Londyn, dnia 1-go sierpnia 1941 r."

Oczywiście nie podobna było przytoczyć tego listu w całości, nie tylko dlatego, że od razu widać, iż pismo bez liczby i bez kontrasygnaty rządowej, a w dodatku tajne, nie jest w ogóle aktem urzędowym i zarządzeniem prawnym, ale zwłaszcza ze względu na te ostatnie słowa urwanego nagle zdania.

Zdanie to głosi bowiem, że umowa... nie wiąże państwa polskiego — (to jest przypadkowo o tyle prawdziwe, nie w znaczeniu prawnym ale w rzeczywistości, że wszystkie bez wyjątku zobowiązania tej rzekomo złej umowy ciążyą na Rosji, a Polska jest tylko odbiorczynią) — ale że... stanowi wytyczne dla władz polskich... choć nie jest ważna.

Rada Ministrów zajęła się nazajutrz, 2. 8. 1941 tym listem i stwierdziła, że nie jest to akt urzędowy i że powoływania się na artykuły konstytucji są zupełnie błędne, po czym Prezydent w ogóle nigdy do tej sprawy nie wracał. Przeciwnie, niejednokrotnie powoływał się na tę umowę. I jakże mogło być inaczej skoro była ona źródłem m. in. zwalniania ludności polskiej z więzień i tworzenia wojska polskiego i skoro dziesiątki i dziesiątki razy musiał powoływać się na nią ambasador R. P., mianowany przez Prezydenta na podstawie art. 2 umowy, oraz dowódca wojska polskiego w Z.S.R.R., mianowany na podstawie jej art. 4.

VII. — Cui bono?

P. Okulicz podjął wielki wysiłek, by wykazać czy wywołać wrażenie, że umowa z 30 lipca 1941 wyraziła stanowisko Rosji w swej treści, a będąc umową, wyraziła też zgodę Polski na to stanowisko Rosji. Gdyby to była prawda, należałoby powiedzieć to, z żalem, ale powiedzieć, gdyż 1. świadomość prawdy zawsze pomaga a nie szkodzi, 2. ukrywanie prawdy na

nic się nie zda, 3. bez prawdy historii, a nawet szkiełców do niej, w ogóle pisać nie można. Ale to nie jest prawda.

Niepodobna bowiem twierdzić, że nic nie znaczy:

— 1. to że Rosja, wbrew swemu twierdzeniu, iż Państwo Polskie przestało istnieć, obwieszczonemu na własną rękę urzędowo w nocy z 17. 9. 1939, wręczonej przez p. Potiemkina ambasadorowi Grzybowskiemu, oraz wspólnie z Niemcami we wstępie i w art. 1-szym układu rozbiorczego z 28. 9. 1939, później wielokrotnie też urzędowo powtarzanemu przez Mołotowa, musiała uznać Państwo Polskie i prawowity Rząd Polski i nawiązać z nim prawidłowe stosunki dyplomatyczne (czyli uznać ciągłość prawną Państwa Polskiego);

— 2. to że Rosja musiała wyrzec się zgłoszonego na wstępie rokowań zamysłu załatwienia sobie spraw polskich u siebie z jakimś Komitetem Narodowym Polskim, a przyjąć ciągłość prawną Rzeczypospolitej i jej władz (zamiast wysuniętej w żądaniach na wstępie rokowań, jak mówiła, sprawy... utworzenia niepodległego państwa polskiego w przyszłości);

— 3. to że Rosja musiała uznać własne układy rozbiorcze z r. 1939 i to nie ogólnikowo, lecz wyraźnie te, które dotyczą zmian terytorialnych czyli granic Polski, za nieważne (co jest przywróceniem stanu prawnego przed tymi układami, gdyż prawo nie zna pustki);

— 4. to że Rosja, która naprzód żądała zapowiedzi etnograficznych granic Polski (a potem chciała przynajmniej to przywrócenie stanu prawnego przedwojennego zamącić choćby ogólnikową wzmianką jawną lub nawet tajną, że sprawy granic będą załatwione później), nie uzyskała ani cienia takiej zapowiedzi i wzmianki;

— 5. to że Rosja musiała przyjąć bez słowa sprzeciwu oświadczenia urzędowe W. Brytanii i Stanów Zjedn. Ameryki w związku z umową, iż nie uznają one zmian terytorialnych w Polsce od sierpnia 1939;

— 6. to że zamiast wysuniętych w żądaniach rosyjskich sił wojskowych polskich tworzonych przez ów zamierzony komitet u boku armii rosyjskiej umowa przewidywała armię polską w Z.S.R.R. pod władzą Rządu Polskiego;

— 7. to że Rosja, zamiast zgłoszonej na wstępie gotowości przekazania owemu komitetowi narodowemu jeńców polskich, musiała przyjąć zobowiązanie zwolnienia wszystkich w ogóle obywateli polskich;

— 8. to że Rosja nigdy a nigdy nie mogła się powołać na żadne a żadne postanowienie umowy, lecz tylko je gwałcić, a Polska mogła na każdym kroku stać na gruncie umowy.

Po co, wbrew rzeczywistości i oczywistości, mówić Rosjanom:

— Słuchajcie, wyście nigdy w niczym nie pogwałcili umowy z 30 lipca 1941, bo uzyskaliście w niej wszystko, co wam było potrzebne i czegoście chcieli, a nie zobowiązaliście się do niczego.

I po co, wbrew rzeczywistości i oczywistości, mówić Brytyjczykom i Amerykanom:

— Słuchajcie, wyście, przy sposobności umowy polsko-rosyjskiej, nie składali żadnych urzędowych oświadczeń, które by cośkolwiek znaczyły, więc niech was sumienie nie niepokoi.

Przebieg sprawy i dokumenty mówią coś innego.

Najdobitniej zaś bodaj uwydatnia się prawda, jeśli się zważy, że zamiast zawarcia starannie trzymającego się z naszej strony niezbędnych podstaw układu, który bez żadnych szkód (nigdy Rosja na nic nie mogła się powołać) dawał znaczne korzyści prawne (zejście Rosji z układów rozbiorczych z Niemcami i z nieuznawania ciągłości Państwa Polskiego oraz ponowienie wobec Polski zobowiązań W. Brytanii z dodaniem zobowiązań Stanów Zjedn. Ameryki) i rzeczywiste (oswobodzenie wojska i części ludności polskiej w Rosji), co pozostawało?

Pozostawało jedynie niezawarcie układu, bez tych i w ogóle bez żadnych korzyści, a z szkodami tej miary jak rozbrat Polski z sojusznikami zachodnimi już w połowie r. 1941 i przystąpienie Rosji już wtedy do swego i na własną rękę załatwienia sprawy Polski.

Stanisław STROŃSKI.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI...

Szkic p. K. Okulicza o układzie, zwanym u nas w skrócie "paktem Sikorski-Majski" — jest w naszej literaturze politycznej pierwszą próbą przerzucenia tego ważkiego wydarzenia z dotychczasowych ram polemiki publicystycznej na drogę rzetelnego opracowania historycznego. Oczywiście — jak w każdym pionierskim wysiłku, tak i tutaj, u p. Okulicza — zdarzają się pewne nieściśności i mimowolne chyba przeoczenia. W istniejących dziś warunkach zebranie wszystkich niezbędnych elementów jest zadaniem, które — przerastając możliwości jednostki — wymaga zabiegów i wysiłków zespołu. W tym też przedsięwzięciu próbuję — w oparciu o własne, od dawna już gromadzone materiały — wprowadzić do rzetelnego szkicu p. Okulicza kilka drobnych, ale istotnych poprawek — i dać parę uzupełnień o głębszym, a nawet zasadniczym dla sprawy znaczeniu.

Szkic swój — słusznie — zaczyna p. Okulicz od przedstawienia sprawy "tajnego memoriału", jaki został przez gen. Sikorskiego złożony rządowi brytyjskiemu. Narzuca się tu przede wszystkim kwestia daty. Pan Okulicz nie podaje właściwie żadnej, bo zamiast ścisłych cyfr używa terminu tak rozciągniętego, jak "latem r. 1940" lub jeszcze bardziej mętneho: "w chwili

załamywania się Francji". Co gorsza, — p. Okulicz twierdzi, że ówczesny polski minister spraw zagranicznych, August Zaleski, dowiedział się o tym kroku gen. Sikorskiego "po jego powrocie do Francji". W czytelniku, słabiej zorientowanym w tych wypadkach, wywoływać to musi nieodparte wrażenie, jak gdyby memoriał składany był w okresie, kiedy rząd polski spokojnie jeszcze rezydował i normalnie pracował we francuskim Angers. W rzeczywistości — dzieje się to nie "w chwili załamywania się Francji", lecz już po jej kapitulacji — w dwa dni po dramatycznym apelu marsz. Pétain z jego słynnym «*il faut cesser de combattre*». Ewakuacja polska z Francji do W. Brytanii była już w chaotycznym swoim toku. Prezydent Rzeczypospolitej, Wł. Raczkiewicz, wraz z min. Zaleskim i dyrektorem Łepkowskim był od 17 czerwca na "Arethusie" — krawozniku, przysłanym dla niego przez Admiralicję brytyjską — Dom cywilny Prezydenta na pokładzie "Madury". Członkowie rządu polskiego zaokrętować się mieli w Bordeaux wraz z urzędnikami w ilości 304 osób, w ówczesnym jednak chaosie załadowało się tu na dwa czekające statki tylko 79 osób. Rząd, uprzednio już wyewakuowany z Angers do Libourne, jeszcze 17 i 18 czerwca zbierał się na posiedzenia, ale — w bardzo już niespokojnej atmosferze odlotu — gorączkowego miotania się wszystkich — i w składzie szybko topniejącym, bo ministrowie na własną rękę — i w pojedynkę przeważnie — szukali dla siebie dróg do ratowania się z zagrożonego terenu. Niektórzy — jak Stańczyk, Koc, Falter, Popiel, Graliński — o dzień czy nawet dwa wyprzedzili Prezydenta w przybyciu do Londynu, inni jak min. Seyda i gen. Haller — przemykali się do Anglii drogą lądową poprzez Hiszpanię i Portugalię, Stroński i Strasburger nie spodziewanie — 20 czerwca — zjawili się na pokładzie wciąż jeszcze czekającej w porcie prezydenckiej "Arethusy". Prof. Kot z zespołem swoich współpracowników zaokrętował się 23 czerwca w St. Jean de Luz, nad granicą hiszpańską, stąd też — o dwa dni później — 25 czerwca — odpłynął do Anglii gen. Kukiel, od 21 czerwca kierujący z rozkazu Sikorskiego ewakuacją wojska. Szef rządu — gen. Sikorski — przez ostatni tydzień przed katastrofą Francji — był «*quelque part en France*».

W dniu 10 czerwca, wieczorem, opuszczając wraz z szefem Sztabu płk. Klimeckim Paryż — Sikorski nie tylko nie zostawił żadnych rozkazów na wypadek katastrofy, ale podsunęła mu ostrożnie przez otoczenie myśl, by ewakuować poza Loarę niezaangażowane w walce lecz już zagrożone oddziały i tyłowe instytucje wojskowe, nie tylko odrzucił, ale nawet — gwałtownie i brutalnie — skarcił, jako przejaw "defetyzmu" i "panikarstwa". Optyzmowi swemu dał też wyraz w ostatnim przemówieniu radiowym z Paryża tegoż 10 czerwca o godz. 23-ej. Żegnając się — zagniewany na "ulegające panice otoczenie" — mówił o dwóch powodach swego wyjazdu z Paryża, mianowicie — chciał "znaleźć się bliżej" oddziałów polskich, walczących na froncie Alzacji i Lotaryngii — i istotnie,

na 14 czerwca zapowiedziana była jego wizyta w 2-ej dywizji w rejonie Belfortu — nie dotarł tam jednak, bo ani w tym dniu, ani później nikt go tam nie widział; drugim, a raczej głównym celem jego wyjazdu było dotarcie do nieuchwytnego Weyganda — i to z ambitną próbą "uzyskania wpływu na rozgrywane się operacje". Bo — według niego — są jeszcze "siły poważne, którymi można manewrować", wiezie też Weygandowi zbawczy plan "wydobycia sił do przeciwnatarcia na flankę i tyły ofensywy niemieckiej". Wyprawa ta — oczywiście — żadnego rezultatu nie dała i dać nie mogła, bo gen. Sikorski, błakając się po wschodnich departamentach Francji, nie wie, że gen. Weygand, wraz z ewakuującym się z Paryża rządem francuskim, przesuwa się na południowy zachód, poprzez Tours do Bordeaux; nie wie, że naczelny wódz francuski sytuację na froncie już 22 maja oceniał jako rozpaczliwą i beznadziejną, a od 25 maja, popierany przez marsz. Pétain, coraz natarczywiej domagał się od rządu francuskiego rozpoczęcia rokowań o zawieszenie broni.

W dodatku — wędrówka ta najfatalniej zaciążyła na sprawie ewakuacji polskiej z Francji. Rozkazów — jak zaznaczyłem już — nie zostawił Sikorski żadnych — próby telefonicznego bodaj skomunikowania się z nim rezultatu nie dawały, bo już nie było go tam, gdzie go na podstawie nadchodzących od niego depesz szukano. Bez niego i bez jego wiedzy nikt z jego wojskowych zastępców nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności, choć czas naglił. Dopiero 16 czerwca min. Zaleski — na posiedzeniu Rady Ministrów — stawia twardo wniosek o zwrócenie się do W. Brytanii o azyl dla rządu i wojska polskiego oraz o pomoc w ewakuacji z Francji. Wniosek ten wszakże nie zostaje przez rząd przyjęty, bo protestuje gen. Modelski, stwierdzając, że decyzję tego rodzaju powziąć może tylko sam gen. Sikorski. Nareszcie! — tegoż dnia, 16 czerwca, ale o północy dopiero, udało się Prezydentowi Raczkiewiczowi przyłapać Sikorskiego telefonicznie w Vichy. Zdziwiony przedstawionym mu obrazem sytuacji — Sikorski nie chce Prezydentowi wierzyć, zaczyna nawet polemikę, Prezydent wszakże przerywa mu gwałtownie, nawet brutalnie, żądając natychmiastowego powrotu dla ratowania tego, co uratować jeszcze można. Usłuchał i nazajutrz — 17 czerwca, około południa, przybył do Libourne, niemal wprost na posiedzenie Rady Ministrów — ostatnie w obecności Prezydenta przed jego zaokrętowaniem się. Zapadły tu decyzje w sprawie dalszego udziału Polski w wojnie i ewakuacji do W. Brytanii oraz określono zasady postępowania wobec nieuginającej się Anglii i składającej broń Francji, zwłaszcza — w stosunku do naczelnego dowództwa francuskiego. Muszę i tu zwrócić uwagę na fakt — bardzo jaskrawy i wymowny, publicyście naszej raczej nieznanym, przez p. Okulicza — jak wiele innych — pominięty, a przecież tworzący również jedno ze wstępnych ogniw w sprawie "tajnego memoriału". Oto — w godzinach rannych 17 czerwca,

jeszcze przed przybyciem Sikorskiego do Libourne, zostały — w wyniku narady Prezydenta Raczkiewicza z min. Zaleskim — opracowane dwa dokumenty: nota do premiera Churchilla i depeza Prezydenta do króla Jerzego VI — oba w sprawie ewakuacji wojska i rządu polskiego do W. Brytanii. Sikorski — po przyjeździe — dowiedziawszy się o ich treści, zdążył jeszcze wstrzymać ich wysłanie. Sam od siebie, ale dopiero nazajutrz, 18 czerwca, wysłał — jako premier — depezę do Churchilla i w parę godzin potem dopiero zezwolił na wysłanie noty i depezy Prezydenta.

Tymczasem — 18 czerwca, w godzinach rannych, zanim jeszcze odeszła depeza Sikorskiego do Churchilla — wylądował w Bordeaux samolot brytyjski z przysłanym przez Churchilla dr Józefem Retingerem. Wysłannik premiera brytyjskiego miał odszukać Sikorskiego i bezzwłocznie „dostarczyć” go do Londynu. Poszukiwania w ówczesnym zamęcie trwały cały dzień. Przywieziony do Londynu 18 czerwca około godz. 23 — Sikorski nazajutrz, 19 czerwca, w godzinach przedpołudniowych — w dalszym ciągu „pilotowany” przez Retingera — odbył rozmowę z oczekującym nań Churchillem. Urzędowa literatura często w ciągu lat wracała do tej „historycznej rozmowy”, przedstawiała szczegółowo jej przebieg i wynik, o „tajnym memoriale” jednak nigdy nie mówiła nic, choć został on złożony tegoż dnia, 19 czerwca popołudniu, po dodatkowych rozmowach Sikorskiego z lordem Halifaxem i innymi członkami gabinetu brytyjskiego.

Cóż zawierał ten dokument? Pan Okulicz — streszczając go — podaje, że gen. Sikorski — w imieniu rządu polskiego — oświadczał, że nie chce i nie będzie stwarzać jakichkolwiek trudności rządowi brytyjskiemu w nowej wówczas fazie jego polityki wobec Moskwy, dodawał ponadto, iż uważa za możliwe utworzenie z oficerów i żołnierzy polskich, znajdujących się na okupowanym przez Sowietów terytorium Rzeczypospolitej, względnie na terytorium samego Związku Sowieckiego — 300 tysięcznej armii polskiej, pod kontrolą władz sowieckich i bez warunku wypowiedzenia przez Moskwę wojny Niemcom. W tym, co podaje tu p. Okulicz, nieścisłości nie ma. Ale — nie jest to wszystko. Bo gen. Sikorski wystąpił tu jednocześnie z propozycją wysłania do ambasady brytyjskiej w Moskwie „nieoficjalnego delegata polskiego” — z tym jednak, że o przydziale takim rząd sowiecki zostałby oficjalnie powiadomiony.

Zapomniałszy o tym — niebłahym chyba — fragmencie memoriału — p. Okulicz stwierdza dalej, że min. Zaleski „nie miał trudności z wyłuszczeniem gen. Sikorskiemu niewczesności tego pomysłu” — i że w parę dni potem, z równą łatwością, — „wycofał się wobec lorda Halifaxa z tych sugestii w imieniu premiera”. Sądzę, że tutaj właśnie p. Okulicz błędzi — i to poważnie. Oto — na dowód — calendarium: Prezydent Rzeczypospolitej Wł. Raczkiewicz przybył do Londynu 21-go

czerwca i na dworcu Paddington powitany został przez króla Jerzego, ambasadora Raczyńskiego i przybyłych wcześniej członków rządu polskiego. Nie zjawił się tu tylko gen. Sikorski — przez wysłanego szefa Sztabu, płk. Klimeckiego, tłumacząc się przemęczeniem po ponownym, nocnym locie z Anglii do Francji i z powrotem. O memoriale, złożonym przez Sikorskiego, zameldował Prezydentowi min. Zaleski nazajutrz po przybyciu do Londynu — 22 czerwca. Prezydent w pierwszej reakcji polecił natychmiast wezwać do siebie Sikorskiego, ten jednak „ekskuzował się” — za pośrednictwem swej adiutantury — nawałem bardzo pilnych spraw. Uchylił się Sikorski również — pod tymże pretekstem — od rozmowy z min. Zaleskim, który — nic jeszcze nie wiedząc o memoriale, zgłosił się u niego osobiście, natychmiast po przybyciu do Londynu — w innej przykrew sprawie. Dopiero 23 czerwca w rozmowie z Prezydentem i na jego pytanie oświadczył gen. Sikorski, że w memoriale swoim wyraził „raczej luźne przypuszczenia”, iż „w pewnych warunkach” utworzenie armii polskiej na obszarze okupacji sowieckiej „mogłoby się stać aktualne”. Co do „wycofania się wobec lorda Halifaxa” — to min. Zaleski dopiero 27 czerwca wieczorem mógł oświadczyć Prezydentowi, iż załatwił sprawę memoriału „z możliwie najmniejszym uszczerbkiem dla powagi rządu polskiego”, wyjaśniając Halifaxowi, że jest to „tylko luźny projekt”, całkowicie uzależniony od tego, czy Rosja znajdzie się w stanie wojny z Niemcami i czy udzieli gwarancji, że opuści okupowaną wschodnią część Polski. Nie mógł już jednak min. Zaleski przekreślić całkowicie sprawy „delegata polskiego przy ambasadzie brytyjskiej w Moskwie” i uzyskał tyle tylko, iż delegat ów nie mógł mieć charakteru oficjalnego.

Poważniejszy jeszcze błąd tkwi w zbyt pochopnym twierdzeniu p. Okulicza, jakoby „wycofanie się wobec lorda Halifaxa” zamykało ten „epizod”. Nie! — bynajmniej nie zamykało jeszcze. Gen. Sikorski przybył z Francji do Anglii z bardzo poważnym obciążeniem — zaprzepaszczanie wojska, skandaliczna ewakuacja, utrata złota Banku Polskiego. W tym obciążeniu szukać trzeba powodów, dla których Prezydent Raczkiewicz 18 lipca 1940 r. odwołał gen. Sikorskiego z „urzędu prezesa Rady Ministrów” i powierzył misję utworzenia nowego rządu min. A. Zaleskiemu. W liście do Sikorskiego z 18 lipca Prezydent wymienił kilka motywów swej decyzji — wśród nich fakt samowolnego wstrzymania przez Sikorskiego depezy Prezydenta do króla Jerzego — oraz „tajny memoriał”, określony tu przez Prezydenta jako złamanie przez Sikorskiego jego państwowej wagi bez porozumienia się z Prezydentem Rzeczypospolitej”. Sikorski na tę udzieloną mu dymisję, odpowiedział zamachem; przebieg tego zamachu i okoliczności, wśród których Sikorski utrzymał się jednak na stanowisku premiera, — utrwa-

lone zostały w liście Prezydenta z 19 lipca, odwołującym misję, powierzoną min. Zaleskiemu:

"Wieczorem — stwierdzał tutaj Prezydent — przybył do mnie gen. broni Sosnkowski i wyraził przekonanie, że wobec możliwości nieobliczalnych następstw, kryzys winien być zlikwidowany, zważywszy w szczególności, że u Pana Ministra, w jego biurze w ambasadzie w Londynie, zjawił się szef Sztabu Głównego płk. Klimecki, w towarzystwie dwóch innych oficerów sztabowych, i oświadczył Panu, że jeżeli Pan nie zaniecha tworzenia nowego rządu, to korpus oficerski wyciągnie stąd najdalej idące konsekwencje. W obliczu tej sytuacji gen. Sosnkowski doradził mi ponowne mianowanie gen. Sikorskiego prezesem Rady Ministrów, po ustaleniu pewnych warunków, postawionych przeze mnie, i zaproponował w tej sprawie mediację pomiędzy Prezydentem R.P. i gen. Sikorskim"...

Stwierdzić należy jednak, że to nie tylko gen. Sosnkowski uratował Sikorskiego w tym kryzysie rządowym; o wiele skuteczniejszą — decydującą — była dyskretna "życzliwa rada" Anglików...

Niemniej jaskrawym brakiem w szkicu p. Okulicza — w fragmencie o tym memoriale — jest całkowite pominięcie kwestii inicjatywy i odpowiedzialności. Nikt nie potrafiłby usprawiedliwić postępowania gen. Sikorskiego brakiem czasu czy środków technicznych dla skomunikowania się z Prezydentem bodaj. Sięgnę i tu — dla przykładu — po parę również nieujawnionych dotąd faktów: oto Prezydent Raczkiewicz 18 czerwca 1940 na pokładzie "Arethusy", a więc w warunkach technicznych bez porównania uboższych niż te, jakie miał czy mógł mieć do swej dyspozycji gen. Sikorski w Londynie, — nawiązuje i utrzymuje kontakt z pozostałymi jeszcze na lądzie członkami rządu — i to nie tylko przez łącznika w osobie min. Frankowskiego, ale także przez gen. Osińskiego, wysłanego w tym celu do Bordeaux i Libourne. Co więcej — nazajutrz, 19 czerwca, Prezydent — wciąż jeszcze na pokładzie zakotwiczonej "Arethusy" — pobiera decyzję o doniosłym znaczeniu państwowym. Postanawia mianowicie — na wypadek swej śmierci i w razie niemożności objęcia urzędu Głowy Państwa przez uprzednio wyznaczonego następcę, gen. Sosnkowskiego, pozostającego jeszcze na obszarze, zagrożonym przez inwazję niemiecką — wyznaczyć nowego ewentualnego następcę; decyzja ta utrudniona jest przez brak bliższych wiadomości o wielu ludziach; nie wiadomo — kto zdołał już i kto zdąży jeszcze ująć przed zalewem niemieckim. Po dwóch prawie dniach bezskutecznych poszukiwań, Prezydent 19 czerwca w wyborze swym zatrzymał się przy osobie Edwarda Raczynskiego, który — jako ambasador polski — przebywał stale w Londynie. Zarządzenie Prezydenta, wyznaczające amb. Raczynskiego na ewentualnego następcę, podpisane zostało w obecności amb. Kennarda i tegoż jeszcze dnia drogą radiową przekazane do Londynu.

I kwestii inicjatywy w sprawie memoriału nie stawia p. Okulicz wyraźnie. Z marginesowych tylko uwag jego wynikać się zdaje, iż byłby on skłonny przypisać inicjatywę stronie brytyj-

skiej. Sprawa to do rozwikłania bardzo niełatwa, bo dotąd tonąca w gestej mgie — wypadnie nam też poczekać jeszcze spory szmat czasu, aż wypłyną z ukrycia niezbędne świadectwa i dowody. Świadectwem do dziś jedynym właściwie jest relacja prof. St. Strońskiego, ogłoszona w kilka tygodni po ukazaniu się szkicu p. Okulicza i chyba bez związku z tym szkicem.") Według relacji prof. Strońskiego — 19 czerwca r. 1940, po przylocie Sikorskiego z Francji i na pół godziny przed jego rozmową z Churchilllem — St. Litauer wręczył Sikorskiemu napisaną po angielsku notatkę — z pomysłem tworzenia armii polskiej w Rosji. Obecny przy tym amb. Raczynski notatkę tę ocenił negatywnie — i to w sposób bardzo ostry. Sikorski zgodzić się miał z tą surową oceną, ale przecież polecił Raczynskiemu notatkę przepracować i ująć "w sposób właściwy". Przepracowana tegoż dnia, 19 czerwca, złożona została w formie "aide-memoire" lordowi Halifaxowi. Prof. Stroński w swej relacji ogranicza się do stwierdzenia tylko tych faktów. Z celowym też lekceważeniem mówi prof. Stroński o kontaktach sowieckich Litauera, który — przy wręczeniu swej notatki Sikorskiemu — powołał się na przedstawiciela Tassa p. Rothsteina, jako na "źródło pomysłu". Oczywiście, — prof. Stroński ma rację, że korespondent agencji prasowej nie jest figurą zbyt wysoką. Ale — kto powierzchownie choćby zna sowiecką technikę rządzenia, ten pewny być może, iż p. Rothstein nie ośmieliłby się nigdy działać z własnej inicjatywy — bez wyraźnej instrukcji z Moskwy. Nieopatrznie przez prof. Strońskiego ujawniony szczegół prowadzić musi wprost do supozycji, że inicjatorem w sprawie memoriału był Kreml i że cała ta historia wiąże się z faktem, że — jak wiemy skądinąd — Moskwa w tym już czasie po cichu i w ukryciu przygotowywała tworzenie oddziałów polskich, mających z czasem ujawnić się jako armia Berlinga. Sikorski, tak zręcznie złapany na sowiecką wędkę, miał — na pewno mimowoli — przez swój memoriał zabiegi sowieckie w tym kierunku ułatwić. A Anglicy? — i ich rola w tej sprawie? Jeśli Moskwa — przez Rothsteina i Litauera

*) Zob. artykuł St. Strońskiego pt. "Amnestia" w londyńskich *Wiadomościach* nr. 34/229 z 20. VIII. 1950. Znacznie wcześniej, bo kilka lat temu z rewelacjami w sprawie tego memoriału wystąpił (w broszurze *Zmierch Londynu*, Warszawa, kwiecień, 1945) Stefan Litauer, od czasów przedwojennych jeszcze londyński korespondent P.A.T., a w r. 1940 i przez związków korespondentów prasy obcej w Londynie; podejrzewano go już wówczas i od dawna o ukryte kontakty z ambasadą sowiecką, a późniejsze wypadki całkowicie usprawiedliwiły te podejrzania. Na str. 11 swej broszury mówi Litauer: "memoriał opracowywał Sikorski razem ze mną i sam byłem po tym pośrednikiem w przekazaniu tego memoriału czynnikiem sowieckim", — i stwierdza, że działo się to w listopadzie r. 1939, w kilkudniowym okresie pierwszej oficjalnej wizyty Sikorskiego w Londynie. Jest to — jeśli o termin chodzi — oczywiście pomyłka, i prof. Stroński w swej "Amnestii" — w spóźnionej polemice z Litauerem, słusznie dowodzi, że w listopadzie 1939 "ani mowy o czymś takim nie było" i — na dowód — powołuje się na świadków w osobach min. Zaleskiego, amb. Raczynskiego i Ciechanowskiego, towarzyszących Sikorskiemu w jego listopadowych rozmowach z lordem Halifaxem.

— dotrzeć umiała do Sikorskiego, to dlaczego-by nie miała szukać i dlaczego nie miałyby znaleźć drogi i do Anglików?...

Pozwoliłem tu sobie na pokazanie "epizodu z memoriałem" w szerszym ujęciu — we wszystkich jego odgałęzieniach — nie po to tylko, by "przy okazji" rzucić garść szczegółów nowych, nieznanych, — i w miarę możności uporządkować ten wycinek wojennej naszej historii. Nie! — bo w moim przekonaniu epizod ten jest pierwszą, a więc tym bardziej zasługującą na baczną uwagę fazą w stopniowej ewolucji wojennej polityki brytyjskiej w stosunku do polskiego sojusznika. Wszystko, co później — w ciągu pięciu następnych lat — narastało powoli, jako wyraz tej ewolucji, — a więc nie tylko coraz większe lekceważenie w spychaniu polskiego sojusznika na dalszy plan i w negliżowaniu jego praw i interesów, ale też coraz jaskrawsze dążenie do podporządkowania tych praw i interesów celowi brytyjskiemu przy pełniejszej gotowości do składania kosztem Polski ofiar Moskwy dla jej pozyskania czy ugłaskania, — wszystko to tkwi korzeniami w tym właśnie epizodzie, wszystko ujawnia się już tutaj i nawet mocno dźwięczy.



Drugą fazą był "pakt Sikorski-Majski" Zatrzymam się tu przede wszystkim przy okresie wstępnym, obejmującym dwa tygodnie — od 18 czerwca do 4 lipca, 1941 r. Nie sądzę, by po artykule p. Okulicza trzeba było przedstawiać przebieg zdarzeń w tej fazie. Toteż ograniczam się do wprowadzenia kilku nie poprawek, lecz uzupełnień. A więc — nie mówi p. Okulicz nic o konferencji, jaka już 21 czerwca — przy udziale członków rządu — odbyła się u Prezydenta Raczkiewicza: postanowiono tu, że "zasadniczym postulatem porozumienia z Sowietami będzie powrót do status quo przed 17 września 1939 r.". Nic również nie mówi p. Okulicz o stanowisku Prezydenta Raczkiewicza w tej wstępnej fazie rokowań. Dorzucę więc, że — gdy 22 czerwca gen. Sikorski zawiadomił Prezydenta, iż Anglicy wywierają już nacisk w kierunku natychmiastowego rozpoczęcia rokowań i że w związku z tym on — Sikorski — zamierza wygłosić przemówienie przez radio — Prezydent zażądał przedstawienia mu tekstu tego przemówienia przed jego wygłoszeniem; nazajutrz też — po śniadaniu i na konferencji w hotelu Rubens — uznał przygotowany tekst za "zasadniczo zgodny ze swoim stanowiskiem", zażądał jednak skreślenia w nim ustępu, ujętego w formie "obietnicy przyjaźni w razie uwzględnienia postulatów polskich" — i usunięcia w ogóle wszystkiego, co mogłoby dać Moskwy podstawę do "prób uregulowania stosunków bez uwzględnienia zasadniczego postulatu polskiego". Nie wolno tu też nie wspomnieć o drobnym może, ale bardzo wymownym incydencie w związku z tym przemówieniem: gdy uzgodniony już z Prezydentem tekst przemówienia przesłany został do Foreign Office do wiadomości — minister Eden zwrócił się z prośbą o skreślenie fragmentu o złym traktowaniu przez Sowietów ludności polskiej, spotkał

się jednak ze stanowczą odmową Prezydenta; po Edenie wszakże interweniował u Sikorskiego Churchill; Sikorski nie potrafił tej interwencji uchylić, i tekst, uzgodniony z Prezydentem i polską Radę Ministrów, samowolnie zmienił "scieniowawszy" go odpowiednio do sugestii Churchilla. Nie wiem jak zareagował na to Prezydent Raczkiewicz. Dokumenty jakie mam, mówią tylko, że nazajutrz, 24 czerwca, Prezydent zalecał Sikorskiemu, by "cierpliwie wyczekał" oświadczenia ze strony Moskwy i by nie angażował się osobiście w pertraktacje, które prowadzić winien min. Zaleski lub amb. Raczyński. Dorzucę tu — w uzupełnieniu — jeszcze jeden szczegół, również bardzo wymowny: p. Okulicz w szkicu swoim przytacza przemówienie Churchilla z 22 czerwca, pełne niehamowanej radości z powodu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i pozyskania nowego alianta w Rosji; dłuższy wyjątek z tego przemówienia zamyka p. Okulicz uwagą, że premier brytyjski pominął tu zupełnie "zagadnienie Polski w nowej sytuacji". Pan Okulicz przeoczył, że Churchill powiedział tu także, iż pierwsze walki niemiecko-sowieckie toczą się "na ziemi sowieckiej". Ani słowa nie mówi p. Okulicz o natychmiastowej reakcji min. Zaleskiego, który już nazajutrz — 23 czerwca — był u Edena, by zaprotestować przeciwko takiemu uznaniu polskich kresów za "ziemię sowiecką"; Eden w odpowiedzi swej — oświadczył, że Churchill przemówienie swe wygłosił bez porozumienia się z Foreign Office. Poza tym — w wyniku teje wizyty min. Zaleskiego — min. Eden zobowiązał się do "nie zawierania żadnych wiążących zobowiązań z Sowietami bez uprzedniego porozumienia się z rządem polskim". Wreszcie — pisząc o tej wstępnej fazie rokowań całkowicie zapominał p. Okulicz o gen. K. Sosnkowskim, który już 22 czerwca — w liście do gen. Sikorskiego — przedstawił swój "pogląd na sytuację, wytworzoną przez wybuch wojny niemiecko-sowieckiej". Przecistawiając się szeroko wśród Anglików rozpowszechnionemu, a podzielanemu także przez Sikorskiego przekonaniu o kruchości militarnej Moskwy i o nieuniknionej, nawet szybkiej jej klęsce w starciu z Niemcami — gen. Sosnkowski, proroczo niemal — ostrzegał Sikorskiego:

"Przyjmując hipotezę może najbardziej prawdopodobną, że Rosja Sowiecka, grając liczbą, obfitym stosunkowo sprzętem, wreszcie przestrzeżeniemi, — nie da się szybko rozbić i że wojna niemiecko-sowiecka przeciągnie się i utrwali w czasie, — liczyć się należy z potrzebą powzięcia przez nas zasadniczych decyzji — tym bardziej, że w tym kierunku niechybnie wywierac będzie nacisk rząd brytyjski".

Współdziałanie Polski z Sowietami w wojnie przeciw Niemcom uważał gen. Sosnkowski za możliwe, a nawet wskazane, pod warunkiem jednak, że Moskwa

"w drodze formalnej umowy zobowiąże się do przywrócenia i uznania granic Polski z r. 1939"

— i że umowa taka zagwarantowana będzie przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone, skoro tylko te ostatnie "przystąpią do

wojny, na co prawdopodobnie długo czekać nie będziemy". Gen. Sosnkowski przewidywał tu ponadto konieczność zawarcia z Moskwą umowy, która by całkowicie uregulowała "sytuację ludności polskiej, deportowanej z ziem okupowanych w głąb Rosji". Współdziałanie wojenne Polski z Sowiecami powinno się — według gen. Sosnkowskiego — wyrazić w stworzeniu z jeńców wrześnieowych i ludności polskiej, powołanej pod broń, oddziałów wojskowych, jako "samodzielnej armii polskiej, sprzymierzonej i suwerennej, podległej rządowi polskiemu i polskiemu nacelnemu wodzowi". W zakończeniu swego listu ostrzegał gen. Sosnkowski, że

"współdziałanie wojenne z Rosją Sowiecką może mieć kierunek ze wschodu na zachód, nigdy zaś odwrotny, przynajmniej o ile chodzi o terytorium kraju; działania na tyłach armii niemieckiej, z terytorium kraju, należy bezwzględnie wykluczyć, gdyż przy niewielkich stosunkowo korzyściach mogłoby dać ono w wyniku całkowite zniszczenie żywych sił kraju i narodu, tak potrzebnych Polsce na końcową fazę dziejowej rozprawy z Niemcami"...



Dorzuciwszy tyle tylko do obrazu wstępnej fazy rokowań — stwierdzić muszę, że uzupełnień — w sensie ciężaru gatunkowego znacznie poważniejszych — wymagają dwa następne rozdziały szkicu p. Okulicza, omawiające przebieg negocjacji w trzytygodniowym okresie — od 4 do 29 lipca. I tu chodzi głównie o niedomówienia i luki w stanowisku, a więc i odpowiedzialności czołowych postaci polskich — Prezydenta Wł. Raczkiewicza, gen. K. Sosnkowskiego, min. A. Zaleskiego i samego gen. Sikorskiego. Przedstawię tu przede wszystkim szereg wystąpień gen. Sosnkowskiego, o którym p. Okulicz mówi tak mało, że właściwie — nie mówi prawie nic. A więc w liście swoim z 16 lipca 1941 r. do gen. Sikorskiego gen. Sosnkowski uważa, że "deklaracja w sprawie granic" musi się "znaleźć" w tekście umowy politycznej polsko-sowieckiej; sprawę tę ocenia jako "arcykapitałną" i "stanowiącą warunek sine qua non normalizacji stosunków polsko-sowieckich"; proponował tu też następujące brzmienie dla punktu pierwszego umowy: "Rząd sowiecki w sprawie granic pomiędzy R.P. a Z.S.R.R. uznaje stan prawny z lipca r. 1939"... W liście do Prezydenta Raczkiewicza z tegoż 16 lipca dawał gen. Sosnkowski raz jeszcze wyraz swemu "niezłomnemu przekonaniu", że "nieodzownym i kardynalnym warunkiem współdziałania naszego z Sowiecami jest niedwuznaczne stwierdzenie przez nich w pierwszym punkcie umowy politycznej, że uznają co do granic status quo sprzed 1 września r. 1939" — przy czym taka polsko-sowiecka umowa winna być "zagwarantowana przez W. Brytanię oraz w odpowiedniej chwili przez Stany Zjednoczone": "jest to tym bardziej konieczne, że Rosja Sowiecka stała się sprzymierzeńcem W. Brytanii i ma zasiadać, jako pełnoprawny partner przy stole konferencji pokojowej"; w przekonaniu gen. Sosnkowskiego "gotowość Rosji unieważnienia umów z Niemca-

mi nic nam nie daje pod względem prawnym". Stwierdza w tym liście gen. Sosnkowski dalej, że nie zna przebiegu rozmowy z Majskim w dniu 11 lipca, ale że 14 lipca dowiedział się w polskim M.S.Z., iż Moskwa w sprawie granic jest "nieustępliwa" i upiera się "przy zasadzie etnograficznej". — "Po bytności mojej u Pana Prezydenta 14 lipca br. popołudniu miałem długą rozmowę telefoniczną z premierem (Sikorskim), komunikując mu swoje zastrzeżenia i obawy i stwierdzając, że nawiązanie do (według Sikorskiego — "niepopularnego" w Anglii) traktatu ryskiego jest zbędne, że w umowie wystarczy krótka formuła, a mianowicie, iż w sprawie granic rząd Z.S.R.R. uznaje stan prawny z lipca r. 1939". Gen. Sikorski uznał słuszność tej argumentacji i "niezwłocznie" wprowadził odpowiednio zmiany w brzmieniu pierwszego punktu polskiego projektu umowy. "Wczoraj — pisał w zakończeniu listu gen. Sosnkowski — odbyłem dłuższą rozmowę z premierem, w toku której oznajmił mi on, że tego dnia uzyskał całkowitą zgodę min. Edena na stanowisko polskie" w sprawie granic z r. 1939". "Umowa ta — stwierdzał tu jeszcze gen. Sosnkowski — zaangażuje w sposób całkowity wobec Kraju odpowiedzialność polityczną i moralną każdego członka rządu. Wiem, że nikt lepiej od Pana Prezydenta nie odczuje mego niepokoju w tej sprawie oraz że nikt lepiej nie zrozumie ewentualnych decyzji osobistych, które zmuszony byłbym powziąć w razie, gdyby tak zasadnicza dla Polski sprawa została załatwiona w sposób niejasny lub połowiczny, pod naciskiem okoliczności, choćby skądinąd bardzo ważkich"... W cztery dni po tym liście, choć zupełnie niezależnie od niego — 20 lipca — gen. Sikorski zwrócił się do gen. Sosnkowskiego z propozycją ewentualnego wyjazdu do Moskwy na "stanowisko ambasadora" i "przewodniczącego Komisji Wojskowej", a to "ze względu na wielką doniosłość tej sprawy, oraz ze względu na wielkie trudności, które staną przed naszym reprezentantem w Rosji". Na propozycję tę gen. Sosnkowski odpowiedział bezzwłocznie, tegoż 20 lipca:

"Gorąco pragnę służyć Ojczyźnie na najtrudniejszym choćby posterunku, nie mogę nie podkreślić jednak, że przysły ambasador na pewno nie będzie w stanie wyreczyć rządu w niektórych podstawowych punktach, a więc — w sprawie niedwuznacznego uznania przez Sowiety granic Polski sprzed września 1939 r., a — co za tym idzie — i w sprawie definicji, kogo uważać należy w stosunkach wzajemnych za obywatela państwa polskiego. Bez rozstrzygnięcia tych spraw w umowie polsko-sowieckiej — kreowanie ambasady jest przedwczesne, a sytuacja każdego obywatela Polski będzie nijaka. Brak tych punktów w umowie pozostawia sprawę granic otwartą, a nawet więcej — stanowi z góry wyrażoną zgodę rządu polskiego na dyskutowanie z Sowiecami w przyszłości tego terytorialnego status quo, z jakim Polska weszła do wojny"...

Nazajutrz po wymianie tych listów — 21 lipca — na posiedzeniu Rady Ministrów gen. Sosnkowski mówił:

"Jestem zwolennikiem normalizacji stosunków rosyjsko-polskich, ale — koniecznym i minimalnym warunkiem tej normalizacji jest

uznanie przez Rosję status quo sprzed września 1939 r. i wyrównanie głównych choćby krzywd, popełnionych przez agresję i jej skutki. Formuła, polegająca na tym, że Rosja wyrzeka się umów z Niemcami z r. 1939, — nie załatwia sprawy w znaczeniu prawnym. Umowy te ipso facto przestały istnieć z chwilą napaści niemieckiej na Rosję. Amb. Majskij w toku pertraktacji nie krył się wcale z tym, że rząd sowiecki tzw. unieważnienie tych umów wiąże z trzema tezami: że Rosja nie może uznać granic Polski z r. 1939, że w sprawie granic Rosja stoi na stanowisku etnograficznym, — że Rosja pragnie porozumienia polsko-sowieckiego z pozostawieniem sprawy granic — otwartej. U podstaw szczerego porozumienia polsko-sowieckiego leżą winien warunek: Rosja musi uznać za niebyły sam fakt agresji z 17 września przez uznanie status quo wraz z wszystkimi stąd wynikającymi skutkami prawnymi, a więc przede wszystkim łącznie z uznaniem, że ci wszyscy, którzy byli obywatelami polskimi przed wrześniem, są nimi nadal. Zawarcie umowy polsko-sowieckiej bez tego uznania ze strony Sowieców byłoby z naszej strony jakby zalegalizowaniem napaści sowieckiej, przyjęciem do wiadomości praw lub co najmniej pretensji sowieckich do naszych kresów wschodnich i pośrednią rezygnacją z pewnej, znacznej ilości obywateli państwa polskiego. Nie sądzę, aby rząd polski mógł uzyskać sankcję opinii publicznej dla takiej polityki... "Nota brytyjska, jaka ma być wystosowana w związku z ewentualnym podpisaniem umowy polsko-sowieckiej, stanowi właściwie powtórzenie znanych deklaracji, składanych już poprzednio w mowie i na piśmie rządowi polskiemu. Novum do pewnego stopnia stanowi wzmianka o możliwości zmian terytorialnych za dobrą wolą i zgodą obu zainteresowanych stron. Nie jest to rozwiązanie dla nas pomyślne. Pierwszą próbkę dobrej woli sowieckiej oglądamy właśnie obecnie, po tylu zbrodniach, popełnionych wobec Polski, która pierwsza wyciągnęła rękę do zgody. Tym, którzy chcieliby powiedzieć, że — realnie rzeczy ujmując — sprawy naszych granic na wschodzie czy chcemy, czy nie chcemy wyłonią się podczas konferencji pokojowej, że jest to tym bardziej pewne teraz, gdy Rosja jest aliantem W. Brytanii, — tym, którzy mówią, że kosztem ustępstw na wschodzie możemy okupić stokroć ważniejsze zdobycze na zachodzie — tym odpowiemy z góry: być może, że tak będzie, ale dlatego tym bardziej ważne jest, aby przed konferencją przywrócić prawny stan posiadania naszego na wschodzie. Tak mówi rozum czysto praktyczny. Ma wreszcie duże znaczenie fakt, że podczas obrad pokojowych rząd polski będzie w ciągłym i bezpośrednim kontakcie ze społeczeństwem. Nad wszystkim jednak góruje dzisiaj взгляд zasadniczy: nie może rząd polski kłaść podpisu swego na akcie, który w pośredni i okólny choćby sposób kryje w sobie uszczuplenie stanu posiadania i praw, jakie miała Polska, przystępując do wojny"...

Wreszcie — 22 lipca — w liście do Sikorskiego, oceniając najnowszy, kolejny projekt układu — a raczej jego punktu pierwszego — "niewątpliwie lepszy" od poprzednich, stwierdza gen. Sosnkowski, że

"po długim i męczącym namyśle" przyszedł do przekonania, iż i ten nowy tekst nie rozstrzyga jednak "wszystkich ważnych i istotnych wątpliwości, którym dałem wyraz na ostatnim posiedzeniu rady ministrów" — "chodzi mianowicie o to, czy formuła nowa odbiera rządowi sowieckiemu możliwość operowania plebiscytami, dokonanymi na terenach okupowanych, słowem — czy podpis, położony przez rząd sowiecki na umowie, będzie oznaczał z jego strony rezygnację z zasady etnograficznej w sprawie granicy polsko-sowieckiej. Jeżeli nie — to już przy praktycznym załatwieniu sprawy jeńców i deportowanych możemy się spotkać z wykładnią sowiecką, stwarzającą dla nas sytuację pod każdym względem niemożliwą, której nie będzie w stanie rozwiązać żaden ambasador, skoro nie zostanie ona jasno i ponad wszelką wątpliwość rozstrzygnięta przez sam tekst umowy"..." "Proszę Pana

Generała — pisał tu Sosnkowski dalej — by wedle swego uznania zechciał zakomunikować treść mego pisma pp. ministrom. Zwracam się jednocześnie do naszego Szefa Rządu z apelem o wzięcie pod rozwagę moich uwag i wykorzystanie swego olbrzymiego autorytetu wobec rządu W. Brytanii dla spowodowania odpowiednich zmian zarówno w tekście samej umowy, jak i w tekście ważnej dla nas brytyjskiej noty gwarancyjnej, która — po skreśleniu ostatniego ustępu — powinna zawierać zdanie, że rząd brytyjski nie uznaje żadnych zmian terytorialnych, dokonanych w Polsce od początku wojny i w czasie jej trwania"...

Te przezorne ostrzeżenia gen. Sosnkowskiego nie były głosem jedynym. Zastosowana przez Sikorskiego technika rokozań, odstąpienie jego od zasadniczego postulatu polskiego, bezradna jego ustepliwość wobec konsekwentnego uporu Moskwy i "życziwych" nacisków angielskich — wywołują kategorię zastrzeżenia i sprzeciwu Prezydenta Raczkiewicza, min. Zaleskiego i ministra Seydy. Stanowisko ich przedstawię jeszcze niżej. Tu stwierdzę tylko, że należące do koalicji rządowej Stronictwo Narodowe z T. Bieleckim na czele wypowiadało się stanowczo przeciwko projektowanemu brzmieniu układu, w Komitecie Zagranicznym P.P.S., należącej również do tzw. stronnictw rządowych, z 9 jego członków czterech — Tomaszewski, Pragier, Ciołkosz i Ciołkoszowa — wypowiadało się przeciw zamiarom Sikorskiego. W odłamie "opozycyjnym" opinii publicznej zastrzeżenia i sprzeciwu najpoważniejsze padały ze strony licznych "piśsudczyków", wielu też najwybitniejszych polskich publicystów — w W. Brytanii i Ameryce — z Ign. Matuszewskim na czele usiłowało powstrzymać Sikorskiego przed tym jego krokiem. Przeciwni paktowi występują pisma takie jak "Wiadomości Polskie" i "Myśl Polska" — oraz olbrzymia większość niezależnej prasy polskiej w Ameryce. Silniejszą jednak od polskiej okazała się dla Sikorskiego połączona presja angielsko-sowiecka. Ulega jej ostatecznie 24 lipca, godząc się na projekt układu z triumfującą w nim tezą sowiecką tylko o unieważnieniu traktatów zawartych z Niemcami. W niewyzyskanym i niewspomnianym przez p. Okulicza liście do Prezydenta Raczkiewicza z 29 lipca pisał o tym Sikorski:

"W czwartek 24. VII. 1941 — po długich i żmudnych rokowaniach zawiadomił mnie p. Eden, jakie brzmienie układu ambasador Majskij w Londynie, na podstawie swych porozumień się z Moskwą, gotów jest przyjąć. Przyjąłem wówczas tę podstawę umowy zgodnie z doradą p. Edena. Jednakowoż przyrzekł mi on w myśl mego żądania, że będzie się jeszcze starał dodatkowo uzyskać w Moskwie, przez ambasadora Crippsa, zmiany dodatnie. Uznałem utrzymanie dobrego porozumienia z rządem brytyjskim w tych rokowaniach za najistotniejsze"...

Ale — nie czekając na wynik tych dodatkowych zabiegów Crippsa — Sikorski, już popołudniu 24 lipca postanawia wydać nazajutrz wieczorem "wielki obiad" w hotelu Savoy, by — jak sam stwierdza w tymże cytowanym liście do Prezydenta —

"zetknąć całą radę ministrów i przewodniczących stronnictw z min. Edenem, aby utwierdzić go w jego żywej i czynnej przychylności dla naszego stanowiska i wzmocnić stanowczość jego dalszych starań w Moskwie".

Zamiast narzucających się tu komentarzy własnych — sięgnę po niewyzyskany przez p. Okulicza dokument w postaci "notatki" gen. Sosnkowskiego z 27.VII. 1941:

"24 lipca popołudniu — stwierdza tu generał — zawiadomiono mnie o zaproszeniu premiera na obiad z min. Edenem o godz. 7 wieczorem dnia następnego. O godz. 10 wieczorem tegoż dnia telefonowałem do dr Retingera zapytaniem, co oznacza obiad i czy odpowiedź sowiecka na projekt układu już nadeszła? Dr Retinger odparł, że odpowiedzi nie ma, a obiad ma na celu zwykłe nawiązanie kontaktu. Dnia następnego o godz. 11... min. Stańczyk powiedział mi, że odpowiedź zawiera odmowę rządu sowieckiego na poprawki polskie, że nadeszła ona dnia poprzedniego o godz. 5-ej po południu, i że min. Stańczyk — zwolennik podpisania — był poinformowany o tym bezpośrednio po nadejściu odpowiedzi. Przed posiedzeniem rady ministrów premier (Sikorski) poprosił do siebie mnie i min. Zaleskiego, zawiadamiając, że: 1) jest odmowa bolszewików, pomimo to podpisać musimy, on jest na to zdecydowany, 2) uprzedza nas, że musimy głosować za podpisaniem, — 3) jeżeli będziemy głosować przeciw, to on nie będzie mógł kontynuować dalej marszu. W toku rozmowy merytorycznej, jaka się wywiązała na temat sytuacji, ja m. in. oświadczyłem, że — jeśli chodzi o mnie — to ostrzeżenie premiera jest zbędne, albowiem sam nie uważałbym za możliwe pozostawanie w rządzie, po podpisaniu zlej wedle mego zdania umowy"...

Na posiedzeniu rady Ministrów — w głosowaniu nad angielsko-sowieckim projektem polsko-sowieckiego układu — min. Sosnkowski, Zaleski i Seyda wypowiadają się stanowczo przeciw przedstawionemu brzmieniu.

"Po radzie ministrów — stwierdza gen. Sosnkowski w swej notatce dalej — we trzech ustaliliśmy: 1) że wspólnie zanotyfikujemy naszą decyzję Prezydentowi, — 2) że nie pójdziemy na drugie posiedzenie rady ministrów, zwołane na godz. 6-tą min. 15 przed obiadem w lokalu hotelu Savoy, gdzie miał się później odbyć obiad, przy czym celem posiedzenia miało być jedynie danie czasu do namysłu nam, oponentom, — 3) że od Prezydenta wyślemy listy dymisyjne do premiera, — 4) że na obiad nie pójdziemy. Motywem nie pójścia na obiad była świadomość, że nie chodziło o to, aby rząd w obliczu tragicznej sytuacji dopomógł premierowi w przekonaniu min. Edena, że podpisanie jest niemożliwe, przeciwnie — w zestawieniu faktów, w szczególności zaś z faktu, że zatajono przed nami trzema nadejście odpowiedzi, że premier przed posiedzeniem rady ministrów dokonał pod naszym adresem przytoczonego wyżej ostrzeżenia — wynika, że chodziło o coś zgoła innego, mianowicie o nacisk ministra brytyjskiego na mniejszość rządu, dokonywany razem z większością tegoż rządu. Sytuację powyższą uznaliśmy wszyscy trzej za niemożliwą i narażającą na szwank naszą godność narodową. Z faktu, że decyzja zwołania rady ministrów powzięta była dopiero na godzinę przed posiedzeniem, a zaproszenia na obiad rozesłano dnia poprzedniego po południu, z faktu wreszcie, że zatajono przed nami trzema nadejście odpowiedzi — zdaje się wynikać uzasadnione przypuszczenie, że na obiedzie miała być zastosowana wobec oponentów taktyka zaskoczenia"...

Uszczuplona rada ministrów — w składzie Sikorski, Haller, Kot, Stańczyk, Strasburger i Stronński — zebrała się jednak na powtórne posiedzenie w hotelu Savoy o godzinie 18-ej i po uchwale, przyjmującej angielsko-sowiecki projekt układu — udała się na "wielki obiad" wydany dla min. Edena. Po powzięciu takiej decyzji wyrosła kwestia udzielenia przez Prezydenta

R.P. pełnomocnictwa dla premiera do podpisania traktatu. Sikorski chce, by "uroczystość" podpisania odbyła się już 28 lipca. Ale Prezydent Raczkiewicz — wobec "niezabezpieczonych praw terytorialnych Polski" pełnomocnictwa nie udziela. Sikorski odpowiada na to zwołaniem uszczuplonej rady ministrów z udziałem przewodniczących stronnictw, popierających rząd — i przeprowadza tu uchwałę, oskarżającą Prezydenta o "naruszenie ustalonego trybu postępowania władz państwa na obczyźnie" czyli o złamanie warunków tzw. "umowy paryskiej", — i uchwałę tę osobiście doręcza Prezydentowi, ten jednak odrzuca ją jako bezprawną, powołując się przy tym m. in. na ustąpienie z koalicji rządowej Stronnictwa Narodowego i na rozdźwięk opinii P.P.S. W tym też czasie — w nocy z soboty na niedzielę 26/27 lipca nadeszły od amb. Crippsa uzyskane tam przez niego w rozmowie ze Stalinem i Mołotowem "dodatnie zmiany" w projekcie. Sprowadzały się one właściwie do niewiążącego Moskwy dodatku w artykule 1 projektu o unieważnieniu umów z Niemcami słów: "dotyczące zmian terytorialnych w Polsce" oraz do wprowadzenia nowego, a skandalicznego terminu "amnestia" w stosunku do obywateli polskich. Sikorski, w cytowanym tu już liście do Prezydenta z 29 lipca, przedstawiając "osiągnięte ostatecznie załatwienie" — uważa, że układ, na takich podstawach zawarty, będzie "godny i korzystny". "Sądzę — pisze dalej do Prezydenta Sikorski — że zbędne byłoby wykazywanie: 1) jak błędny był podstawowy pogląd pp. ministrów, odmawiających mi zaufania, że rząd brytyjski wywiera na nas nacisk jednostronny, bez troski o nasze słuszne żądania, a wskutek tego — i ich skłonność do pójścia na zatarg z rządem brytyjskim, 2) jak błędny był drugi ich pogląd podstawowy, że umowa jest ze strony Sowietów tylko pokrywką, bez zamiaru jakiegokolwiek zadośćuczynienia naszym głównym żądaniom, a wskutek tego ich wyraźna niechęć do zawarcia umowy, 3) jak błędne było zrywanie jedności rządu i wzajemnego zaufania w chwili tak doniosłego zadania, a wskutek tego najostrejsze podniecenie rozterek i nieufności wśród części emigracji londyńskiej, które na szczęście nie znalazły zgoła dostępu do wojska. A w takich chwilach i w takich sprawach trzeba mieć poczucie odpowiedzialności nie za niektóre tylko, ale za wszystkie strony i dziedziny działań i oddziaływań. Szczerze zaś cieszę się, że dane mi jest tym członkom rządu i przedstawicielom stronnictw, którzy nie odmówili mi swego poparcia w tej trudnej pracy, nie odpłacać zaufania zawodem, ale wynikami dodatnimi. Nie mogę tańc, że szczególnie dotkliwy był dla mnie brak trwałego poparcia w tej sprawie ze strony Pana Prezydenta. Załatwienie to rozstrzyga o losie kilkuset tysięcy obywateli polskich w duchu naszych największych pragnień. Umacnia pozycję Polski na terenie międzynarodowym. Nasze granice wschodnie stawia mocniej wobec świata — przez oświadczenie rządu brytyjskiego — niż to było kiedykolwiek"...

Donosząc tu, — 29 lipca — że "data podpisania układu zo-

stała ustalona na środę 30 lipca" i prosząc Prezydenta o "podpisanie aktu pełnomocnictwa" — Sikorski tegoż dnia, 29 lipca, przeprowadza na radzie ministrów uchwałę, zapowiadającą, że traktat z Moskwą zostanie podpisany w ustalonym terminie nawet w tym wypadku, jeśli nie będzie jeszcze pełnomocnictwa Prezydenta, a na śniadaniu "Foreign Press Association" z udziałem Edena i Majskiego, oświadcza publicznie, że porozumienie polsko-sowieckie "zostało osiągnięte" i że "Polska może podpisać układ na honorowych podstawach"... Prezydent Raczkiewicz — w ciągu tych paru dni najostrzejszego napięcia — w rozmowach z Sosnkowskim i Zaleskim waży sprawę swego ustąpienia z urzędu Głowy Państwa na znak protestu. Powstrzymywany przed tym krokiem — 30 lipca w godzinach przedpołudniowych bada jeszcze i stwierdza, że nadeszłe ostatnio od Crippsa "poprawki dodatnie" nie pociągnęły za sobą żadnych zmian w stanowisku polityków, przeciwnych traktatowi w jego brzmieniu, — i żąda jeszcze — bezskutecznie! — by Sikorski termin podpisania przesunął bodaj o kilka godzin, aż nadejdzie oczekiwana deklaracja rządu Stanów Zjednoczonych. W tej sprawie — w niewyższanym przez p. Okulicza liście do gen. Sikorskiego z 8.VIII.1941 pisał Zaleski:

"Pismem z dnia 19 lipca 41 r. l. dz. 1522/VIIa/41 zechciał pan premier polecić mi "podjęcie odpowiednich kroków" celem pozyskania rządu Stanów Zjednoczonych dla deklaracji, podobnej do deklaracji rządu brytyjskiego, złożonej z okazji podpisania umowy polsko-rosyjskiej. Deklaracja amerykańska mogłaby nawiązać do uznania naszych granic z 1923 r. W wykonaniu tego polecenia pana premiera, które uważałem za zupełnie słuszne, zwróciłem się osobiście do amb. Biddle'a, który sugerował mi załatwienie sprawy przez p. amb. Ciechanowskiego, obiecując poparcie. Wysłałem więc odpowiednie instrukcje do Washingtonu. W odpowiedzi nadeszła depecha z 30 lipca, otrzymana 30 lipca, w której p. amb. Ciechanowski zakomunikował mi treść zaproponowanej przez Departament Stanu gwarancji, zresztą znacznie lepszej od uzyskanej od rządu angielskiego. Ponieważ jednak — nie czekając na odpowiedź amerykańską, pan premier podpisał umowę z Rosją, więc — naturalnie — dowiedziawszy się o tym, rząd St. Zjednoczonych wycofał się z danej obietnicy, o czym p. amb. Ciechanowski zatelegrafował dnia 31 lipca"...

Ale — 30 lipca, o godz. 15 m. 45 zjawił się u Prezydenta Raczkiewicza amb. brytyjski Dormer z notą werbalną, mówiącą, że: 1) rząd brytyjski jest przekonany, że traktat polsko-sowiecki jest sprawiedliwy i leży w interesie zwycięstwa Polski i sojuszników, 2) dzięki temu traktatowi jeńcy polscy otrzymają "amnestię", 3) katastrofą dla Polski będzie, jeśli traktat zostanie odrzucony i dobrodziejstwa, które niesie dla Polski, zostaną utracone, 4) opinia świata, a w szczególności opinia W. Brytanii, nie będzie mogła zrozumieć, jak rząd polski mógł odrzucić traktat, tak dla Polski korzystny, 5) z tych względów sekretarz stanu dla spraw zagranicznych (Eden) spodziewa się, że Prezydent R. P. zaangażuje cały swój wpływ na to, by poprzeć gen. Sikorskiego przy podpisaniu układu...

Ten — niezwykle w dziejach dyplomacji akt presji obcego

rządu na Głowę Państwa sojuszniczego — nie wywołuje oczekiwanych kroków ze strony Prezydenta Raczkiewicza. Nie powstrzymuje to wszakże Sikorskiego — w ustalonym terminie przyjeżdża on do Foreign Office i pod zycieliwym przewodnictwem Churchilla podpisuje wraz z Majskim układ, wypracowany przez Edena, Crippsa, Stalina i Mołotowa. Prezydent Raczkiewicz — dowiedziawszy się o tym z komunikatu radiowego — wraca do myśli o swym ustąpieniu i w nocy z 30 na 31 lipca pisze do Sikorskiego długi list, zakończony decyzją rezygnacji z urzędu. I teraz jednak powstrzymano Prezydenta przed tym krokiem. List napisany nie został wysłany. Nie ma o tym żadnej wzmianki w artykule p. Okulicza. Wobec tego przytaczam tu ten niewysłany list Prezydenta w całości:

"Panie Generale! Gdy we wrześniu 1939 r. najazd wrogów państwa polskiego zalewał nasz kraj, mój poprzednik na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej rzucił nakaz, stwierdzający, iż "z przejściowego potopu uchronić musimy uosobienie Rzeczypospolitej i źródło konstytucyjnej władzy". Na podstawie art. 24 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej wyznaczony zostałem następcą na urzędzie Prezydenta R.P., a przez ten akt zachowana została ciągłość państwa polskiego oraz dana możliwość dalszego prowadzenia wspólnie ze Sprzymierzonymi walki z Niemcami do zwycięskiego końca. Obejmując urząd Prezydenta R.P. złożyłem dn. 30 września 1939 r. uroczystą przysięgę: "praw zwierzchniczych państwa bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować... zło i niebezpieczeństwo od państwa odwracać, a troskę o jego dobro za naczelny poczytywać sobie obowiązek." Dnia 30 listopada 1939 r. oświadczyłem, że w ramach konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z prezesem rady ministrów — z chwilą utworzenia rządu jedności narodowej na szerokiej podstawie reprezentacji wszystkich stronnictw i partii. Przez okres blisko dwuletni współpracowałem z rządem i dążyłem zawsze do utrzymania jedności narodowej, gdyż zarówno ja, jak i rząd "uważamy się — według tegoż oświadczenia — za mandatariuszy kraju na okres wojny". Podkreślam, iż wszystkie stronnictwa, reprezentowane na obczyźnie, delegowały swych przedstawicieli do rządu, jednocząc się we współpracy w dzieło odzyskania niepodległości. Zasadniczy rozdzźwięk wywołała sprawa układu polsko-sowieckiego. Trzej członkowie rządu, a wśród nich przedstawiciele stronnictwa, reprezentującego poważną odłam opinii kraju, ustąpili z rządu, gdyż treść tego układu w mniemaniu tych ministrów, jak i moim, nie odpowiadała słusznym i uznanym prawom, o jakie walczy Polska, dążąca do odzyskania należnego jej w przyszłym układzie sił stanowiska. W notatce z dn. 28 lipca b. r., złożonej mi przez Pana Generała w obecności przedstawicieli trzech stronnictw, Pan Generał stwierdza, iż stanowisko moje wobec układu polsko-sowieckiego "udaremnić-by mogło załatwienie najdonioślejszych spraw państwa" i że "stanowisko to jest naruszeniem ustalonego trybu postępowania prawnego władz państwa na obczyźnie". Stwierdzam wobec tego, że oświadczenie moje z dn. 30 listopada 1939 r. ustalało działanie moje w porozumieniu z prezesem rady ministrów w ramach konstytucji i w niczym nie mogło mi narzucać decyzji niezgodnych z moim sumieniem. Ponadto — dn. 25 lipca br. odpadła podstawa, na jakiej był utworzony rząd, przez ustąpienie przedstawiciela jednego ze stronnictw ze stanowiska ministra. Ustąpienie trzech członków rządu pozbawiło go charakteru rządu jedności narodowej. Pan Generał sam stwierdza w swoim piśmie do mnie z dn. 29 lipca br. fakt "zerwania jedności rządu i wzajemnego zaufania" na tle układu polsko-sowieckiego. Wobec wytworzonej sytuacji — dążyłem do przywrócenia jedności rządu i do tego czasu odmawiałem swojej aprobaty dla układu, sądząc, iż

Pan Generał tak zasadniczą sprawę dla przyszłości państwa zechce załatwić na dotychczasowej podstawie — w łonie gabinetu, reprezentującego wszystkie najpoważniejsze stronnictwa polityczne — i w ścisłym porozumieniu z Prezydentem R.P., który w myśl art. 11 konstytucji "harmonizuje działania naczelnych organów państwowych", a w myśl art. 12 konstytucji "zawiera i ratyfikuje umowy z innymi państwami" i "stanowi o wojnie i pokoju". Pan Generał — nie odkładając podpisania układu do czasu uzgodnienia całości rządu — pominał w swym działaniu opinię Prezydenta R.P., zastrzeżenia trzech członków rządu i fakt obalenia jego dotychczasowej podstawy, jedności narodowej, reprezentującej przeważającą większość zorganizowanej opinii publicznej. Pan Generał — w konsekwencji — wbrew podstawowym prawom państwa podpisał układ na własną i nieprzewidzianą w ustawie konstytucyjnej odpowiedzialność, pozbawiając go legalnej podstawy. Ustawa konstytucyjna — źródło naszego legalnego bytu na gruncie międzynarodowym i nieprzerwanej ciągłości państwa polskiego — obarcza Prezydenta Rzeczypospolitej "odpowiedzialnością wobec Boga i historii za losy państwa", a do jego naczelnych obowiązków zalicza "troskę o dobro państwa, gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata". Stwierdzam, że rozważyłem głęboko i w sumieniu moim nie znalazłem w tych warunkach aprobaty dla treści układu polsko-sowieckiego, a przez to nie udzieliłem pełnomocnictw do podpisania tego układu. Uważam nadal, że prawa moralne i formalne Polski, świadomość słuszności tych praw powinna i będzie na przyszłość przyswiecać działaniom naszym, gdyż dzięki tym prawom i nieugiętej ich obronie naród polski przetrwał najcięższe chwile, wychodząc z nich zwycięsko. Świadom odpowiedzialności wobec Boga i historii za losy państwa — rzekam się urzędu Prezydenta R.P., wierząc głęboko, że decyzja moja, powzięta w imię najwyższych interesów narodu i państwa, da w przyszłości mocniejszą podstawę do uznania bez zastrzeżeń i przez wszystkich naszych praw do integralności i pełnej restytucji państwa polskiego. Ufam, że mój następca — chroniony majestatem Rzeczypospolitej i prawem konstytucyjnym — poprowadzi naród ku wielkiej i szczęśliwej przyszłości"...

Nie tylko ten niewysłany list, ale w ogóle postawę Prezydenta w całej tej sprawie usiłowano utrzymać w jak najgęstszym cieniu, starano się też wytworzyć i utrwalić wrażenie, że kryzys zamyka się w "niewielkich", a więc i "nieważnych" ramach zatargu mniejszości rządowej z jego większością. Nie ma tu już miejsca do rozwijania tej kwestii. Dorzucę tylko jeszcze dwa dokumenty. Pan Okulicz w szkicu swoim cytuje dość obszernie list min. Zaleskiego z 23 sierpnia 1941 z oceną podpisanego paktu, przez który "postawiony został przez kontrahenta i przez czynników trzecie znak zapytania nad naszymi granicami wschodnimi". Odsyłając w tym wypadku Czytelnika do "Niepogległości", tu zacytuję — w wyjątkach — pominięty przez p. Okulicza inny list min. Zaleskiego do gen. Sikorskiego z 8 sierpnia r. 1941, gdzie czytamy:

"Co do mego udziału w pertraktacjach, to nie będę się o nich rozchodzić. Sam fakt, że pp. Majski i Eden woleli prowadzić je z Panem Generałem, niż ze mną, wskazuje wyraźnie na to, kto był skłonniejszy do ustępstw... Co do samego układu, to nie będę tu powtarzał argumentów, które przytoczyłem na Radzie Ministrów, gdzie stwierdziłem, że jestem zwolennikiem "dobrego" układu z Rosją, ale że układ "zły" będę zwalczał wszelkimi prawnymi sposobami, jakie mam do dyspozycji... Mowa p. Majskiego przy podpisywaniu umowy oraz dyskusja w parlamencie angielskim nad całością tzw. gwarancji angielskiej są wystarczającym potwierdzeniem moich słów. Poza tym — cała bez

wyjątku prasa angielska i rosyjska jednogłośnie nie szczędzi Panu Generałowi pochwał za to, że "otworzył" Pan sprawę granic wschodnich Polski, a koroną Pańskiego "sukcesu" stał się artykuł "Times'a" z 1. VIII. br., który zaleca powrót do kongresu wiedeńskiego z 1815 r... Pan i Pańscy zwolennicy twierdzą w pięknych frazesach, że Pan nie oddał "ani piędzi ziemi polskiej". Ależ tego Panu nikt nie zarzuca!... Otworzył Pan jedynie sprawę granic wschodnich, puszczając ją na flukta dyskusji konferencji pokojowej, pomimo, że w chwili podpisywania traktatu p. Majskiej, jak to twierdził od początku pertraktacji, powiedział Panu wyraźnie, że będą one określone na zasadzie plebisycytu. Przez to postawił Pan pod względem prawnym sprawę naszych granic wschodnich tak, jak stała ona przed podpisaniem traktatu w Rydze, nie uzyskując wzamian za to nawet angielskiej obietnicy popierania naszych praw w chwili ostatecznej rozgrywki... Politykę zagraniczną Państwa można opierać bądź na siłę, bądź na prawie. Siły Polski obecnie są znikome, a prawa jej stopniowo zaczyna Pan Generał wymieniać za cenę popularności u Anglików. Oto podłoże prawdziwe różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Pańską a moją polityką... Nie mam w całej swej przeszłości politycznej ani jednego faktu, którego musiałbym żałować. A i teraz służę sprawie polskiej według najlepszych moich możliwości i wiedzy. Jak służbę tę wykonuję, osądzi historia. Nie chcąc dalej dzielić z Panem odpowiedzialności za złą historię dla kraju działalność, podałem się w dn. 25 lipca br. do dymisji"...

"Pokłosiu" — głosom obcym, jakie rozległy się nazajutrz po podpisaniu układu, reakcjom opinii polskiej na emigracji i w kraju oraz próbom zatuszowania prawdy, poświęca p. Okulicz ostatnie strony swego szkicu. Nie sądzę, by uwagi p. Okulicza można było uznać za wystarczające. Bo — według mnie — w "pokłosiu" tym kryją się elementy jeśli nie ważniejsze, to co najmniej tak samo ważne, jak i w przebiegu rokowań o ten nieszczęsny pakt. A więc — min. Eden — przemawiając w parlamencie — ocenia układ jako "zdarzenie historyczne" i stwierdza, że związana z nim nota brytyjska nie pociąga za sobą "żadnej gwarancji granic Polski"... Prasa angielska wartość układu widzi w tym, że pozwala on Anglikom "z czystym" sumieniem umyć ręce w sprawie zagadnienia polsko-rosyjskiego"; "gdyby nie było tego układu — byłibyśmy zobowiązani, po zwycięstwie nad Niemcami, oderwać pozostałe prowincje polskie od naszego sprzymierzeńca rosyjskiego — osiągnięte porozumienie polsko-sowieckie miłosiernie oszczędza nam tego obowiązku" (tyg. "Truth"). Benes — w radiowym przemówieniu do swego kraju — z nieukrywana radością zapowiada "bezpośrednie sąsiedztwo" Czechosłowacji z Rosją!... Nie mniej wyraźnie brzmiał głos Moskwy — z początku w artykułach "Izwestji" i "Prawdy" — później w słynnych notach Narkomindielu w sprawie Wilna i Lwowa oraz w sprawie obywatelstwa osób, pochodzących z obszaru okupacji sowieckiej. Rząd Sikorskiego — w odpowiedzi na to — stara się ukryć prawdę — zataić przed opinią fakty i dokumenty, świadczące nie o tendencjach już, ale o otwartych aneksjonistycznych żądaniach Moskwy. Równoległe do takiego zatajania prawdy — rząd Sikorskiego w deklaracjach swoich trwa uparcie przy jak najbardziej optymistycznej interpretacji zarówno "gwarancji" brytyjskiej (wbrew oświadczeniu

Edena w parlamencie) — jak i układu podpisanego z Majskim — mimo not Narkomindiełu!... Co więcej — rząd, reklamując układ jako "wydarzenie dziejowej miary" — prowadzić zaczyna propagandę na rzecz Rosji — tak, że niezależna prasa polska w Ameryce postawić musi pytanie — "czy Moskwa nie ma swoich własnych ambasadorów?"... Najdalej posuwa się tu szef rządu — gen. Sikorski, w czasie swoich wystąpień w Stanach Zjednoczonych.

Przykuty do szkicu p. Okulicza, mogłem i musiałem — w ślad za nim — zbadać bliżej tylko punkt pierwszy umowy lipcowej, najważniejszy, bo przesądzający sprawę naszych granic na wschodzie. Trzy pozostałe punkty umowy — ich brzmienie, i fakty, z nich wynikające czy z nimi związane, — wymagałyby również szerszego przedstawienia. Z konieczności jednak ograniczę się tu tylko do "protokołu", dodanego do układu lipcowego, a zapowiadającego udzielenie "amnestii" obywatelom polskim, którzy po wrześniu r. 1939 zostali "pozbawieni swobody na terytorium Z.S.R.R.". W szkicu p. Okulicza znajdujemy o tej "amnestii" tylko dwie — z kilku słów złożone — wzmianki. Za to prof. Stroński poświęca tej sprawie długi fragment swego — cytowanego tu już — artykułu w londyńskich "Wiadomościach". Przypisuje tu prof. Stroński, że użycie wyrazu "amnestia" było "niewłaściwe" i nawet "niechlujne"... Tylko tyle?... P. Stroński figlarnie do prawa nastrojony — rozgrzesza siebie, Retingera, Sikorskiego oraz pociesza swoich czytelników, że użycie tego

"niewłaściwego" wyrazu nie było "szkodliwe" i "niebezpieczne" — "jedynę niebezpieczeństwo byłoby włączeniu z tym wyrażeniem zdradliwego wniosku, że są to obywatele sowieccy, a nie polscy, gdyż amnestii udziela się prawidłowo własnym obywatelom"... "Jakżeż — zapytuje p. Stroński — rząd sowiecki mógłby następnie powoływać się na to, jako na dowód, że dotyczyło to obywateli sowieckich? — nigdy a nigdy to wyrażenie w takim duchu nie zagrało, ani nawet lżej nie brzdękło: było niechlujne, ale bez znaczenia prawnego i bez złych następstw"...

Myli się jednak pan prof. Stroński — i świetna jego pamięć w tym wypadku nie dopisuje mu wyraźnie. Przypomnę mu więc o nocie, jaką dnia 16 stycznia r. 1943 otrzymał rząd polski:

"Rząd Z.S.S.R. stoi na stanowisku granic zachodnich Z.S.S.R. z r. 1940. Granice te są zgodne z wolą ludów, wyrażoną przez odpowiednie głosowania. Granica ta zgodna jest zatem także z zasadami Karty Atlantycznej. Co więcej — wedle zdania rządu Z.S.S.R. — w układzie z dn. 30 lipca r. 1941 rząd polski uznał to stanowisko za słuszne, wyrażając swoją zgodę na udzielenie przez rząd Z.S.S.R. amnestii byłym obywatelom Polski. Zdaniem rządu Z.S.S.R. przyjęcie w układzie z 30. VII. 1941 terminu "amnestia" całkowicie uzasadnia w sensie prawnym stanowisko Z.S.S.R. w sprawie linii granicznej, bowiem żadne państwo nie może udzielać amnestii obywatelom innego państwa. Wyrażając tedy swą zgodę na udzielenie przez rząd sowiecki amnestii byłym obywatelom państwa polskiego — rząd polski, zdaniem rządu Z.S.S.R., uznał, że wymienieni stali się obywatelami Związku Sowieckiego, a tym samym uznał granicę z r. 1940"...

Nota ta została wręczona rządowi polskiemu i przesłana do wiadomości wszystkim innym rządów sojusznicy. Rząd polski notę sowiecką odrzucił i powiadomił o tym również wszystkie rządy sojusznice... A pan minister Stroński o tym zapomniał!...

Na zakończenie głos Ignacego Matuszewskiego:

"Trzeba zdać sobie sprawę, że ten kawałek papieru, zatytułowany "nota do rządu polskiego", jest wyrokiem śmierci dla miliona z górą Polaków w Rosji... Pomimo wszelkich usiłowań — spośród dwóch milionów zesłańców i jeńców polskich, wyostało się z Rosji do Persji tylko około 200 tysięcy osób. Reszta — została w Rosji. Setki tysięcy już w grobie, milion — na drodze do mogił!... Sowiety notą swoją usiłują zatrzasnąć nad jeszcze żywymi Polakami w Rosji wieko trumny... Oto koniec polityki, opartej na "zaufaniu do Stalina"!... Oto epilog z traktatu, zawartego dla "ocalenia Polaków w Rosji"!... Oto — skutek "historycznych decyzji", pobieranych wśród oklasków obcej widowni bez zastanowienia się, że historyczna odpowiedzialność istnieje naprawdę"...

Pisałem w Paryżu, w listopadzie-grudniu 1950.

Władysław POBÓG-MALINOWSKI

NIEMCY O "L'OFFENSIVE POUR LA POLOGNE"

Po wysłaniu do redakcji "Kultury" artykułu mego pt. "L'offensive pour la Pologne", który ukazał się w poprzednim numerze tego miesięcznika, wpadł mi w ręce artykuł napisany przez niemieckiego generała S. Westaphala*, dotyczący m. i. sprawy niedoskiej ofensywy francuskiej we wrześniu 1939 r. Generał Westaphal pracował przed wojną przez przeszło 3 lata w operacyjnym oddziale Sztabu Generalnego wojska niemieckiego w Berlinie, w roku zaś 1939-40 był oficerem sztabu na froncie zachodnim. Fakty więc i opinie przez niego podane są szczególnie miarodajne dla naswietlenia ze strony niemieckiej zagadnień, związanych z wrześniowymi działaniami wojennymi na froncie zachodnim, które omówiłem w moim artykule. Dlatego uważam za celowe podanie pokrótce tej części jego wywodów, które wskazują, jakie możliwości wojenne dała Francji polska kampania wrześniowa i jakie znaczenie dla całości wojny mogła być ofensywa francuska, gdyby była przeprowadzona we wrześniu 1939 roku.

Oto w wielkim skrócie treść odnośnych ustępów artykułu niemieckiego generała.

Przeciwko Polsce użyli Niemcy ponad 80 procent czynnych wielkich jednostek, które posiadali w 1939 roku. Na froncie zachodnim, od Bazyli do Akwizgranu, pozostawili jedynie 8 pełnowartościowych, czynnych dywizji. Poza tym znajdowało się tam około 32 dywizji rezerwowych i "Landwehry". Te dywizje nie były jednak gotowe do działań bojowych. Składały się one głównie ze starszych roczników, ponad 40 lat, do tego jeszcze niedostatecznie przeszkolonych. Dywizje Land-

* Was the German Army prepared for war in 1939?, by General Siegfried Westaphal. The English Review Magazine, November 1949.

wehry były poza tym źle wyekwipowane i słabo uzbrojone — miały np. jedynie po 3 baterie artylerii zamiast 12-tu. Formowanie ich było opóźnione i szło bardzo opornie. Np. dywizja rezerwowa, którą formował gen. Westaphal, a która uchodziła za jedną z najlepszych, osiągnęła stacje załadowcze dopiero w 14 dni po mobilizacji.

Linia Zygryda była niewykończona i nie była wskutek tego do obronienia.

Ze słabości Niemców na froncie zachodnim nie zdawał sobie jednak sprawy widocznie naczelny wódz francuski. Musiał on poważnie przecenić siłę linii Zygryda. Nie ma bowiem — zdaniem gen. Westaphala — innego wytłumaczenia beczynności wojsk francuskich we wrześniu 1939 r. Gdyby było ono wówczas uderzyło zdecydowanie, byłoby przełamało pozycje niemieckie i doszło do Renu, a przy czynnym zachowaniu się lotnictwa francuskiego i brytyjskiego miałyby dość czasu na opanowanie całej zachodniej Nadrenii. Na skutek tego Hitler na pewno nie mógł by wykonać w 1940 roku swej wielkiej ofensywy przeciw Holandii, Belgii i Francji, a nawet zajęcie Norwegii i Danii byłoby prawie niemożliwe do przeprowadzenia. Ogólne położenie strategiczne Niemiec skomplikowałoby się wskutek tego w bardzo wysokim stopniu.

Wnioski końcowe ujmuje generał Westaphal w następujący sposób: "Jednym słowem, silny atak francuski we wrześniu 1939 roku, ... nadałby całkowicie inny wygląd drugiej wojnie światowej i miałyby decydujący wpływ na jej przebieg, rozmiary i długość. Tego rodzaju ofensywa, która sama przez się byłaby pomogła polskim sprzymierzeńcom, nie została podjęta". — "Tak przepadła jedyna okazja, która mogła zadecydować o innym losie Europy, na samym początku drugiej wojny światowej."

Wacław STACHIEWICZ
Gen. Bryg.

EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim
poświęcone sprawom Europy Środkowej
i wschodniej, Rosji oraz Bliskiego Wschodu.

Numer styczniowy 1951 r. zawiera między innymi artykuły: Jana Libracha — *Europe's Forgotten Area*. Slobodan Yovanovitscha: — *Tito and the Western Powers*. D. N. Ciotori'ego — *After Five Years*. R. Wragi — *Russian Emigration after Thirty Years*. N. Dolapchieva — *The Communisation of the Bulgarian Army*. Edige Kirimala — *The Tragedy of Crimea*. P. Dallide'a — *Bolshevik Influence upon Western Political Philosophy*. V. Nanushviliego — *The Way to Peace*, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd ostatnich wydawnictw.

Cena: 3/- za pojedynczy egz. (post free, Air Mail extra).

Wydawca: The Morven Press Limited,
32, Bolton Gardens, London S. W. 5 England.

Książki

Amerykański poeta kontemplacyjny

U schyłku 19-go wieku wielki powieściopisarz amerykański, Henry James, zaczął pisać cykl powieści i opowiadań, w których przeciwstawiał amerykański i europejski sposób życia, odczuwania i myślenia. Wśród tych powieści jedną z pierwszych była powieść "Amerykanin". Tytuł jej pochodzi od bohatera, sympatycznego, energicznego, przedsiębiorczego amerykańskiego businessman'a, który będąc na wakacjach w Europie zakochuje się w młodej Francuzce, ze starej arystokratycznej rodziny. Rodzinne intrygi jej krewnych uniemożliwiają małżeństwo młodej pary. Rozgoryczona, składa ślub milczenia i wstępuje do klasztoru Karmelitanek jako zakonnica. Niezależnie od tego co amerykański bohater myśli o jej życiu, pełnym wyrzeczeń i umartwień ciała w ciągu tych długich lat w których będzie żyła, stając się dla niego i dla świata, który zdecydowała się opuścić tylko wspomnieniem i głosem w niewidzialnym, ale wciąż obecnym chórze, jego przerażenie, jego zdumienie, zupełny brak sympatii dla tej ofiary, są zaiste typową postawą wielu Amerykanów wobec katolickich zakonów kontemplacyjnych gdzie zakonnice i zakonnicy składają tak surowe śluby. Mamy skłonność uważać takie klasztory niemal za obozy koncentracyjne dokąd ludzie idą dobrowolnie z powodów, których nie możemy ani zrozumieć ani pochwalać.

Młody amerykański Trapista, Thomas Merton, brat Maria Ludwik z klasztoru Najśw. Marii Panny Getsemańskiej w Kentucky, opowiada w swojej historii trapistowskiego zakonu, książce pt.: "Wody Siloe", która jest obecnie bestsellerem w Ameryce, o tym jak niewielu rdzennych Amerykanów dotychczas czuło to powołanie. W ciągu pierwszych trzydziestu lat istnienia zakładu Trapistów w Stanach Zjednoczonych tylko ośmiu rdzennych Amerykanów wstąpiło do klasztoru jako nowicjusze i wszystkich ośmiu albo uciekło po krótkim tam pobycie, albo otrzymało dyspensy zwalniające ich ze ślubów. Zdawało

się, że Amerykanie nie są zdolni do katolickiego życia kontemplacyjnego.

Ale w roku 1885 cowboy z Texasu, John Green Hanning, wstąpił do klasztoru Trapistów w Gethsemani jako braciszek i został zakonnikiem. Aczkolwiek kilka lat później wystąpił z zakonu Trapistów, zrobił to z zupełną zgodą swoich przełożonych, bo poświęcił wtedy całą swoją wiarę i energię cięższemu nawet zadaniu w kolonii trędowatych na Oceanie Spokojnym, gdzie grupa katolickich zakonników opiekowała się nieuleczalnie chorymi. Od tej daty począwszy liczba rdzennych Amerykanów, którzy złożyli śluby jako Trapiści i pozostali w zakonie, stale rosła. Obecny opat Gethsemani jest na przykład rdzennym Amerykaninem. Zdaje się, że amerykański katolicyzm uległ naprawdę dużym zmianom od końca 19-go wieku. Chociaż nadal w mniejszości, katolicy amerykańscy są dziś liczniejsi i lepiej zorganizowani niż katolicy wielu narodów, które wyznają oficjalnie wiarę katolicką. Amerykański Kościół katolicki nie jest już placówką na dalekim kontynencie, ale zajmuje miejsce centralne w całym Kościele. Amerykańskie towarzystwa dobroczynności działają w całym świecie a ich misje są czynne od Chin do Niemiec.

Ta wzmocniona aktywność katolickiego kościoła amerykańskiego zagranicą jest tylko częścią ogólnego rozwoju, znajdującego również wyraz w działalności kościoła w Ameryce. Amerykański Kościół, częściowo w wyniku wzmoczonej imigracji katolików z Europy, z Kanady i z Ameryki Łacińskiej, częściowo również w wyniku bliższych i częstszych związków z katolickimi zakonami i organizacjami w całym świecie, bierze udział w działalności rozwijanej przez katolików w innych krajach. Chociaż w większości wypadków działa zgodnie z teologiczną tradycją, zalecającą zdobywanie zbawienia raczej poprzez dobre czyny, niż przez kontemplację i Łaskę, Kościół amerykański idzie również w kierunku życia kontemplacyjnego i może się dzisiaj poszczycić rosnącą liczbą klasztorów; zakonnicy i zakonnice pielęgnują tam inną tradycję, raczej tradycję modlitwy za świat istniejącej poza murami, niż opieki nad chorymi i wychowania młodzieży.

Niewielu Amerykanów wiedziało o tym rozkwicie kontemplacyjnego katolicyzmu w Ameryce 20-go wieku z jej wzmoczoną przemysłową i handlową ruchliwością, która tak często zdaje się zaprzeczać wszelkim wartościom duchowym. Jednak w ostatnich latach utworzy niewielkiej liczby amerykańskich katolickich pisarzy kontemplacyjnych i mistyków zwróciły uwagę na to zjawisko i równocześnie otworzyły wielu czytelnikom oczy na poważny zasób literatury kontemplacyjnej również w innych dziedzinach amerykańskiego życia. Poezja Tomasza Mertona i siostry Mary Madileva (katolicka zakonnica, dała się ostatnio poznać również jako poetka), wyróżnia się jedynie na tle współczesnej poezji amerykańskiej przez jej przywiązanie do dogmatów. Poezja ta, nie będąc katolicka, hołduje tym samym czy

podobnym duchowym wartościom. Poezja Mertona może na przykład pomóc nam (ponieważ jej dogmaty są niedwuznaczne i bardziej znane), w zrozumieniu kontemplacyjnej treści wierszy Wallace Stevens'a. Stevens nie jest katolikiem; myśli i pisze w duchu tradycji, mniej powszechnie dostępnej i w ten sposób jego czytelnicy nieraz są zaskoczeni, zwłaszcza jeżeli nie umieją rozpoznać kontemplacyjnej istoty jego filozofii. Filozofia ta jest oparta na epikurejskim i atomistycznym pesymizmie nawiązującym raczej do Lukrecjusza, Heraklita i Lao-Tse, niż do filozofów chrześcijańskich, z których ideami wszyscy, chociaż często nieświadomie, jesteśmy lepiej obeznani. Można lepiej zrozumieć zasadniczo kontemplacyjną istotę poezji Wallace Stevens'a i szeregu innych wysoce indywidualistycznych współczesnych amerykańskich poetów, porównując ich dzieła z poezją ich katolickich kolegów, których medytacje idą bardziej utartymi ścieżkami zachodniej filozofii.

Literatura kontemplacyjna i mistyczna nie jest bynajmniej całkowicie obca amerykańskiej tradycji, ani nie jest czymś nowym w Ameryce. Spośród wczesnych osadników purytańskich w Nowej Anglii, Anne Bradstreet (1612-1672) wyróżnia się już jako poetka kontemplacyjna w tej samej tradycji 17-towiecznych angielskich wierszy religijnych czy "metafizycznych", jakże pisali John Donne, George Herbert i Richard Crashaw. "Dzień Potępienia" długi poemat doktrynalny napisany przez Michała Wigglesworth (1621-1705) był pierwszym amerykańskim bestsellerem — od chwili jego wydania w roku 1662 aż po środek 18-go wieku: oblicza się, że jeden na 35 mieszkańców Nowej Anglii kupił egzemplarz tego poematu. Wielebny Cotton Mather (1663-1728) pozostawił nam pamiętnik, ukazujący wszystkie bolesne poszukiwania duchowe i cielesne samoudręczenia, jak również radosne mistyczne wizje i ekstazy wielkiego duchownego kalwinizmu. A Wielebny Jonathan Edwards (1703-1758) w swoich "Rezolucjach" i w takich kazaniach jak "Grzesznicy w Rękach Gniewnego Boga" dostarcza nam przykładu dowodzącego, że ta purytańska tradycja kontemplacyjna przetrwała i była owocna w środku 18-go wieku, kiedy Ameryka udzielała już tyle uwagi polityce i innym bardziej światowym zadaniom.

Również w 19-tym wieku cała grupa amerykańskich pisarzy, transcendentalistów, poświęcała wiele czasu i uwagi kontemplacji. "Essaye" Ralph Waldo Emersona, opowiadania i powieści Nathaniela Hawthorne, a zwłaszcza "Walden" Henryka Thoreau i inne pisma tego pisarza, nawet wiele ustępów w powieściach i wierszach Hermana Melville, wszystko to dowodzi, że amerykańscy myśliciele i artyści w epoce największej materialnej ekspansji ich narodu nigdy całkowicie nie zaniedbali tych tradycji rozmyślań i kontemplacji, jakie stale wzbogacały kulturę zachodnią. Jeden z największych mistrzów kontemplacji naszego stulecia Mahatma Ghandi zaczerpnął wiele swoich politycznych pomysłów walki bez gwałtu z pism Henryka Thoreau. Rozwój katolickiego życia kontemplacyjnego na ziemi ame-

rykańskiej w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat jest więc być może bardziej znamienny dla aklimatyzacji kościoła katolickiego w naszym kraju niż jakakolwiek inna wielka zmiana w amerykańskim życiu duchowym.

Purytańska społeczność w Nowej Anglii została stworzona przez mężczyzn i kobiety, szukających duchowej wolności w Ameryce. Dlatego podkreślali oni znaczenie kontemplacji w stylu życia i styl ten narzucili na długo późniejszym protestanckim imigrantom. Katolicka społeczność w Ameryce natomiast, z małymi wyjątkami była stworzona przez mężczyzn i kobiety dla których najważniejszym motywem wędrówki było poszukiwanie większej politycznej wolności i materialnego dobrobytu. Dziś jednak amerykański kościół katolicki służy wspólnocie mocno już zakorzenionej i wydającej jednostki, znajdujące więcej czasu na kontemplację. Co więcej, tradycja protestancka uległa w Ameryce wielu przekształceniom, które dzisiaj nieraz mogą zawstydić albo zniechęcić protestanta, mającego z natury skłonności do kontemplacji. Uciekając od wieży Babel rywalizujących ze sobą protestanckich kościołów człowiek kontemplacyjny, taki jak Tomasz Merton, szuka więc schronienia poprzez nawrócenie, w kościele katolickim.

Nawrócenie Mertona nie było jednak nagłym odkryciem pewności. W "Siedmiopiętrowej górze" opowiada o swych zgrzyotach, wahaniach, cierpieniach i wleczeniu. Jego autobiografia jest więc świadomą wzorowaną na "Wyznaniach" św. Augustyna: jest to osobisty pamiętnik aberracji błędów, przewyższonych częściowo dzięki niejasnej, ale stałej chęci autora aby odkryć prawdę, częściowo zaś dzięki szeregowi wypadków, które Merton tłumaczy boską opieką.

Urodzony we Francji, w r. 1915, syn Amerykanki i Nowozelandczyka, wybitnego post-impresjonistycznego malarza, Thomas Merton stracił matkę w dzieciństwie i towarzyszył ojcu w nieustannych wędrówkach malarskich aż do jego śmierci, która nastąpiła gdy Thomas był jeszcze chłopcem. Wychowany w sposób przypadkowy we Francji, Anglii i Ameryce, przyszedł poeta i Trapista zdawał się mieć wiele wolności, jak na swoje potrzeby. Jego łagodni wychowawcy unikali narzucania mu czegokolwiek, ograniczając się do opieki materialnej. Thomas Merton mógł więc swobodnie wielbić wszystkich fałszywych bogów nowoczesnej młodzieży: pięć u D. H. Lawrence'a, tu i ówdzie jakieś bliżej nieokreślone teorie psychoanalityczne, politykę u Marksa, Lenina, Stalina, jazz u Duke Ellingtona i innych półbogów roztańczonego tłumy, rozkosz w pełnych błęchtru nocnych świątyniach Broadway'u, a zwłaszcza egocentryczny indywidualizm we wszystkich kapliczkach, jakie pełen ambicji, zdolny i nieco afektowany artysta, potrafi sobie zbudować. Jak wszystkie świadome "Wyznania" czy św. Augustyna, czy Jana-Jakuba Rousseau czy nawet André Gide'a, "Siedmiopiętrowa góra" jest więc w znacznym stopniu opowieścią o walkach autora z demonami tej duchowej czy psychologicznej perwersji albo

choroby, którą psychoanalicy nazywają narcyzmem. Nawet w ostatniej części swojego pamiętnika, opowiadając jak składał ślubny jako Trapista, stwierdza, że upadł raz jeszcze, i to wchodząc właśnie w drzwi, wiodące go ku klasztornejmu życiu:

"Było tam z pół tuzina miejscowych farmerów, stojących niedaleko z kapelusami w rękach. Czekali na to, żeby pójść do spowiedzi... Kiedy przechodziłem koło jednego z nich... Poczułem nagle jakiś melodramatyczny impuls i pochyliłem się ku niemu szepcząc: Módl się za mnie... Drzwi zamknęły się za nami, pozostawiając mnie z poczuciem, że mój ostatni postępek jako człowieka świeckiego tracił wciąż jeszcze dawnym Tomaszem Mertonem, który włączył się, popisując się sobą, po dwóch kontynentach".

Takie bystre i szczere spojrzenie na motywy własnych postępów pozwalają Mertonowi przekonać nawet jego niekatolickich czytelników, zwłaszcza gdy analizuje w sposób bardziej ogólny motywy postępów innych ludzi, na przykład strach przed bólem i cierpieniem:

"Wielu ludzi, aż do chwili kiedy jest już za późno, nigdy nie rozumie tej prostej prawdy, że im bardziej ktoś stara się uniknąć cierpienia tym więcej cierpi, bo coraz mniejsze i mniej znaczące rzeczy zaczynają go dręczyć proporcjonalnie do jego strachu przed doznaniem cierpienia. Ktoś kto najbardziej stara się uniknąć bólu cierpi w końcu najwięcej; a jego cierpienie jest spowodowane przez rzeczy tak małe i tak śmieszne, iż można powiedzieć, że nie ma w tym żadnej obiektywnej racji. To jego własne istnienie, jego własna istota jest równocześnie siedliskiem i źródłem bólu, a samo istnienie i świadomość jego największą torturą".

Nie trzeba być katolikiem, aby rozpoznać bystrość i prawdę tego wstępu. Nie trzeba koniecznie się zgadzać z wnioskiem Mertona, jaki dla tych z nas co nie podzielają jego wiary pozostanie tylko ponętą metaforą:

"Jest to jeszcze jedno z tych wielkich zbroczeń, dzięki którym diabeł używa naszej filozofii aby przenieść naszą naturę i sięgnąć po nasze skłonności do dobrego, obracając je przeciwko nam samym".

Ale każdy psychiatra czy psychoanalityk, który pośród swoich pacjentów miał narkomana, wie jak nieskończone perspektywy cierpienia otwierają się bez przerwy przed człowiekiem, którego strach przed bólem wciągnął w otchłań ulegania środkom odurzającym; i jest być może jedną z oznak umysłowego i duchowego zamętu naszej epoki, że egzystencjalizm Jean-Paul Sartre'a — filozofia oparta na zasadzie tożsamości istnienia i niepokoju czy bólu — zdaje się nagle czymś oczywistym — oczom tylu czytelników, którzy nigdy głębiej nie zajmowali się filozofią.

320.000 Amerykanów kupiło wyznanie Tomasza Mertona wydane niewiele ponad rok temu i tysiące ludzi wciąż je kupuje. 70.000 czytelników kupiło również "Ziarna Kontemplacji" Mertona, mały notatnik medytacji i moralnych rozważań, o którym autor powiada, że "ten rodzaj książki pisze się w klasztorze sam, prawie automatycznie".

Jednak tylko parę tysięcy czytelników zadało sobie trud prze-

czytania trzech tomików wierszy Mertona: "Człowiek w podzielonym morzu", "Postacie dla Apokalipsy" i "Łzy ślepych lwów". W "Siedmiopiętrowej górze" autor skarży się przy końcu książki, że jego świeckie "ja", poeta od którego starał się uciec gdy wstępował do zakonu Trapistów, ma "moich zwierzchników po swojej stronie", gdyż wreszcie pozbedzie się poczucia, że sędzi brata Marię-Ludwikę, aby nie zaniedbywał pisania, chociażby jako propagandysta wiary i apologeta zakonu. "Nikt zdaje się nie rozumieć", pisze Merton zakonnik, "że jeden z nas powinien umrzeć".

Na szczęście opat z Gethsemani zdaje się być tego samego zdania co niżej podpisany krytyk: Tomasz Merton myli się kiedy dzieli swoje talenty i patrzy na siebie jak na dwie różne osoby. Może on osiągnąć doskonałość jako kontemplacyjny mistyk czy nabożny poeta, tylko wtedy, gdy przewycięża swój wstyd i wstręt do artystycznych talentów, tak długo lekceważonych i nadużywanych; gdy wreszcie pozbedzie się poczucia, że są w nim dwie osoby, z których jedna jest zbawiona, a druga potępiona. Tylko w ten sposób, godząc się w prawdziwej pokorze na właściwe używanie wszystkich swoich talentów — bo czyż przypowieść Ewangelii nie potępia służącego, który zakopał swoje talenty? — może Tomasz Merton pisać wiersze tej samej artystycznej duchowej jakości co wiersze, w jakich wypowiadali się Jacopone di Todi, święty Jan od Krzyża i Gerard Manley Hopkins.

Wiersze Mertona są nadal od czasu do czasu wyrozumowane i stylizowane, zbyt wielka jest ich zależność od liturgii i doktryny; podobnie jego proza w "Siedmiopiętrowej górze" nadal raz i nieraz wrażliwego czytelnika jako zbyt gadatliwa a nawet ekshibicjonistyczna w zachwytach nad sakramentami, modlitwami i ekstazą. Prawdziwy mistyk i doskonały poeta są zwykle, i na równi, bardziej wstrzemięźliwi. W ciszy Gethsemani Tomasz Merton musi teraz powoli nauczyć się tej wstrzemięźliwości i pozbyć się, czy to jako mistyk, czy to jako poeta, ostatnich pozostałości melodramatu i pustej retoryki. Te zdaje się zachował ze swego dawnego, odrzuconego życia i one to psują od czasu do czasu dzieło, będące już prawie zupełnie dziełem zakonnika, a nie dziełem Tomasza Mertona, który został potępiony. Jeden z najlepszych wierszy młodego Trapisty jest wierszem żałobnym, napisanym w czasie wojny, na wiadomość o śmierci młodszego brata, zabitego w akcji. Tutaj poeta, zarówno człowiek jak mnich, są, jak być powinno, nie do rozróżnienia:

*«Mój miły bracie, kiedy nie śpię w nocy
Oczy moje są kwiatami na Twój grób;
A kiedy mego chleba jeść nie mogę,
Moje posty są jak wierzby co rosną gdzieś ty padł.
Jeżeli w upał wody nie znajduję
Moje pragnienie w źródło zmieni się
Dla ciebie, biedny wędrowcze.*

*Gdzie, w jakim smutnym, zadymionym kraju
Masz to biedne ciało, zgubione i martwe?
W jakim krajobrazie kłęski i zniszczenia
Twój biedny duch zagubił drogę?*

*Chodź, w moim trudzie znajdź chwilę wytchnienia,
Wśród moich strapien głów swoją złość,
Albo bierz moje życie i bierz krew
I kup dla siebie lepsze łożo.
Albo bierz mój oddech i bierz moją śmierć
A większy spokój kupisz sobie może.»*

Wzruszenie i obrazowość takich wierszy są w sposób przekonujący powściągnięte przez smutek prawdziwego Tomasza Mertona, mnicha i poety.

Są one inne od wierszy, którym w nieporządnym sposób pozwała rozrastać się "dawny Tomasz Merton", mnich lub poeta, tak łatwo ulegający pokusie naśladowania wzorów, ambitnie przez siebie wybranych, i przesadnie popisujący się znajomością poetyckich i religijnych doktryn.

Edouard RODITI

Powojenna powieść niemiecka

Wojna wprowadza uproszczenia do naszego sposobu myślenia. W czasie wojny ustala się łatwe i przystępne dla wszystkich kryteria i nikt właściwie nie umie niepokoić się powstałymi w ten sposób schematycznymi zniekształceniami. Bo w wojnie chodzi o jasność pojęć i o jasność naszej postawy uczuciowej w stosunku do rzeczywistości, a wcale nie o jej słuszność. Systemy totalitarne różnią się od ustrojów demokratycznych tym, że uproszczeniami myślowymi operują i na nich się opierają także i w czasie pokoju. Takie ujęcie zagadnienia tego wygląda pozornie bardzo przekonująco. Wydawało by się więc, że demokracje, zmuszone okolicznościami i tylko w okresie trwającej wojny porzucają charakteryzujący je szacunek dla wszelkich indywidualnych odmienności, wyzbywają się swej szlachetności nastawień w stosunku do tego co dana osoba reprezentuje i gdy nastaje znowu pokój z uczuciem

Hans Werner RICHTER: Les Vaincus, Pierre Horay, Edition de Flore, 1950, str. 366, frs. 400. Wydanie niemieckie: Die Geschlagenen. Kurt Desch Verlag, München 1950, DM. 9,50.

Günter WEISENBORN: Mémorial, Ed. Calmann-Lévy, 1950, str. 243; wydanie niemieckie: Memorial, Kurt Desch Verlag, München 1950, str. 278.

ulgi i zadowolenia powracają do swych szlachetnych przyzwyczajęń. Tak jednak nie jest zawsze. Okazuje się bowiem, że pewne uproszczenia mogą być trwałe i odporne, oraz że czasami niechętnie tylko ustępują z obszaru, gdzie dotychczas wszechwładnie panowały. Dzisiaj, po 6 prawie latach od chwili zakończenia wojny, tutaj na Zachodzie podejmuje się walkę z uproszczeniami. Walkę tę, nie mówiąc już o terenie politycznym, rozpoczęła także literatura. Pierwszym sygnałem krucjaty tej była we Francji książka Virgil Gheorgiu "La vingt cinquième heure". Gheorgiu w swym bojowniczym zapale, w którym rzucał protest przeciwko schematycznemu traktowaniu ludzi i automatycznemu nieomal zaliczaniu Rumunów na przykład, do potępianej kategorii osób współpracujących z hitleryzmem, skazując ich w ten sposób na przebywanie w obozach koncentracyjnych, posunął się tak daleko, że stawiał znak równania między Amerykanami a Rosją sowiecką. Ale poza tą zwykłą demagogią istnieją także inne, to znaczy bardziej subtelne i wycienione wystąpienia. Mam tu szczególnie na myśli najnowszą literaturę niemiecką, m. in. dwie książki autorów niemieckich, które wyszły również w tłumaczeniu na język francuski, a którym warto — mam wrazenie — kilka słów poświęcić. Są to: Hans Werner Richter "Les vaincus" i "Memorial" Günther Weisenborna.

Obie te książki pokazują nam Niemcy w okresie, gdy rządził się w nich butnie i niezaprzeczalnie narodowy-socjalizm z całą swą teatralną, pyszną i przytłaczającą władzą. Wtedy, a nawet później, gdy już ten narodowy socjalizm leżał zdruzgotany, my wszyscy przyzwyczailiśmy się do tego, by w Niemczech w epoce tej widzieć tylko oznaki owej jego potęgi. Nawet wyprężający się w postawie na baczność jeńcy niemiecki — to był symbol narodowego-socjalizmu. Tymczasem Hans Werner Richter i Günther Weisenborn mówią nam, że obok tego panoszącego się i zakrywającego sobą wszystko hitleryzmu były także i inne Niemcy, byli ludzie, którzy nie chcieli go uznać, którzy próbowali z nim walczyć i którzy z jego powodu cierpieli. O istnieniu tych innych Niemców, przyłoczonych, zepchniętych do więzień, lub wciągniętych na równi ze wszystkimi innymi do ogromnej maszyny pędzącego narodowego socjalizmu, nie wiedzieliśmy prawie nic, bo nic wiedzieć nie mogliśmy. Bowiem te inne Niemcy zmuszone były do milczenia. Dzisiaj o istnieniu ich przypominają nam autorzy niemieccy. I robią to — przyznać się muszą — z zadziwiającą prostotą. Dawno chyba nie czytałem książek równie szczerych, uczciwych, równie pozbawionych blagi, patetycznego frazesu, propagandowego okrzyku, jak książki Richtera i Weisenborna. Ich uczciwość polega przede wszystkim na tym, że przyznają się do własnej bezsily i do tego jak nieznaczące były ich role w opozycji przeciw nazizmowi.

Obie książki te są biografiami. Richter w powieści swej występuje pod nazwiskiem Gühler. Gühler był niegdyś czynnym

komunistą, lecz występuje z partii by przyłączyć się do socjalizmu. Gühler jest zwykłym żołnierzem w czasie wojny, małym kółkiem tej ogromnej maszyny, puszczonym w ruch i wykonyującym automatycznie wszystkie rozkazy. Jego nienawiść do narodowego-socjalizmu nawet uzewnętrznić się nie może. Mimo, że myśli inaczej. Gühler nosi taki sam mundur jak tyśiące podobnych mu żołnierzy, tak samo jak oni cieszy się chwilami odpoczynku i kąpielą w niebieskim i ciepłym Adriatyku, tak samo klnie i poci się gdy bez wytchnienia każą mu maszerować, kopać schrony i dźwigać ciężki karabin maszynowy, tak samo jak oni boi się straszliwie huraganowego ognia artylerii alianckiej pod Monte-Cassino i tak samo potrafi bić się i wytrwać na posterunku do ostatniej chwili. Jego nienawiść do hitleryzmu w pośpiechu i tumulcie wojennym nie istnieje. W tym ujęciu położenia Gühlera jest już ton ogromnej szczerości. Gdy Gühler zostaje wzięty do niewoli pod Monte-Cassino przez Amerykanów wydaje się, iż teraz właśnie nastąpić powinien moment, w którym jego antyhitlerowskie nastawienia mogłyby zagrać. Lecz tak nie jest. W rozmowie z amerykańskim oficerem wywiadu Gühler przyznaje się otwarcie do swoich przekonań, lecz odmawia stanowczo odegrania roli donosiiciela i informatora. Nie chce płacić donosiicielstwem za to, że uznany zostanie za antyhitlerowca. Więc znowu jest taki jak inni wszyscy. Jedzie z całym transportem jeńców do Ameryki i umieszczony zostaje w obozie. W obozie tym stwierdza z najważniejszym zdumieniem, że szerzy się tu i wszechwładnie panuje terror uprawiany przez fanatycznych hitlerowców. Ci hitlerowcy-jeńcy nie wierzą w klęskę Niemiec, każdą najmniejszą aluzję o jej możliwości uważają za defetyzm, każde słowo niechęci wypowiedziane pod adresem Hitlera — za zbrodnię. W obozie zorganizowali oni całą sieć informatorów i szpiegów, najmniejszy ruch niezależności karzą krwawym znęcaniem się, czasami zabójstwem. Gühler i jemu podobni nie śmiały nawet pisnąć słowa. Tymczasem do obozu napływają coraz nowi jeńcy. Z Włoch, z Normandii, z południowej Francji, z Belgii. A terror hitlerowski trwa. Amerykanie o tym, co się dzieje w obozie nie wiedzą nic, rozciągnięta przez nich kontrola jest nieistotna. Poza tym dla nich — ci jeńcy — to są przecieży wszyscy hitlerowcy. Gühler z goryczą mówi o tym kilkakrotnie do swych towarzyszy. Gühler myśli, że tacy jak on przegrali wojnę dwukrotnie. Taka jest treść tej mocnej, szczerzej i przekonywującej swą prostotą książki.

"Memorial" Weisenborna ma ten sam szczery i otwarty ton, lecz sprawę "innych" Niemców ujmuje na szerszej płaszczyźnie, w formie o wiele bardziej subtelnej i literacko znakomitej. Płaszczyzna, na którą Weisenborn rzuca swe dzieje jest ogólno-ludzka. Opisywane przez niego koleje, to nie tylko los Niemca prześladowanego za odmiennosc swych przekonań przez Hitlera, lecz przede wszystkim położenie człowieka w po-

łowie 20-go wieku, człowieka, który buntuje się przeciwko przemocy i niesprawiedliwościom i który za bunt ten cierpi nieproporcjonalnie i nieludzko. Weisenborn tak dalece usuwa ze swej książki wszelkie akcenty polityczne, że do końca nie będziemy wiedzieli do jakiego ugrupowania politycznego należał, na czym polegała jego akcja antyhitlerowska, o co był oskarżony przez Gestapo i dlaczego został zaaresztowany. To samo w stosunku do większości opisywanych osób. Według Weisenborna zagadnienia te są drugoplanowe. Ważne jest to, że byli ludzie, którzy przeciwstawiali się Hitlerowi i ważne jest to, że za to cierpieli. To odsunięcie, czy przecięcie bezpośrednich korzeni ludzi z rzeczywistością daje niesłychane wzmocnienie obrazu absurdalności w cierpieniu. Daje mu także szeroką płaszczyznę.

Weisenborn w książce swej posługuje się poza tym specjalną techniką pisarską, która wywołuje znakomity i wstrząsający efekt. "Memoriał" pisany jest krótkimi fragmentami, które układają się w dwa równoległe biegnące wątki. Jeden z nich to zaaresztowanie Weisenborna, osadzenie go w więzieniu, przesłuchiwanie, proces, przeniesienie do obozu koncentracyjnego i wszystkie związane z tym przeżycia i bolesne cierpienia, a drugi, to jego życie uprzednie — wtedy gdy był wolny — bogate, kolorowe, pełne wrażliwych odczuć, podróży po całym świecie, sukcesów literackich i erotycznych, przywiązania do przyrody i artystycznego jej zrozumienia. Kontrast jest pełny i szlachetny. Przed naszymi oczami przewijają się, przeplatając się wzajemnie, obrazy tego samego człowieka, który pełen radości życia kąpał się nago w nocy w towarzystwie równie nagich jak on, wysmukłych i wysportowanych dziewczyn pod ulewnym deszczem przy oślepiającym blasku błyskawic w Wanssee, który umiał cieszyć się widokiem leniwej jaszczurki w słońcu we Włoszech, podróżami po dzikich puszczech Brazylii i spotkaniami z Indianami, a który teraz obija się jak ćma wśród czterech lodowatych ścian więzienia w Spandau, w oczekiwaniu śmierci. Za co? Za to, że osmielił się, czy próbował walczyć z niesprawiedliwością i przemocą.

Książka Weisenborna jest wspianiałym i wstrząsającym dokumentem naszej epoki. Dlatego zapewne nazywa się ona memoriałem. Ale jest ona także podjęciem walki z uproszczeniami.

Józef URSYN.

To nieprawda, Grzesiu!

(O powieści Jędrzeja Giertycha)

Świetna pisarka, Zofia Starowiejska-Morstinowa, zauważyła niedawno w "Tygodniku Powszechnym" (7 - 14 stycznia 1951), iż zasadniczym brakiem polskiej kultury jest brak sierżantów. Nie tych oczywiście, zwanych popularnie w wojsku bombowcami — dla ich zalet korpulencji i ładunku oszczędności. Sierżantów, czyli średniej klasy, twórców średniego kalibru.

"Mankament ten... jest zdaje się jedną z zasadniczych naszych luk narodowych na wszystkich piętrach i we wszystkich dziedzinach. Wiemy z historii, że nigdy nie mieliśmy wykonawców różnych genialnych pomysłów i projektów... zawsze w każdej prawie dziedzinie brakło tych solidnych, szarych a fachowych pracowników, od pracy których zależy najczęściej powodzenie genialnych planów i zamierzeń. Wiemy z doświadczenia życia codziennego, że najtrudniej u nas o dobrego technika, podmajstra, znacznie trudniej niż o tzw. "bardzo zdolnego" inżyniera. Zupełnie to samo zjawisko zachodzi w literaturze. Dzieła genialne — a obok — szmira".

Kiedy Jędrzej Giertych, człowiek pracowitości i prawości wprost przysłowiowej, przystąpił do zbierania preskrypcji na swoją trytomową powieść pt.: "W Polsce między wojnami", wydawać się mogło, iż piśmiennictwo polskie otrzyma klasyczne dzieło sierżanckie*).

Autor we wstępie do swych ładnie wydanych i tęgich (łącznie blisko 900 stron) tomów opowiada nam dzieje swej twórczości beletrystycznej. Jak z tych zwierzeń wynika, literatura piękna nie jest dla Giertycha pierwszozną, bo gdyby nie złośliwe fatum, które trawiło nieubłagane w pożarach i kataklizmach dziejowych rękopisy autora, mielibyśmy kilka niezłych powieści i dramatów. M. in. częściowo sponęła w Warszawie a częściowo utonęła na niemieckiej poczcie wielotomowa epopeja o życiu polskim pod zaborami, o której pisze autor:

"Wydaje mi się, że była to, jeśli idzie o temat, jedyna tego rodzaju powieść w literaturze europejskiej; niczego takiego nie miały ani Niemcy po Bismarku ani Włochy po Cavourze."

Chociaż więc Jędrzej Giertych we wstępie do swej powieści wyznaje, iż "uważa formę literacką za niemniej skuteczny sposób oddziaływania od formy publicystycznej", jednak jego głosno wyrażone ambicje nie pozwalają dzieła traktować pobłażliwie. Autor uważając swoje powieści za reprezentatywne wobec świata, domaga się sądu otwartego, szczerego i sprawiedliwego. Trzeci tom powieści kończy się posłowiem autora — także o sobie samym. Pisze tam Giertych:

"Robiąc korektę drukującej się książki, raz jeszcze całość od po-

*) Jędrzej Giertych: *W Polsce między wojnami* (Rodzina Pasków). Powieść, tomy I-III. Londyn, 1950. Nakładem autora.

czątku do końca przeczytałem. Uderza mnie wielka ilość słabych stron powieści — zwłaszcza ilość dłuższych i niepotrzebnego gadulstwa. Poprzednia, zaginiona wersja była dużo lepsza! Niektórych partii po prostu poznać nie mogę...

Czytelnik żałować będzie niewątpliwie, że nie dostał do rąk pierwszej redakcji, co przecież zawsze jest w granicach możliwości pisarza, ale czytelnik rzadko bywa aż tak wyrozumiały, by miał usprawiedliwiać książkę dlatego, że autor chciał ją lepiej napisać. Krytyk nie może dociekać tego, co autor pragnął napisać, lecz musi trzymać się tekstu faktycznego. Autor musi przyjąć krytykę tego, co napisał, a nie tego, co napisane nie zostało.

Giertych ma zupełną rację, iż "uderza go wielka ilość słabych stron powieści". Naszym zdaniem takich stron jest może o setkę mniej, niż liczą ich wszystkie trzy tomy. 800 stron jest "słabych", 100 stron mocnych. Literacko jest to więc książka zupełnie nieusprawiedliwiona. Powieść jest przeciętną, dziennikarską narracją bez śladu ambicji formalnych. Język i styl Giertycha są banalną mową polskich warstw oświeconych, chemicznie wypraną z twórczością indywidualnej i śmiałości gwarowej. Jest to pospolity język inteligentnych listów miłosnych i przemówień wiecowych. Wszystko co w nim jest literaturą, to przytoczenia z wielkich pisarzy oraz refleksy kiedyś barwnych, a dziś spłowiiałych epitetów i metafor. Język "sierzantów" literatury dwudziestolecia międzywojennego, Staśki, Mniszkówny i Zarzyckiej, jest świeższy i plastyczniejszy od Giertychowego. Na każdej niemal stronie jego dzieła zjawiają się przymiotniki w rodzaju: prześliczny, rojny, strojny, dziarski, szparki i kształtny. To prawdziwe słowa-wytrzychy. Powieść nie posiada żadnych wątków oryginalnych, śladu pomysłowości w konstrukcji, zaledwie pobrzmiewa echem poetyckiego wzruszenia (widok z Okopów św. Trójcy, opis Pińska i Polesia, podróż Prypecią), tak iż cały jej walor spoczywa w narracji, w reportażowym opisie i w zawartości dydaktyczno-ideowej. Jest to kliniczny okaz publicystycznej nieporadności w użyciu subtelnych instrumentów beletrystyki. Precyzyjne narzędzia w użyciu kuchennym.

"Polska między wojnami" jest powieścią o dwu braciach i ich rodzinie. Grześ jest katolicki i narodowy i wskutek tego bardzo szczęśliwy, Staś agnostyczny i masonizujący i za to ciężko doświadczany przez los. Założenie ideowe przyjrzyście, klarowne, typowe: patriarchalizm obyczajowy schyłku XIX wieku, który Sienkiewicz nazwał "Rodziną Połanieckich", a St. Brzozowski "Polską dziecięciną".

Właśnie niedawno napisał znakomity artykuł na ten temat Józef Marian Świąciecki pt. "Od literatury patriarchalnej do katolickiej" ("Przegląd Powszechny", grudzień 1950). Dowodzi w nim najlepszy polski krytyk katolicki, że wzorzec patriarchalno-naturystyczny najgłębiej zapuścił korzenie w literaturze polskiej.

"Zmierzają do przedstawienia życia z naturą silnie związanego, by-

tującego w warunkach jeszcze nieskomplikowanych, niemal że pierwotnych, w ramach autarkicznej gospodarki, a więc chwytając typ charakterystyczny dla czystego, nienaruszonego jeszcze wpływami techniki rustykalizmu. Spotykamy w nim religijność szczerą, ale nie głęboką, bliższą raczej Staremu, niż Nowemu Testamentowi, religijność o tonacji w przeważającej mierze gwarancjonistycznej (to jest zmierzającą do traktowania Boga w pierwszym rzędzie jako rzący ziemi (szczęścia), moralność zaś zdyscyplinowanej obyczajności, pozbawioną jednak w swej surowości mocniejszej wrażliwości na perspektywę humanitaryzmu. Z tego źródła płynęła pewna krótkowzroczność i zacieśnienie, jeżeli szło o tzw. kwestię socjalną, na skutek wiaściwego patriarchalizmu i partykularyzmu i skłonności do uproszczonego załatwiania konfliktów socjalnych na drodze organicznej, poprzez włączenie służby i domowników w ramy szeroko bardzo pojętej rodziny — rozwiązanie, które w wielu wypadkach musiało zawodzić."

Patriarchalizm polski w wyniku szczególnych perypetii dziejowych utożsamiał narodowość z religijnością. Szermuje więc pojęciami religijnymi, "faktycznie jednak przebywa w sferze wartości zdrowych i bezspornych, ale czysto naturalnych, religii zaś nadaje odcień deminutywny, fideistyczny, tradycjonalistyczno-sentymentalny a nade wszystko zaś gwarancjonistyczny".

"Bóg z nami" — oto naczelną hasło powieści Giertycha. Polska? Oczywiście kraj przez Boga umiłowany. Jeśli tylko będzie się dobrze sprawował, czeka go świetlana przyszłość, jeśli zaś nie — biada mu. W Polsce istnieje mnóstwo rzeczy lepszych, niż gdzie indziej na świecie, a jeśli Polska nie wysunęła się dotąd na czoło narodów, uczyni to bez wątpienia niedługo. Np.: "To polska polityka stworzyła wersalski system ustroju Europy" (III, 19). W sztuce ma wedle słów bohatera powieści powstać niedługo "nowy gotyk". "Nie wiem dlaczego — (snuje on swą myśl) — ale tak mi się wydaje, że to my, Polacy, ten nowy styl wytworzymy. Stworzymy go — bo naprawdę odczuwamy tęsknotę do Boga..." (t. III, str. 127). Wawel o stronę dalej "wytrzymuje porównanie" z Watykanem i Pałacem Dożów w Wenecji. Polska w powieści Giertycha jest tak samo nieskromna, jak autor w przedmowie i posłowiu.

Nie grzeszą też skromnością ni pokorą bohaterowie patriarchalnego eposu. W tym porządku mężczyzna jest to kogut z rycerskimi ostrogami, z grzywką herbową i łebkiem pełnym mądrości, kobieta zaś potulną, przysiadającą na widok koguta, kurką. Staś i Grześ od pierwszego spojrzenia na kobiety są pewni, że to będą ich przyszłe żony.

"...Powiedział sobie w duchu nagle:

— Ta! Ta właśnie! To jest moja przyszła żona." (t. II, str. 196).

Grześ, skoro został docentem, bardzo pragnął pojąć żonę:

"W poszukiwaniu żony był wymagający. Nie chciał ożenić się z pierwszą lepszą z brzegu gąską, ale poszukiwał ideału. Ideału, który wielu innych mężczyzn uznałoby za niedościgły. Po pierwsze chciał, by żona jego podobała mu się jako kobieta... Nawet mu przez myśl nie przechodziło, że mogłby ożenić się z dziewczyną brzydka. Sam był urodziwym mężczyzną — kobiety nieraz go kokietowały i czuł, że się wielu kobietom podoba." (t. II, str. 47).

Takie to myśli miał katolicki docent. Kiedy znalazł się w dworze poleskiego ziemianina, zachciało mu się od razu jego córki.

"Gdyby Narymunt miał córkę, czy daliby mu ją za żonę? — Jeśli by go znali naprawdę — pewnie by mu dali, bo to ludzie, którym chodziłoby o wartość osobistą człowieka, a nie o rzeczy zewnętrzne." (t. I, str. 233).

Innym razem w chacie podupadłego szlachetki na Polesiu katolicki docent roi takie marzenia: "On, Grześ, wydobyłby z tego domu walory, które zamieniłyby go w gniazdo rodzinne o atmosferze zgoła nieprzeciętnej" (I, 274). Podobnie brat Staś pewien był zawsze z góry swoich sukcesów u panien i ich rodziców.

Zatrzymaliśmy się celowo dłużej nad szczególnym schorzeniem owego pseudo-chrześcijańskiego patriarchalizmu, jakim jest niepoohamowana pycha. Grześ Giertycha nigdy nie bładzi, nawet pokusy wychodzą mu zawsze na zdrowie, wszystko wie, we wszystkim ma rację, nigdy nie wątpli, nie ma chwil słabości, nie ma żadnych problemów. Poglądy i wiedzę zdobył zapewne w niemowlęctwie, bo od pierwszych kart powieści widzimy tego młodzieńczyka w charakterze apostoła idei katolickiej, narodowej i kilku innych.

Nic dziwnego, iż tacy ludzie mogą prowadzić wyłącznie monologi. Nikt nigdy nie wysuwa wobec nich innego zdania, a jeśli się odzywa, to chyba po to, by przytaknąć. Biedna narzeczona a potem żona Grzesia używa w książce niemal wyłącznie trzech wyrazów: "To prawda, Grzesiu!".

Otóż właśnie, że nieprawda. To nieprawda, Grzesiu! Nie jesteś, Grzesiu, wcale człowiekiem, lecz afiszem partyjnym, sloganem z czytanki harcerskiej, kukułką z zegara, który chodzi, ale w kółko.

"W Polsce między wojnami" zamiast życia są referaty polityczno-wychowawcze, zamiast rozmów wykłady, zamiast męki duszy i jej codziennego trudu i powszedniej klęski w drodze ku Bogu, zamiast konfliktów sumienia — płyty nagrane na amen. Ci ludzie posiadają na wszystko gotowe formułki, ich miejsce w świecie jest już wyznaczone i numerowane, jedyną ich odpowiedzialnością jest dobrze wyuczyć się lekcji. Niczego nie powinni pragnąć zmieniać, bo wszystko jest ustalone, przewidziane i uporządkowane. Na wszystko są gotowe recepty. Trwać w bojaźni Bożej — oto program. Żadnej troski o rewindykację praw dla wszystkich ludzkich jednostek na ziemi, żadnej pasji reformatorskiej, pragnienia naprawy ustroju, pchnięcia świata na tory powszechnej używalności jego dóbr przez wszystkich ludzi.

Takie właśnie dzieła, pewne siebie, wydają dziś systemy komunistyczne.

Dlatego jest to życie tak bezdennie smutne. Na 900 stronach powieści nie ma ani jednego dowcipu, ani jednej sytuacji wesołej, a wszyscy bohaterowie są sterylizowani z humoru.

Jędrzej Giertych uważa swą powieść za wykład ideowy kato-

licyzmu i programu narodowo-demokratycznego. Naszym zdaniem jest to książka niekatolicka i nienarodowa.

Katolik współczesny bowiem, to nie jest bałwan ze śniegu, który stoi w miejscu, gdzie go postawiono, i trzyma się na mrozie a taje w słońcu. Człowiekowi pisane jest po ziemi chodzić, poznawać rozumem, doznawać zmysłami i wybierać wolą. Bez zmysłów, bez rozumu i bez woli i bez potrójnych burz i huraganów tych władz nie masz drogi duszy ni dążenia do Boga. Życie jest ustawicznym wyborem, nieustającą decyzją i nieśląbną pokusą.

Patriarchalizm musi się skończyć talmudyzmem. Grześ Giertycha lepiej by zrobił, choć tak bardzo Żydów nie lubi, gdyby się zajął wykładami ksiąg talmudu zamiast dziejów Polski.

Życie rodziny Pasków polega właściwie na płodzeniu dzieci. Wszystkie młodzieńcze ideały i marzenia kończą się nieodmiennie tęsknotą do ożenku. Grześ zarówno na widok ładnej dziewczyny, jak pięknego krajobrazu, starego dworku, czy dzieła architektury, wykrzykuje: "Muszę się ożenić!" "Odczuwał wciąż gwałtowne pragnienie ożenienia się" (II, 46 — jakież styl!). "Pragnął się ożenić. Aż skowyczał z tęsknoty za szczęściem rodzinnym" (II, 92). Kiedy został docentem, oprócz zajęć naukowych, "sprawił sobie nowe ubranie, uzupełnił zapas bielizny i obuwia, kupił sporo nowych książek... — Mógłbym teraz już założyć rodzinę — myślał nieraz" (II, 46).

Kobiecie w takiej koncepcji życia przypada oprócz potakiwania ("To prawda, Grzesiu") rola następująca: "W imię konsekwencji dokończyła, w przerwach między porodami, studiów i uzyskała stopień magistra..." (III, 149). Naturalne ograniczanie urodzeń w małżeństwie uważa Grześ za pograniczne grzechu (III, 148).

W sumie kwietyzm moralny, oportunizm społeczny, przesadzony naturyzm i pycha, a także depersonalizacja ludzi w ramach społecznych, którymi to barwnikami nasycona jest tkanka powieści Giertycha — odbierają jej cechy książki katolickiej. Jest to w najlepszym razie starotestamentowe poręczycielstwo Boga (polskiego) dla poczciwości zasklepionego żywota.

Twierdząc także, że powieść Giertycha nie jest narodowa, ściślej mówiąc ideologicznie narodowo-demokratyczna. Koncepcje społeczne i polityczne, zawarte "W Polsce między wojnami" wymagałyby obszernej dyskusji. Wszystko, co bohaterowie powieści kochają, jest też oczywiście białe jak śnieg, w co wierzą inni — czarne i wstrętne. Wywody historyczne gnie autor w rękach, niczym siłacz podkowy. Cudownych historii można się dowiedzieć o Piłsudskim — wrogu polskiej tradycji, o Legionach ("piętno rewolucyjnej bojówki") i sanacji, o Żydach, zaprzyjętych sojusznikach Niemców, o Rosji, która "jest siłą pozaeuropejską", o Galicji, która straciła ducha i nawet język narodowy, o "gniącym trupie monarchii Habsburgów" (katolickiej?!), o "przeżartym zepsuciem i antykatolickimi wpływami Krakowie (za czasów Odrodzenia — tj. tym mieście, gdzie nie

było poważniejszych odstępstw i skąd wychodziły niemal wszystkie polskie książki i nauki owego czasu), o przymierzu masonerii z komunizmem, o socjaliźmie, głoszącym hasła "człowiek człowiekowi wilkiem" i wielu innych, po których Marysia zwykle wypowiada zdanie: "To prawda, Grzesiu".

Jest tych poglądów tyle i tak kontrowersyjnych, że niepodobna by się z nimi w krótkości rozprawić. Jeden jednakże wydaje się szczególnie niebezpieczny, który zresztą jest głównym ideologicznym motywem Jędrzeja Giertycha. Że ideałem narodu polskiego jest

"nic tradycji ziemiańskiej, właściwe wiejskiemu dworkowi, proste i gorące umiłowanie ojczyzny, ducha ofiarności narodowej, przywiązanie do narodowych ideałów kulturalnych i moralnych, szlacheckie poczucie honoru, a wreszcie wysoki poziom szlacheckiej kultury, szlacheckie ideały estetyczne, szlachecki zmysł piękna, świadomość obowiązków kulturalnych i tak dalej. Na takich właśnie postaciach stoi nasz naród i nasza kultura." (III, 55). "Chodzi mi... nie o wielką własność rolną, jako fakt ekonomiczny, lecz o dwór lub dworek wiejski. O szlachtę, jako fakt społeczny oraz kulturalny." (III, 236). "Szlachta i chłop — to rdzeń Polski. Nie daj Boże, byśmy się stali narodem urzędników i proletariuzi..." (III, 238).

Otóż Jędrzej Giertych jest w całkowitym błędzie, jeśli sądzi, iż jego poglądy społeczno-polityczne mają coś wspólnego z programem Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Ideologię Giertycha można by nazwać konserwatywną, gdyby nie to, że jest to ideologia szczerej reakcji.

Polska idea narodowa jest nawskroś mieszczańska. Ustawiczne powoływanie się Giertycha na szlachectwo Dmowskiego jest krzywdzącym tego genialnego człowieka nieporozumieniem. Dmowski nigdy nie miał świadomości klasowej, a jeśli posiadał jakąś ambicję z tytułu urodzenia, mówił ze wzruszeniem o brukach, budowanych przez jego ojca, nie o jakichś szlacheckich parantelach.

"Czy pan wyobraża sobie Polskę bez dworu wiejskiego? Czy pan wyobraża sobie polską kulturę nie tylko bez Mickiewiczów, Sienkiewiczów, Moniuszków, którzy się we dworze urodzili, ale także bez Chopinów, Matejków, Falaatów i Dmowskich, którzy się sami ze dworu nie wywodzą, ale ulegli jego urokowi i jego kulturę wchłonęli?"

Przykłady, trzeba przyznać, jak kulą w płot. Syn niemal proletariackiego domeczku w Nowogrodzku, syn chorego na gruźlicę z nędzy nauczyciela wiejskiego oraz gromadka typowych przedstawicieli mieszczaństwa (inteligencji) mieliby podeprzeć tęsknoty do jakiegoś Polski szarych i ciemnych dworów, cofniętej w czasy saskie? Jest to literacka, nierealna i niekatolicka koncepcja przywileju społecznego, której przeczy rzeczywistość, warunki współczesnej gospodarki i wreszcie sumienie.

Wolno pisarzowi głosić koncepcje i wizje, jakie mu się żywnie podobają, dopóki pozostają w granicach utopii. Ale jakim tytułem Jędrzej Giertych swoje fantastyczne rojenia wtłacza w rzekomy program narodowo-demokratyczny? Jakim prawem pomniejsza jego historyczną zasługę walki z konserwatyzmem?

Giertych upraszcza sobie zresztą problematykę społeczną bezceremonialnie. Tak np. chłopci wedle jego wizji owszem będą dopuszczeni do uczestnictwa w dobrach narodowych, "ale pod warunkiem, że przyjmą ogólnonarodową kulturę" (III, 79). Zatem warstewka szlachecka (łącznie z pieczeniarczami ideowymi bez herbów) będzie dyrygować i jeśli łaskawie zechce, dopuści chłopów do kultury polskiej, «*pod warunkiem...*». Wierzyć się nie chce, że można wyznając wszechpolski i bezklasowy program polityczny pleść podobne banialuki, które prowadzą prosto do najskrajniejszych radykalizmów klasowych. Z mieszczanami też nie będzie kłopotu. Boć to co w nich dobre, to szlachta, a reszta, to urzędnicy, proletariat, hołusze i Żydzi. — W ogóle nie ma problemu z dziewięciu dziesiątymi narodu. Była jedna dziesiąta miała swe dworki.

Polska małych dworów — oto idea, która zbawi nasz naród. Z taką ideologią rozprawiał się już sto lat temu Słowacki:

Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie wstecz kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala.
Chce zawrócić w stare łoża
Nowe fale — rzeki Boże —
Do zbojałych serc nie wnika,
Czynu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli — jego głowa,
Skier nie weźmie z jego oka.
Tylko z nędznej, starej płachty
Zamiast wieszca — sztandar jego —
Krzyk: — Na Boga czerwonego
Ty — kim jesteś? Nie rznij szlachty!

Miałbym na zakończenie ochotę pobawić Czytelnika kwiatuskami stylistycznymi, uszczkniętymi z powieści Giertycha. Nie czynię tego przez wzgląd na powagę autora. Napisał on swoją powieść zupełnie niepotrzebnie: literacko nie miał nic do powiedzenia, publicystycznie obnażył bardzo niefortunne i niebezpieczne poglądy. Popęłił książkę kaprałską o ambicjach generalskich. Hebrydę literacką. Bastarda publicystycznego.

Jan BIELATOWICZ.

«Torricola»

Istnieją dwa rodzaje losu. Jeden — to klasyczna fortuna, wschodni kismet, z góry zapisana księga przeznaczeń: los który przepowiada cyganka, który rządzi ukrytym skarbem i katastrofą. Drugi los — to przeznaczenie które kształtuje się w dzieciństwie i wczesnej młodości każdego z nas, które zawczasu przedzie wzór naszego całego życia, z góry określając wybór jaki zrobimy w pewnych okolicznościach, zawsze ten sam błąd który popełnimy, zawsze podobną słabość.

W «Torricoli» Józef-Maria Ursyn kapryswi losu przeciwstawia nieubłagany bieg przeznaczenia psychologicznego. Bohaterowie jego powieści unikną katastrofy ku której pędzi ekspres Rzym - Neapol; zawiadowca stacji Torricola w ostatniej chwili wybawi ich od śmierci, która przecięłaby ich życie w momencie dla każdego z nich kluczowym: jest to, operując porównaniem zaczerpniętym z powieści Wildera, sytuacja w której most z San Luis Rey nie pada w przepaść. Osiągną zatem Neapol, w którym każdy z nich szuka czegoś innego: nieograniczonej wolności, miłości utraconej, szumiącego lasu, utwierdzenia ambicji, władzy nad ludźmi, białego domku i gorącego uścisku kobiety. Ale uniknąwszy groźby ślepego losu zostaną pokonani własnym przeznaczeniem, doznają klęski którą gotowali sobie bezwiednie od lat.

Oto, wydaje mi się, uproszczony zarys powieści Ursyna. «Torricola» należy zatem do tej kategorii utworów złożonych, które równolegle snują szereg wątków, zahaczających się wzajemnie i połączonych jednym rozwiązaniem. W utworach tego rodzaju specjalnie trudno jest utrzymać jednostajny rytm akcji i stopić ją w organiczną całość z innymi elementami powieści — charakterami, dialogiem, z tym elementem uniwersalnym, bez którego żadna powieść nie ma wartości. Jeśli wspominać o akcji, to dlatego, że wydaje mi się ona coraz bardziej nieodzownym elementem powieści po wyczerpaniu wszystkich chyba możliwości czystej powieści psychologicznej. Ursyn zarysowuje swoją akcję śmiało, trzyma czytelnika w napięciu, wprowadza wzorem Simenona i Graham Greene'a dobrane przemyślane elementy kryminalny.

Ale wartość «Torricoli» leży przecież w charakterze uniwersalnym, bardzo ludzkim tej powieści. Autor nie utożsamia się z żadną ze swoich postaci, żadnej nie wybiela. Jest to właściwie powieść bez «bohatera». Natomiast wszystkie osoby występujące w «Torricoli» są dla nas zrozumiałe i w pewnym sensie bliskie — nawet zbrodniarz Stojalko. Poprzez powierzchowny pesymizm tej książki przebija szacunek dla ludzkiej indywidualności, jakkolwiek pełnej sprzeczności i małości. A zresztą —

*) Joseph-Marie URSYN, *Torricola*, Editions Calmann-Lévy, 1951.

czy «Torricola» jest powieścią pesymistyczną? Tyle pisanych dziś książek stanowi negację życia, wynika nie ze smutku nawet ani rozpacz, tylko z «nausée», że element radości życia w «Torricoli» jest pokrępowany, a piękno zmysłowej miłości między Biedroniem i Barbarą w ostatnim rozdziale książki stanowi nutę nadziei.

Oto powody dla których «Torricola» wydaje się przeznaczona dla czytelnika każdej narodowości. Autor słusznie operował nazwiskami, które nie mają etymologicznego związku z żadnym określonym językiem. Parę szczegółów wskazuje, a my czujemy w każdej linii, że chodzi o Polaków. Ale «Torricola» jest książką o charakterze uniwersalnym, gdzie przestaje to mieć znaczenie. Dziwnie się składa, że pierwsza polska powieść emigracyjna, którą warto było przetłumaczyć, ukazuje się po raz pierwszy w języku francuskim. Szkoda, że wyszła w serii «Traduit de». Mimo szeregu drobnych usterek (parę zbyt długich opisów, zbyt liczne lubowanie się autora w bystrym zmyśle obserwacyjnym, nawet gdy nie służy to organicznie celowi powieści, zbyt silnie zarysowana i dość mdła postać Kessipa, który nie wchodząc do zasadniczego schematu powieści powinien być pozostać postacią drugoplanową) zaliczam «Torricolę» do klasy tych kilku powieści ukazujących się co roku we Francji, które spośród kilkuset innych kandydują do Prix Goncourt i tych paru pomniejszych nagród, niestety we Francji stanowiących o dużym powodzeniu książki, a niedostępnych tłumaczeniom z obcych języków.

Miejmy nadzieję, że J.-M. Ursyn nie poprzestanie na tej pierwszej powieści, tym bardziej, że zalety pisarskie których w niej dał dowód: prostota, brak jakiegokolwiek pozy, pretensjonalności i koturnów, obiektywność, zainteresowanie człowiekiem i intuicja psychologiczna są zaletami, których pewien brak odczuwa się w naszym piśmiennictwie.

KAJ

Poezja polska w Chicago

Mimo istnienia w St. Zjednoczonych licznej polskiej emigracji zarobkowej ilość ukazujących się tam pozycji literackich, godnych zanotowania, była dotychczas znikoma.

Sytuacja zdaje się ulegać zmianie z chwilą przybycia do Ameryki dipisów. Wiersze Gordona są przykładem twórczości tych nowych w Ameryce ludzi. Różnią się znacznie od poezji dawnych emigrantów, która miała charakter ciągle jeszcze wiejsko-samorodny.

Marek GORDON, *Zabawki z Majoliki*. Poezje, 1951, wyd. Polskiego Klubu Literackiego w Chicago, str. 24.

„Będę cię chronił, mowo ma czysta,
słowo ojczyście,
pieśni strzelista,
litania siewna,
litero śpiewna,
języku szorstki — tyś moja przystań”.

— powiada Gordon. Jest w przytoczonej zwrotce i świadomość i opanowanie poetyckiego rzemiosła. W innym wierszu Gordon pyta jak ma pisać kiedy ręce jego są szorstkie od siekiery i “gdy trzeba w głębokiej sztolni urąbać czarnego węgla”:

„Siekiera tu nic nie zdziała
ni węgiel czarny nie zbrudzi
poezja będzie mieszkająca
wśród prostych jak ona ludzi”.

I jeszcze jedną zwrotkę warto zacytować z tego samego wiersza:

„tak biedna, jak sama bieda
Bez ortów i amarantów —
Ty zmóc się nijak nie dasz,
Poezjo emigrantów!”

W tomiku Gordona są niektóre utwory świadczące o dojrzałości myślowej jak np. “Dziedzictwo” i niektóre zdania wręcz doskonałe jak np. “bohaterstwo zaś dźwiga przerażony prostak”. Zdaje się, że niewątpliwy talent autora mógłby się lepiej rozwijać, gdyby pozbył się pewnych fałszywych rekwizytów, nie mających nic wspólnego ani z losem “prostych ludzi” ani z prawdziwą kulturą literacką, że wymienimy wiersze “Faun”, “Majolika”, “Bajka”. Tytuł tomiku należy do tej kategorii. Zawiniła tu chyba sympatyczna wstydlivość Gordona, którego wiersze są czymś więcej niż “zabawkami z majoliki”.

W. K.

Nadesłane nowości

NOWOŚCI FRANCUSKIE

- GURIAN (S.). *Les mailles du filet*. Pp. 376. (Ed. Calmann-Lévy, 1950, frs. 450).
- BOUNINE (I.). *Mémoires*. (Prix Nobel). Pp. 178. (Ed. Calmann-Lévy, 1950, frs. 300).
- MANDEL (A.). *Les temps incertains*. Pp. 238. (Ed. Calmann-Lévy, 1950).
- WEISENBORN (G.). *Mémorial*. Pp. 243. (Ed. Calmann-Lévy, 1950).
- BURNS (J. H.). *Le diable au College*. Pp. 423. (Ed. La Table Ronde, 1951).
- VERCORS. *Plus ou moins homme*. Pp. 382. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 420).
- MAURIER du (D.). *La chaîne d'amour*. Pp. 443. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 420).
- COCTEAU (J.). *Jean Marais*. Pp. 122. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951).
- CHURCHILL (W. S.). *Mémoires*. T. IV. - Cz. I.: *La ruée japonaise*. Pp. 498; Cz. II.: *L'Afrique sauvée*. Pp. 563. (Ed. Plon, 1951).
- HARCOURT d' (R.). *Visage de l'Allemagne actuelle*. Pp. 250. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 375).
- SECHEHAYE (M.-A.). *Journal d'une schizophrène*. Pp. 138. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 300).
- CONTENAU (G.). *La vie quotidienne à Babylone et en Assyrie*. Pp. 320 (Ed. Hachette, 1950).
- JASPERS (K.). *Introduction à la philosophie*. Pp. 235. (Ed. Plon, 1951).
- CRITICUS. *Le style au microscope*. Pp. 232. (Ed. Calmann-Lévy, 1951).

NOWOŚCI POLSKIE

- RÓZYCKI (E.). *Obrachunek włodarzy*. Opowieść o Wrześniu. Str. 221. (Nakł. "Atlas Publishers & Distributors, London, 1951).
- WIERZYŃSKI (K.). *Kórzec maku*. Str. 168. (Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", London, 1951).
- KUZMIŃSKA (I.). *Światło jutra*. (Biblioteka powieści, Wyd. Veritas Foundation, Publication Centre, London, 1950).
- KRAKOWIECKI (A.). *Na latającym dywanie*. Str. 44. (Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", London, 1951).
- GORDON (M.). *Zabawki z majoliki*. Poezje. Str. 24. (Wyd. Polskiego Klubu Literackiego, Chicago, 1951).
- WOLANIN (A. S.) *Polonica americana*. Annotated catalogue of the Archives and Museum of the Polish Roman Catholic Union. Str. 295. (Wyd. Polish Roman Catholic Union of America, Archives and Museum, Chicago, 1950).

NOWOŚCI UKRAIŃSKIE

- MAZEPA (I.). *Podstawi naszoho wdrożenia*, Cz. I. — *Przyczyni naszoy bezdzierzawnosti* (str. 179); Cz. II — *Problema wdrożenoj Ukraini* (str. 163). Wyd. Prometej. Cena 10 Dm.
- HRIN (S.). *Zimoju w bunkri*. Str. 142. (Wyd. Do Zbroji, 1950, Augsburg).
- DONCOW (D.). *Zapowit Szewczenka*. Str. 16. (Nakł. Ośrodek Spółki Młodzieży Ukrainkiej, Toronto, Kanada, 1950).

NOWOŚCI ROSYJSKIE

- STRUVE (G.). *Russkij Jewropiejec*. Str. 164. (Wyd. Dieło, 1950, San Francisco).

NOWOŚCI NIEMIECKIE

- WEISENBORN (G.). *Memorial*. Pp. 278. (Verlag Kurt Desch, München, 1950).
- BRINCKMANN (A. E.). *Europäische Humanitas, Dürer bis Goya*. Str. 278. Z 122 ilustracjami w tekście. (Wyd. Kurt Desch Verlag, München, 1950).
- FALLADA (H.). *Bauern, Bonzen und Bomben*. Str. 707. (Wyd. Kurt Desch Verlag, München, 1950).

Listy do Redakcji

Drogi Panie Redaktorze!

"List z Wyspy" (Kultura, Nr 40/41) wywołał dość silny oddźwięk. Cenię to sobie b. wysoko zwłaszcza, że nie brak polemik, które utrzymane są w tonie rzeczowym i dalekim od wycieczek osobistych. Do takich głosów dyskusyjnych na wysokim poziomie zaliczam m. in. artykuł jaki się ukazał w tygodniku "Polak" z dn. 8 marca.

W wypowiedziach moich oponentów uderza mnie jednak, że nie podjęto dyskusji na temat zasadniczego zagadnienia, które poruszyłem w cytowanym artykule. W większości polemik powtarza się zarzut, że domagam się od Polaków by nie wysuwali żadnych warunków od których przyjęcia zależałby nasz udział w wojnie. Zarzut ten polega na nieporozumieniu. Piszę bowiem wyraźnie: "należy uczynić wszystko możliwe by przywrócić legalnemu rządowi pełne uznanie, należy również uczynić wszystkie możliwe by rządowi polskiemu umożliwić zawarcie korzystnych układów i umów." Cóż można na ten temat powiedzieć więcej i jaśniej?

Powszechnie wiadomo, że należy dążyć do przywrócenia uznania rządowi jak niemniej powszechnie wiadomo, że rząd ten winien dążyć do uzyskania korzystnych gwarancji. To są rzeczy oczywiste i na ten temat nie ma powodu dyskutować.

Celem mojego artykułu było jednak wywołanie dyskusji na inny temat, a mianowicie jak winniśmy się zachować gdy rząd nasz nie zostanie uznany? Jest niestety b. prawdopodobne, że rząd nasz nie zostanie uznany ani przez Anglików ani przez Amerykanów. Jeżeli zatem mamy opracowany plan "A" na wypadek gdy rząd w odpowiednim momencie zostanie uznany — sądzę że jest już najwyższy czas przystąpić do dyskusji nad planem "B" — tj. planem, który by zawierał wytyczne działania w wypadku gdyby rząd nie został uznany. Celem mojego artykułu było wywołać dyskusję nad planem "B".

Autorzy polemik na ten temat wykazali zdumiewającą wstrzemięźliwość. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że postąpiłem słusznie poruszając tę sprawę bo "taktowne" milczenie zagadnień nie prowadzi do niczego.

Postawiwszy ten problem przed Czytelnikami otwarciem dyskusji mają własną opinią, która streszcza się w następujących punktach:

1. Jeżeli nasz rząd nie zostanie uznany winniśmy mimo to dążyć do odbudowy armii na Zachodzie.
2. Winniśmy powołać koalicyjną polityczną reprezentację, która na wzór prowadzący polską politykę zagraniczną na wewnątrz zaś uznawanaby była przez Polaków za organ legalnego rządu.
3. Postawę anty-komunistyczną winniśmy pojmować w równym stopniu aktywnie i całkowicie jak postawę komunistyczną pojmują komuniści. Kto nie jest bezkompromisowym anty-komunistą jest biernym sojusznikiem Stalina.
4. Jeszcze nigdy w historii Polacy na wolności nie uzależniali woli walki przeciw ciemności swej Ojczyzny od uprzednich gwarancji. I nam nie wolno tego czynić. Nie oznacza to, że powinniśmy z czegokolwiek rezygnować czy wyrzec się naszych postulatów — oznacza to jednak, że w wojnie przeciw sowieckiej Rosji w żadnym wypadku nie powinno nas braknąć.
5. Trzecia wojna światowa — jeżeli wybuchnie — będzie pierwszą w dziejach wojną o prymat cywilizacji. W wyniku tej wojny jedna z tych dwóch walczących o prymat cywilizacji stron zostanie zmieciona z powierzchni ziemi.

Może nie dzięki świadomej woli co na skutek rozwoju wydarzeń hi-

storycznych Waszyngton staje się dla świata anty-komunistycznego tym czym jest Moskwa dla świata komunistycznego. Klęska całkowita komunizmu jest postulatem narodowym i ponad-narodowym. Los cywilizacji zachodniej nie może obchodzić nas mniej niż obchodzi Amerykanów. Winniśmy dlatego solidaryzować się z anty-komunistyczną polityką amerykańską bo zwycięstwo komunizmu przekreśliłoby raz na zawsze wszelkie nasze aspiracje narodowe.

Oto są wnioski. Nie twierdzą, że są to wnioski jedynie słuszne i jedynie możliwe. Rola publicysty nie jest bynajmniej "zawsze mieć rację". Zadaniem publicysty jest natomiast dojrzeć dostatecznie wcześniej zagadnienia, które w przyszłości odegrają kluczową rolę. Jeżeli wywołana w ten sposób dyskusja przyczyni się do wypracowania konkretnych rozwiązań — publicysta spełnił swe zadanie.

"Kultura", której od przeszło roku mam przywilej być stałym współpracownikiem, nie jest pismem urzędowym. Nie wypracowujemy instrukcji, wskazań, nie uprawiamy propagandy, nie uprawiamy również "kultu zagadnień". Interesuje nas analiza i wszechstronne studium problemów prowadzone w nieskrępowanej atmosferze "badawczego laboratorium" a nie kapliczki.

Juliusz MIEROSZEWSKI

M. P., dn. 7 marca 1951 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na ankietę w sprawie zużycia wpływów Skarbu Narodowego na cele kulturalne przysłałem Panu odpowiedź zwięzłą, która, jak mi się wydawało, dość trafnie odzwierciedlała poglądy uczestników ankiety, naturalnie pod warunkiem, że się tę odpowiedź dobrze zrozumiało.

Proponowałem mianowicie, by środki na rozwój kultury polskiej porozdzielać między wydziały kulturalne poszczególnych stronnictw, które będą już same wiedziały, co z pieniędzmi zrobić. Wyraziłem też nadzieję, że projekt ten przyczyni się do konsolidacji naszego uchochództwa, gdyż stwarza płaszczyznę do porozumienia się zwolenników Skarbu Narodowego ze zwolennikami porządku rzeczy opartej o historyczne (mniej lub więcej) stronnictwa.

Już uwaga p. Mieroszewskiego, iż jestem "odosobniony w swych poglądach" dała mi sporo do myślenia.

Pan W. Ostrowski otworzył mi oczy na straszną rzeczywistość. Dopiero po dłuższych obradach z kilku znajomymi doszedł on do przekonania, że moja propozycja, to żart, który nazwał nawet makabrycznym.

Biję się w piersi. Moja wina. Tylko czytelnicy, którzy znają dobrze mój podpis, mogli zrozumieć, o co mi idzie. Natomiast w świetle tego, co się z różnymi funduszami publicznymi działo, istotnie zastanawianie się nad tym, czy moja propozycja była żartem, czy nie, nie jest tak zabawne i zdumiewające, jak mi się w pierwszej chwili wydawało. Jest to oczywiście — makabryczne.

Niestety, jednak również makabryczne jest to, iż niektórzy z uczestników ankiety zapewnniają, iż oczywiście na Skarb Narodowy nie dają. To "oczywiście" trudne jest do obalenia. Największy tuman od razu zrozumie, dlaczego nie powinien płacić, a najinteligentniejszy człowiek będzie miał poważne trudności przy znalezieniu argumentów, uzasadniających dlaczego powinien płacić. Ośmielę się jednak twierdzić, tym razem naprawdę bez żartów, bo miejsca na żarty tu nie ma — że wolno urządzić piekielne awantury o sposób wydatkowania pieniędzy Skarbu Narodowego, wolno wysłać telegramy, urządzić zebrania protestacyjne itd., ale nie wolno zabijać państwa. Naród ma prawo żyć tylko jako państwo. A państwo to nie tylko orderzy, zaszczyty, prace zlecone tudzież szarże — państwo to przede wszystkim zorganizowana siła. Czyli podatki.

Dr. A. GAMM.

RÉSUMÉ DES PRINCIPAUX ARTICLES PARUS DANS CE NUMÉRO

Il y va de l'Europe

L'auteur, L. Malecki, croit que nous vivons un épisode capital de la lutte pour l'unification de l'Europe qui a commencé avec la première guerre mondiale. Depuis le début du siècle, la configuration de l'Europe, morcelée en unités politiques trop étroites, ne répondait plus aux besoins de la production industrielle stimulée par le progrès technique qui réclamait des marchés plus larges et plus homogènes. En 1914, les Allemands ont voulu modifier de force le statut de l'Europe, mais ils ont ruiné les fondements de la politique économique libérale qui eût pu donner une solution au problème européen.

Dès 1919, est né un nouveau problème, celui du déficit en dollars qui a été la cause principale de la grande crise économique de 1929 et dont l'importance n'a vraiment été connue et universellement reconnue qu'après la deuxième guerre mondiale.

En 1945, les esprits étaient murs pour des solutions européennes, mais les erreurs de Yalta et de Potsdam ainsi que la méconnaissance complète des visées réelles de la politique soviétique, ont fait oublier la notion « Europe », au moment où tout aurait dû être mis en œuvre pour faire de celle-ci une réalité. Le continent a été partagé en deux zones d'influence qui ont été rapidement séparées par une barrière qui devient tous les jours plus infranchissable.

L'U.R.S.S. a voulu faire de l'Europe orientale un tremplin pour envahir le reste de l'Europe et y aurait réussi si le monde occidental ne s'était éveillé à temps. D'ici peu, il y aura, sur l'Elbe, deux têtes de pont rivales dont le maintien n'est dans l'intérêt de personne. Pour accélérer leur disparition, il faut préparer l'Europe future qui liera l'Est européen à l'Europe occidentale et sera ainsi un élément d'équilibre et de stabilité économique et politique pour le monde.

Les armements actuels ne peuvent durer éternellement; d'une manière ou de l'autre, la partie sera jouée d'ici deux ou trois ans. Les milieux de l'émigration qui, seuls, aujourd'hui, sont à même de représenter les intérêts et les aspirations des nations qui souffrent sous le joug soviétique, doivent profiter de cet ultime moment pour préparer l'intégration des pays de l'Est européen à la future fédération européenne. C'est une tâche majeure qui devrait prendre le pas sur toutes les autres et sur les luttes intestines qui divisent actuellement les divers groupements d'émigrés.

Lettre d'Angleterre (avril 1951)

Jules Mieroszewski constate que les peuples se sentent beaucoup plus liés aujourd'hui par la communauté des idées que par le sentiment national. Les termes : Français, Anglais, Polonais ou Belge, n'ont plus un sens exhaustif. Ils ne désignent pas de prime abord des ennemis ou des alliés. La naissance d'une troisième notion, la notion *idéologie*, à côté des notions nationalité et citoyenneté, a métamorphosé la politique internationale. Le Pacte atlantique qui est d'inspiration américaine et dont la mise en œuvre est l'apanage des Américains, s'appuie sur ce troisième élément qui se superpose à l'élément national. Se solidariser avec le système anticommuniste américain c'est peut-être devoir abandonner, ne serait-ce que momentanément, certaines ambitions « locales », pour atteindre un but d'intérêt général, la victoire sur les communisme.

L'auteur est persuadé que la politique russe obligera en définitive les

Etats-Unis à se détacher complètement de Yalta, comme elle les a jusqu'à présent obligés à prendre la tête du mouvement anticommuniste mondial qui a trouvé son expression dans l'Organisation atlantique. C'est à ce moment-là que la politique américaine à l'égard des nations de l'Europe centrale et orientale se précisera.

Le sort de la question polonaise est lié au triomphe des Etats-Unis. Tirant la conséquence de l'évolution de la situation internationale, J. Mieroszewski suggère de créer un Comité polonais des Affaires Etrangères dont feraient partie des délégués du Gouvernement polonais de Londres, au même titre que des représentants du Conseil politique qui groupe trois partis d'opposition. La possibilité de reformer une armée polonaise à l'étranger et le rôle de cette dernière dans un conflit éventuel, dicte aux Polonais le devoir impérieux de se faire représenter par un organe de coalition qui pourrait défendre leur intérêts avec succès sur le terrain international.

La Déclaration de Philadelphie

La Déclaration faite à l'Independence Hall de Philadelphie, le 12 février dernier, qui définit « les buts et les principes fondamentaux de la Libération des Peuples de l'Europe centrale et orientale », est un événement politique d'importance. C'est une brèche dans le « blocus de silence » qui entoure les pays asservis par la Russie dont le sort a été scellé à Yalta.

Elle nous oblige néanmoins à constater qu'en ce qui concerne la Pologne, les organisateurs de la manifestation et les Américains qui l'ont patronnée ont atteint un autre but que celui qu'ils s'étaient proposé. Au nom de la Pologne, c'est M. Mikolajczyk et les membres de son groupe qui ont signé la Déclaration. Un chèque, pour être valable, doit être signé par celui qui y est autorisé. M. Mikolajczyk est autorisé à signer au nom de « l'Internationale paysanne » mais il n'est pas autorisé à signer quoique ce soit au nom « de la Pologne » ou au nom de l'émigration polonaise. Il ne s'agit pas ici d'invoquer des griefs personnels ou des raisons de parti, mais il s'agit d'une question de compétence et de pouvoirs.

Certains documents doivent être parafés par certaines personnes. Nous avons le plus grand respect aussi bien pour l'initiative qui a été prise à Philadelphie que pour le texte de la Déclaration qui y a été proclamé et qui contient tant de paroles de réconfort et d'espoir pour les nations opprimées par la Russie. C'est pourquoi nous regrettons d'autant plus qu'en ce qui touche la Pologne, le manifeste se réduise au simple appel du chef d'un seul groupement politique.

M. Sulimirski, dans son article « En marge des problèmes ethniques », note trois lignes de démarcation qui se remarquent à travers l'Europe centrale et l'Europe orientale depuis les temps les plus reculés jusqu'à nos jours. (Cartes, fig. 1 à 3). L'une de ces lignes divise les Balkans en deux parties, la partie orientale et la partie occidentale et correspond aujourd'hui à la frontière bulgare-serbe. La seconde coupe l'Europe orientale en diagonale, laissant au nord une partie aujourd'hui russe et au sud, une partie ukrainienne. La troisième ligne traverse la Pologne de biais,

du Nord-Ouest au Sud-Est. Celle-là est moins stable que les autres. Au Nord, elle n'est plus qu'une frontière ethnographique sur le terrain ethnique polonais, en revanche au sud, elle délimite les territoires ethniques polonais et ukrainien.

A la faveur de ces lignes de démarcation qui remontent aux temps préhistoriques, d'une part, et des vieux liens et affinités historiques culturels d'autre part, on comprend mieux les phénomènes ethniques qui se manifestent aujourd'hui, tels que : apparition de nouvelles nationalités, déplacement des frontières ethniques, etc...

Il est parfois difficile, sans connaître ces éléments, d'expliquer pourquoi les frontières ethniques se déplacent plus facilement dans certains endroits que dans d'autres et pourquoi des groupes ethniques appartenant à une même nation sont relativement vite assimilés par une autre, alors qu'ailleurs l'assimilation rencontre la plus grande résistance. L'exemple peut-être le plus caractéristique à cet égard, est celui de l'Ukraine que la Russie n'arrive pas à assimiler, en dépit des affinités de langage, de l'identité de religion et de près de trois cents ans de domination politique. L'étude de la préhistoire et de l'histoire montre que ces deux pays n'ont jamais formé une unité culturelle; le caractère de leurs relations qui s'est établi au cours de plusieurs millénaires, n'a pas pu être modifié.

A côté des articles que nous résumons, le numéro d'avril de « la Culture » contient un fragment du nouvel ouvrage du philosophe espagnol bien connu José Ferrater Mora : « Philosophie, Inquiétude, Renouveau »; — des souvenirs de Paul Hostowicz sur « Varsovie au début du XX^e siècle »; — une discussion autour de l'accord polono-soviétique du 30.7.1941, à laquelle prennent part le professeur St. Stronski, ancien ministre de l'information dans le cabinet Sikorski et l'historien bien connu Wl. Pobog Malinowski. A ce propos nous sont révélés beaucoup de détails jusqu'ici inconnus du grand public.

Mme Marie Strzalkowska trace, pour sa part, un tableau de la situation en Pologne, en particulier dans le domaine culturel, s'inspirant de renseignements et de documents de première main.

Thaddée Romer, ancien ministre des Affaires étrangères polonais, consacre un feuilleton plein d'ironie à l'examen du conflit américano-soviétique sous le titre « Songe de paix et de guerre ».

Enfin, « la Culture » publie, comme d'habitude, quelques feuillets de poésie, la chronique des émigrés polonais en Angleterre et en Allemagne ainsi qu'une revue des livres récemment parus en Amérique, en Allemagne, en France et en Pologne.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal : 2^e trimestre 1951.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroyc'a

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh.	16 sh.	3 ⁴ sh
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	6 peso	36 peso	72 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83, Front St. E., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York: W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 808, Wager St., Utica, N.Y. Na stan Illinois: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill. Na stan California: L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Boulevard, Agoura, California. Na stan Michigan: Kazimierz Trojanowski, 6042 Jos. Campau, Detroit 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia: Chrystian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave, Toledo 2, Ohio. Na pozostałe stany: M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.	75 cent.	4 dol	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. Janta-Polczyńska, 24, Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3. Konto Chèque Postal 244 113 — Bruxelles.	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	4 sh.(a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew Małecki, 8, Kistlerweg, Bern, 16	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 120 frs półrocznie i 240 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopismo nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.: ½ strony 4.000 fr. fr

Cena niezależności

Próbowaliśmy dotąd — mimo generalnej zwwyżki cen — nie podnosić ceny pisma. Wymowa cyfr okazała się jednak silniejsza od naszych najlepszych chęci. W ciągu ostatniego roku papier podrożał o 70%, koszty druku o 18%, introligatorni o 50%, a dalszych podwyżek należy spodziewać się w najbliższej przyszłości. Zmusza nas to do podniesienia prenumeraty i ceny pojedynczego numeru o **25% na terenie Francji i krajów bloku szterlingowego oraz Włoch**, to jest na terenach, gdzie cena pisma była najniższa.

Chcąc jednak choć w drobny sposób podziękować naszym dotychczasowym prenumeratorom za życzliwość i pomoc, a naszych stałych czy przygodnych czytelników zachęcić do prenumeraty — podwyżkę wprowadzamy dopiero od nowego półrocza, tj. od 1-go lipca 1951.

Podwyżka nie dotyczy prenumerat już opłaconych ani prenumerat, które wpłyną przed 1 lipca 1951. Zwiększenie ilości prenumeratorów zabezpiecza bowiem byt i niezależność pisma.

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY

JAMES BURNHAM
WALKA O ŚWIAT

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WERONIKA HORT
TUŁACZE DZIECI

Cena 120 frs.